

KONKRETY

nr 51
52

ILUSTROWANY TYGODNIK ZAGŁĘBIA MIEDZIOWEGO
ROK VII-NR 343/344-22-29. GRUDNIA 1978 R. 4 ZŁ



DZIS 32 STRONY
W NUMERZE:

*Doboszów żywot na miedzi - str. 5 *Kobiety i bombki - str. 7
*Plebiscyt sportowy - str. 11 *Ludzie są dobrzy - str. 14 *Rozmowa z Zofią Kucówną - str. 15 *Za kulisami - str. 16-17
*Światowa a nasza - str. 19 *Akupresura to jest to? - str. 20 *Linia życia - str. 21
*Próby literackie - str. 22 *Czarny kot - str. 23 *Korespondencja własna z NRD - str. 24



PONADTO:

*Konkurs z nagrodami *Krzyżówka gigant *Świąteczna witryna "Konkretów" *Gwiazdy mówią o roku 1979



Fot. Krzysztof Raczkowiak

KONTYGODNIA TYGODNIA

● **I WOJEWÓDZKI** Zjazd Delegatów Związku Bojowników o Wolność i Demokrację odbył się w Legnicy w sobotę, 16 bm. Wzięli w nim udział m. in.: I sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Legnicy tow. Stanisław Cieślak, wojewoda legnicki Janusz Owczarek oraz sekretarz ZG ZBoWiD płk. Tadeusz Chlopecki.

W czasie zjazdu 12 osób udekorowano Krzyżami Kawalerskimi Orderu Odrodzenia Polski. Medalem 60-lecia Armii Radzieckiej odznaczono uczestnika bitwy pod Lenino, legniczanie, Bolesława Macieję.

Tow. St. Cieślak wysoko ocenił działalność dziewięciotysięcznej rzeszy zbowidowców naszego województwa oraz życzył im pomyślności w dalszej pracy zawodowej, społecznej i życiu osobistym.

Wybrano nowy Zarząd Wojewódzki ZBoWiD, na którego czele stanął ponownie prezydent Legnicy Jan Binek.

● **STAN ORGANIZACYJNY** i wyniki w dziedzinie indywidualnej profilaktyki społecznej w województwie legnickim były tematem plenarnego posiedzenia Wojewódzkiego Komitetu Frontu Jedności Narodu (19 grudnia br.). Obradom przewodniczyła sekretarz KW PZPR tow. Maria Kustasz. Plenum przyjęło program pracy w zakresie indywidualnej profilaktyki społecznej.

● **PROBLEMOM DALSZEJ AKTYWIZACJI** działalności Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej w środowisku wiejskim poświęcił swoje plenarne obrady Zarząd Wojewódzki TPPR. Referat wprowadzający do dyskusji wygłosiła sekretarz KW PZPR, przewodnicząca ZW TPPR, tow. Maria Kustasz. W przyjętej przez plenum uchwale zwrócono uwagę na potrzebę zintensyfikowania oddziaływania ideowo-wychowawczego na społeczność wiejską, upowszechniania wiedzy o znaczeniu polsko-radzieckiej przyjaźni i współpracy, a także umacniania i doskonalenia pracy podstawowych ogniw i miejsko-gminnych instancji TPPR.

● **WSPÓLNE POSIEDZENIE AKTYWÓW** NOT i Wojewódzkiego Klubu Techniki i Racjonalizacji odbyło się w poniedziałek, 18 bm. w Legnicy. W spotkaniu uczestniczył sekretarz KW PZPR tow. Ryszard Romaniewicz. W czasie posiedzenia omówiono dotychczasowy dorobek stowarzyszeń naukowo-technicznych i racjonalizatorów województwa legnickiego.

● **OCENIE SKUTECZNOŚCI** wystąpień ogniw kontroli społecznej przez jednostki wojewódzkie poświęcone było plenarne posiedzenie Wojewódzkiego Komitetu Kontroli Społecznej w Legnicy. W czasie dyskusji omówiono przedstawienia i podjęto wnioski zmierzające do poprawy skuteczności w załatwianiu wystąpień ogniw kontroli społecznej.

● **Z OKAZJI** 30 rocznicy zjednoczenia polskiego ruchu robotniczego w Ciochanowie zorganizowano 14 grudnia zlot przodowników pracy i nauki. Uczestniczyli w nim weterani ruchu robotniczego, władze polityczno-administracyjne miasta i gminy oraz aktyw młodzieżowy.

● **RYTMICZNIE** i rzetelnie wykonują swoje zadania górnicy z G-5 ZG „Lubin”. W przeddzień 30 rocznicy zjednoczenia polskiego ruchu robotniczego załoga oddziału zameldowała o pełnym wykonaniu rocznych zadań produkcyjnych. Tym samym do końca roku górnicy z G-5 wydobydą dodatkowo 50 tys. ton rudy i jako pierwszy oddział w historii „Lubina” przekroczą milion ton wydobycia rocznego.

O pełnej realizacji rocznych zadań zameldowała również załoga oddziału G-4. Do końca roku górnicy z G-4 wydobydą dodatkowo 38 tys. ton rudy miedzi.

● **SEMINARIUM** przewodniczących zakładowych, osiedlowych, wiejskich i środowiskowych zespołów radnych odbyło się 14 grudnia w Zakładach Kuzienniczych i Maszyn Rolniczych w Jaworze. W spotkaniu uczestniczył m. in. członek Sekretariatu KW PZPR w Legnicy, kierownik Wydziału Organizacyjnego KW, tow. Hieronim Harasimiuk. Uczestnicy seminarium zapoznali się z pracą zakładowego zespołu radnych ZKiMR.

● **FINAL WOJEWÓDZKI** Turnieju Wiedzy Historycznej „60 lat niepodległości Polski” rozegrano 17 grudnia w Klubie Spółdzielczym „Parnasik” w Legnicy. Pierwsze miejsce zajął Jerzy Kula z Legnicy, drugie — Andrzej Maciejak ze Złotoryi, trzecie — Jerzy Kujszczyk z Polkowic.

Z okazji 60 rocznicy powstania KPP i 30-lecia zjednoczenia polskiego ruchu robotniczego w cehowni szybów wschodnich ZG „Lubin” odbyło się uroczyste zebranie dwóch oddziałowych organizacji partyjnych górników.

Uczestniczył w nim I sekretarz KW PZPR tow. Stanisław Cieślak, członek jednej z tych OOP. Swoimi wspomnieniami partyjnymi podzielił się z zebranymi tow. Stanisław Cieślinski, zaś tow. Władysław Kaczmarek przypomniał historię PZPR i jej ideowych poprzedników. Grupa górników z oddziału G-3 zameldowała o ustanowieniu rekordu LGOM w umacnianiu chodników kopalnianych. Złożono również meldunki o górniczych zobowiązaniach wydobycia dodatkowych tysięcy ton rudy miedzi.

I sekretarz KW PZPR tow. Stanisław Cieślak nawiązał w swoim wystąpieniu do postanowień XIII Plenum KC PZPR, przedstawił aktualne problemy kraju i województwa, zwrócił uwagę na wysoką dynamikę rozwoju przemysłu miedziowego. Następnie w uznaniu wielkiego trudu górników, przekazał zebrany podziękowania i pozdrowienia od I sekretarza KC PZPR tow.



Fot. Janusz Budnicki

Edwarda Gierka i Egzekutywy Komitetu Wojewódzkiego. Weteranom ruchu robotniczego wręczono znaczki partyjne, wielu działaczy otrzymało nagrody i listy pochwalne. Wręczono również legitymacje partyjne grupie nowo przyjętych kandydatów.

Uroczyste zebrania odbyły się 15 grudnia we wszystkich organizacjach partyj-

nym naszego województwa. Witano na nich szczególnie serdecznie weteranów ruchu robotniczego, działaczy partyjnych, oraz kandydatów — towarzyszy, którzy w roku 30-lecia PZPR rozpoczynają dopiero partyjną działalność. W czasie wielu zebr., m. in. w Hucie Miedzi „Legnica”, ZG „Rudna”, meldowano o podjętych zobowiązaniach produkcyjnych.



Fot. Stanisław Celoch

W tych dniach legnicka Huta Miedzi obchodziła swoje 25-lecie. W okolicznościowej, jubileuszowej akademii uczestniczyli m. in. wicepremier, minister hutnictwa Franciszek Kaim i I sekretarz KW PZPR w Legnicy tow. Stanisław Cieślak. O historii huty, jej dniu dzisiejszym i zamierzeniach mówił dyrektor zakładu tow. Leszek Zieliński.

Przekazując życzenia od KC PZPR i I sekretarza KC tow. Edwarda Gierka, tow. Kaim wysoko ocenił ofiarną i wydatną pracę legnickich hutników. Następnie wicepremier udekorował szandar huty Orderem Sztandaru Pracy I klasy (na zdjęciu). Wręczono także odznaczenia państwowe najbardziej zasłużonym pracownikom huty. Krzyżami Kawalerskimi Orderu Odrodzenia Polski otrzymali: Jan Adamezyk, Stanisław Stępień i Włodzimierz Faerman. Siedem osób udekorowano Złotymi, dziewięć — Srebrnymi Krzyżami Zasługi. 36 pracowników huty z 25-letnim stażem pracy otrzymało okolicznościowe dyplomy i upominki. (p)

W legnickim Okręgowym Muzeum Miedzi czynna jest od 14 bm. okolicznościowa wystawa „PARTIA I NARÓD”. Ekspozycja związana jest tematycznie z obchodami 30-lecia PZPR. Wśród eksponatów znajdują się liczne oryginalne pamiątki, zdjęcia i plakaty obrazujące tradycje polskiego ruchu robotniczego. Wystawa potrwa do końca stycznia 1979 roku.



Fot. W. Sikorski

JEST coś szczególnego w tych świętach, coś co każe o innych myśleć życzliwie, mieć dla nich miły uśmiech, słowo, gest. Jak w starożytnej Grecji na czas olimpiad przerywano wojny, tak na czas świąt odkładamy wszelkie kłótnie i swary, by zasiąść przy uroczystej, uświęconej tradycją wieczerzy. Wbrew tendencjom do atomizacji rodziny współczesnej w tym dniu opowiadamy się za rodziną tradycyjną, wielopokoleniową. Żeby nie warunki mieszkaniowe i kilka innych drobiazgów, najchętniej przy stole w tym dniu widzielibyśmy całe rody z licznymi nawet odgałęzieniami. Wszystko w ten wieczór, przygotowane zapachem jedliny i palących się świeczek, przepojone jest bowiem atmosferą rodzinną.

Nigdy zresztą święta, szczególnie świąt, nie miały w Polsce innego charakteru. Zawsze były świętem tych, którzy zasiadali wokół stołu, i tego, na którego czekało jedno wolne miejsce. Kiedyś było to miejsce „dla tego, co w drodze”. Był jednak czas, kiedy tych wolnych miejsc wokół świątecznego stołu przybywało coraz więcej, a ci, na których czekano, nie przychodzili i nigdy przyjść nie mieli. Były polskie rodziny, w których pustych miejsc przy wigilijnym stole było znacznie więcej niż biesiadników.

Pokolenie to, najbardziej doświadczone przez los, schodziło się na świąteczną biesiadę, by czerpać z niej siłę do przetrwania, a później — do odgrzebywania z gruzów Polski i własnego życia. Puste miejsca zaczęły zajmować ci, co wracali z tułaczki. Biedny był ten polski stół biesiadny, ale był on już polski.

Zadaję, czy naprawdę był on, aż tak biedny, skoro ugiął się pod takimi dobrami, jak praca, ziemia dla chłopów i powszechny dostęp do oświaty? Przecież to wtedy nie trzeba było się stresować egzaminami — wystarczyło wziąć łopatek czy kilof, odgruzować uniwersytet czy politechnikę i po prostu zacząć się uczyć.

Refleksja, jaka zaczęła się przewijać w rozmowach świątecznych, coraz mocniej wiązała ze sobą takie pojęcia jak pomyślność jednostki i narodu, rodziny i państwa. Świadomość tego wyrażała się w stosunku do toczącego się warkotu życia. Współzawodnictwo zainicjowane przez Wincentego Pstrowskiego, podjęte przez młodzież i całe niemal społeczeństwo, było widomym tego dowodem. Osiągnięciem rodziny, fetowanym przy stole wigilijnym, bywały wtedy narodziny nowego potomka i ukończenie kursu dla analfabetów, pierwsze dyplomy wyższych uczelni i pierwsze osiedla, pierwsze awanse, mosty i pierwszy polski rudowęglowiec „Soldek”.

★

Kongres Zjednoczeniowy w grudniu 1948 roku oznaczał już nie tylko zamknięcie długiego okresu rozbięcia polskiego ruchu rewolucyjnego, ale i konsolidację polityczną Polaków. Podejmując dyskusję nad wytycznymi planu 6-letniego, określającego pierwszą perspektywę rozwoju kraju, partia

miała pełną świadomość poparcia, jakiego udzielało jej całe społeczeństwo. Jakie mam na to dowody? Wszystko, czego dokonano w tym kraju. Bez powszechnej akceptacji Polski socjalistycznej wówczas nie zrobilibyśmy nawet części tego, czym się dzisiaj słusznie szczycimy. Gdybyśmy zmarnowali tamten czas — nie byłibyśmy też przygotowani do podjęcia w latach siedemdziesiątych zadań stokróż trudniejszych, bo wymagających znacznie wyższych kwalifikacji, umiejętności i sprawniejszego działania. A przecież do podjęcia ich byliśmy przygotowani. Polak niejednokrotnie wykazał w kraju i za granicą, że potrafi dorównać najlepszym. Ci ludzie, dokonujący z całym społeczeństwem gigantycznych przeobrażeń ostatniej de-

pogwarka rodzinna przemienia się w twardą, nie oszczędzając nikogo dyskusję o naprawie Rzeczypospolitej, jak krzyżują się argumenty i zarzuty, przy użyciu których „Wy” oznacza najbliższego członka rodziny i jego współtowarzyszy pracy, jak często syn z dyplomem wyższej uczelni w kieszeni oblewa egzamin z przedmiotu ŻYCIE przed ojcem robotnikiem czy rolnikiem. Oblewa, bo nie znajduje racjonalnych argumentów, a frazesy w tym gronie są niedopuszczalne.

Jest to jedno z największych osiągnięć 35-lecia, wykazujące, że sojusz klas, wspólnota całego narodu dawno przestały być dla nas pojęciami wyznaczającymi cel, że stały się treścią naszego życia — sojuszem i wspólnotą niemal ro-

brego w tym kraju, na tej Ziemi spotkać. Życzymy więc sobie:

★ szybkiego wyeliminowania z naszego życia postaw, zachowań i nawyków opóźniających dochodzenie do wyznaczonych celów. I — naczaj — przebudowania świadomości tej części społeczeństwa, która zbyt jednostronnie pojęła zmiany zachodzące ostatnio w Polsce, która — mówiąc obrazowo — chciałaby czerpać zyski z produkcji kolorowych telewizorów, posługując się przy ich produkcji młotkiem. I to nie męcząc się;

★ życia życzliwego. Co przez to rozumiem? W zasadzie wszystko, co może stać się pięknym dopełnieniem dostatku. Zarówno życzliwość tę małą — w domu, na ulicy, w tramwaju, w zakładzie pracy, szkole, sklepie, jak i tę dużą — nadającą ludzki sens, wymiar temu co robimy w znaczeniu profesjonalnym. Przepisy, normy prawne, które nas w życiu obowiązują, które regulują nasze stosunki z innymi, załatwiają bowiem tylko część spraw. Istotą naszego działania winna być natomiast zwykła ludzka życzliwość, chęć zrozumienia drugiego człowieka, luksus wysłuchania go do końca.

★ I życzenie najważniejsze. Żeby nigdy przy naszych stołach świątecznych nie było więcej pustych miejsc nad to jedno — „dla tego, co w drodze”.

Jesteśmy narodem ciężko doświadczonym przez wojnę, dopiero niedawno narodził nam się 35-milionowy obywatel, zajmując tym samym niejako ostatnie tragicznie opuszczone miejsce przy narodowym stole, i wiemy, że pokój nie jest dobrem danym raz na zawsze. Wiemy, że 34 lata bez wojen jest to zasługa mądrej, dalekowzrocznej polityki partii, sojuszu ze Związkiem Radzieckim i krajami wspólnoty socjalistycznej, że ów przywilej życia w pokoju został okupiony milionami istnień. Wiemy również, że w historii nigdy nie liczono się z narodami słabymi. Dlatego troska o znaczenie i autorytet Polski na arenie międzynarodowej, o jej pomyślny wszechstronny rozwój — jest dla nas nie tylko dążeniem do zaspokojenia rosnących potrzeb, ale i racją stanu. Naczelnym obowiązkiem patriotycznym każdego Polaka.



ADNE z tych życzeń nie jest do zrealizowania rozdzielnie, tak jak nie jest do zrealizowania pomyślność jednostki, rodziny — bez rzeczywistych, wymiernych sukcesów całego narodu.

TADEUSZ PŁOCIŃSKI



MYŚLI SPÓD CHOINKI



kady, ludzie którzy zdobywają laury zagraniczne, rozslawiają imię Polski, polską naukę, kulturę, sztukę i sport, są produktem tego kraju, tego ustroju i tych warunków, w jakich przez 35 lat, bez mała, wzrastaliśmy.

★

Posadźmy na chwilę przy stole świątecznym taką typową polską rodzinę wielopokoleniową, o jakiej mówiłem na początku. Nie będzie potrzebny ani rocznik statystyczny, ani żaden podręcznik wyjaśniający przemiany, jakie dokonały się na przestrzeni 35-lecia w społeczeństwie polskim. Już na pierwszy rzut oka widoczny będzie powrót do tradycyjnego jednego tylko wolnego nakrycia przy stole — „dla tego, co w drodze”. Reszta miejsc będzie zajęta. Obok siebie zasiądą ludzie bardzo sobie bliscy, ale różniący się wielkim, zawodem, wykształceniem i miejscem zamieszkania. Obok seniora rodu — np. rolnika — zasiądzie syn robotnik, wnuk lekarz, synowa inżynier, student, uczeń itd. itp. Kombinacji może tu być zresztą nieograniczona ilość — jedno tylko nie ulegnie zmianie: będą to zawsze ludzie różni pod każdym względem. Jedynym czynnikiem wiążącym ich — poza więzami rodzinnymi — będzie kraj, w którym żyją, i to, co wspólnie dlań robią.

To nie frazes. Trzeba słyszeć, jak po oficjalnych „co u was nowego”

dzinna. Mało jest bowiem rodzin w Polsce, w których słowa: robotnik, rolnik czy inteligent nie oznaczałyby imion i nazwisk sercu bliskich. W sensie przenośnym i dosłownym.

Dla takiej rodziny, a więc praktycznie rzecz biorąc, dla każdej polskiej rodziny, nasze osiągnięcia ożyły i są sprawą oczywistą. Osiągnięciem był „Soldek” i radio „Pionier”, huta „Lenina” i pierwsza pralka polska sprzedawana na talony, huta „Katowice” i wymarzone dziecko polskiej motoryzacji — „maluch”. Osiągnięciem są też spory o lepszą przyszłość, o to jak usuwać to, co przeszkadza nam się do niej szybko zbliżyć. Życzenia, jakie składamy sobie w czasie świąt, przestały być bowiem gestem, symbolem, marzeniem — stały się wyrazem konkretnych dążeń, znajdujących oparcie i pokrycie w polityce państwa. Czego bysmy bowiem sobie nie życzyli — zdrowia, pieniędzy, postępów w nauce, ciekawych podróży, samochodu, mieszkania itd. — wszystko znajduje swoje racjonalne uzasadnienie, szanse realizacji w pomyślności kraju i jego sukcesywnym rozwoju.

★

Są wszak trzy życzenia, które dla każdej polskiej rodziny mają znaczenie szczególne, warunkują bowiem wszystko, co może nas do-

Z KULACHEM je-
chaliśmy syren-
ką, a Pogwizd te-
lepał się furman-
ką. Kilometr z o-
kładem dzielący zagrodę Ku-
lacha od gospodarstwa Ma-
zurków przebyliśmy prawie
równocześnie: my samochodem,
a Pogwizd furmanką. I
pewne jest, że gdybyśmy się
ścigali, Pogwizd pognąłby ko-
byłą i byłby pierwszy. Albo-
wiem syreny nie było szans
pognać po wybojach drogi.

— Czy to nie wstyd, żeby na-
wet przyzwolonej drogi we wsi nie
było? — Anatol Mazurek pyta re-
torycznie, bo wiadomo, że wstyd.
— Droga musi być pierwszą rzeczą,
za którą się weźmiemy. My, to zna-
czy spółdzielnia...

O Rolniczej Spółdzielni Produk-
cyjnej zaczęto rozmawiać w Bren-
niku na początku tego roku. Tak
przynajmniej twierdzi Henryk Ku-
lach — jeden z inicjatorów. Z tych
właśnie sąsiedzkich rozmów, wz-
ajemnych przekonywań, rozmyślań
w zaciszu domowym i dyskusji na
wieskich zebraniach, powstała w
listopadzie spółdzielnia, która liczy
sobie teraz 13 członków założycie-
li, w tym czterech pełnoprawnych,
którzy do niej przystępują z wła-
snymi gruntami. W ten sposób
spółdzielnia ma już 54 hektary u-
żytków rolnych. O następne hek-
tary zadba już pani naczelnik zło-
toryjskiej gminy. O sprzęt dla spół-
dzielców: ciągniki, przyczepy, ma-
szyny, samochód dostawczy — Wo-
jewódzki Związek Rolniczych Spół-
dzielni Produkcyjnych, Związek
pomysłi też o kadry kierownicze,
pomocze znaleźć i opłacić. Ze środ-
ków młodej spółdzielni płaci się
tylko przewodniczącemu i główne-
mu księgowemu. Ponadto WZ RSP
przydzieli limity inwestycyjne.
Bank zaś da kredyty, a później 70
procent umorzy. Czegoż się nie robi
dla spółdzielni...

Nie nie stoi na przeszkodzie, aby
zabrać się do roboty. Chociaż nie,
jest jedna, i to istotna: brak prze-
wodniczącego. Wybrany na listo-
padowym walnym zebraniu szef
spółdzielni zdążył już awansować.
Został naczelnikiem jednej z gmin.
Schlebia to może i spółdzielcom, ale
cieszyć się nie mają z czego —
ich przewodniczący, owszem, rzą-
dzi gminą, ale odległą, a tutaj bez
niego ruszyć nie można. Trzeba
mianowicie zatwierdzić plan, bez
którego z kolei nie można starać
się o przydziały materiałów, o kre-
dyty, o cokolwiek zresztą.

Z wielką więc ulgą Henryk Ku-
lach przyjmuje wiadomość, że jest
już kandydat na osierocone stano-
wisko: fachowiec, mający praktykę
w zarządzaniu gospodarstwem rol-
nym, albowiem kierował kilka lat
pegeerowskim, a ostatnio pracują-
cy w lubińskim kombinacie jako
główny specjalista od mechaniza-
cji.

— To dobrze — powiada Kulach
— akurat będzie Egzekutywa Kō-
mitetu Gminnego, to się kandyda-
turę rozpatrzy. I trzeba szybko za-
łatwiać, bo robota czeka...

Po czym Henryk Kulach — I se-
kretarz POP w Brenniku, członek
Egzekutywy KG PZPR i oczywiście
członek zarządu spółdzielni —

wymienia długą listę rzeczy ko-
niecznych do natychmiastowego
zrobienia, kiedy już wreszcie bę-
dzie nowy przewodniczący.

Poszliśmy oglądać przyszłą wła-
sność spółdzielni — oborę na sześć-
dziesiąt sztuk bydła — budowaną
przez Kulacha. Jutro gospodarz je-
dzie po szyby do Legnicy, a na ra-
zie po przestronnym budynku hula
ostry grudniowy ziąb. Wejście do
obory zasłonięte słomianą matą —
dwóch robotników, kończy właśnie
robić ogromne wrota. Kiedy już
będą drzwi i okna, to pozostanie
tylko wyrównać posadzkę, założyć
ruszta (obora będzie beczciolkowa),
umocnić wiązanie, posprzątać i
sprowadzić rogatych mieszkańców.
Na początku przyszłego roku obora
powinna być gotowa.

Tak to wszystko powinno wy-
glądać. Ale Henryk Kulach liczy
się z możliwością, że spółdzielnia
będzie wolala mieć chlewnię, za-
miast obory. Proszę bardzo — wy-
starczy zamiast stanowisk dla by-
dła zrobić kojce dla świń. Wszy-

Czy to było kiedykolwiek na wsi
do pomyślenia, żeby sobie na przy-
kład w góry pojechać na dwa ty-
godnie?

Tak, socjalne zdobycze nie pod-
legają najmniejszej dyskusji. Ży-
cie na spółdzielczej roli wreszcie
jest życiem, a nie nieustannym
wyścigiem z czasem, którego ciągle
brak w gospodarstwie. Jeżeli zaś
chodzi o finansową stronę zagad-
nienia, to w dobrej spółdzielni za-
robi się tyle, co w dobrym gospo-
darstwie. Tak twierdzi Henryk Ku-
lach, który zrezygnował z dwu-
dziesięciu hektarów i nowoczesnej o-
bory na sześćdziesiąt stanowisk.
I wiadomo, że Henryk Kulach do-
brze policzył co mu się bardziej o-
płaca i co jest lepsze: być specjali-
stą czy spółdzielcą?

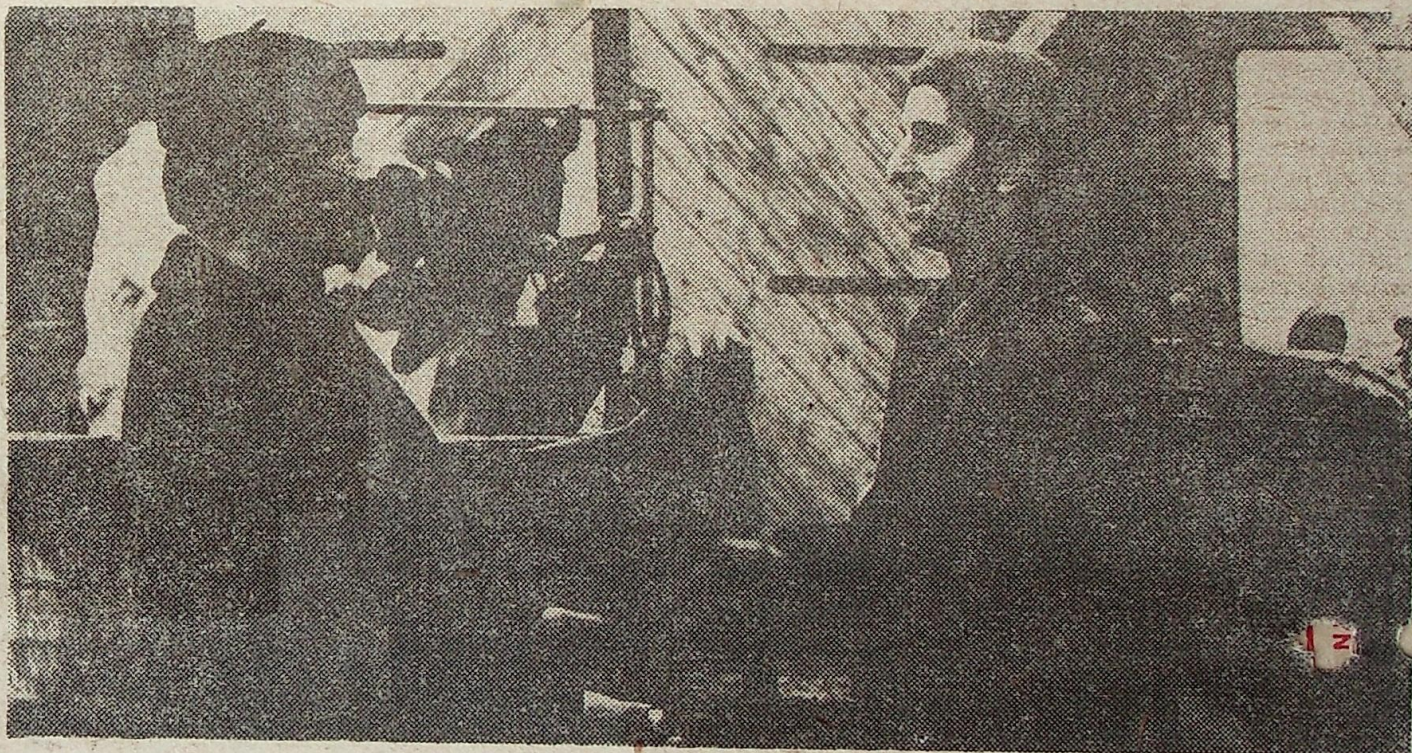
Zresztą nie tylko Kulach tak są-
dzi. Akces do spółdzielni podpisał
na przykład Ludwik Szapował, któ-
ry ma chlewnię na prawie 200
świnek, Józef Skalski i Jan Po-
gwizd — jeden i drugi z hektara-
mi i zagrodami. Chociaż nie wszy-
scy — jak Kulach — są już zupeł-

może jakiś klub zorganizować
wspólnym wysiłkiem lub choćby
sklep. Bo na razie jest tylko kiosk
spożywczy...

Antoni Mazurek, ojciec Anatola,
cieszy się, że jego syn i przyszły
dziedzic jedenastu hektarów jest
członkiem spółdzielni: „Życie bę-
dzie miało lepsze, pieniędzy więcej
niż z tego gospodarstwa, a i dobrze,
że będzie tu wreszcie porządna, no-
woczesna gospodarka”. Tak powia-
da stary Mazurek, który przecież
pamięta jak w Brenniku powsta-
wała i rozlatywała się niegdyś spół-
dzielnia. Ale stare to dzieje, ina-
czej się ćwierć wieku temu wstępo-
wało do spółdzielni i inaczej się
w niej gospodarowało...

Ma więc syn ojcowe błogosła-
wienie na spółdzielcze życie, a
bardzo rychło też i ojcowe hekta-
ry, które przekaze do wspólnego
gospodarstwa. I ma pewność mło-
dy Mazurek, że wybrał słusznie.
„Tylko żeby przewodniczący był
dobry — mówi — bo wszystko bę-
dzie zależeć od mądrych rządów.

KOŃ NIE PRZEŚCIGNIE SAMOCHODU



Jan Pogwizd (z lewej) ma wątpliwości a Henryk Kulach (z prawej) dobrze policzył co mu się bardziej
opłaca: być specjalistą czy spółdzielcą.
Fot. Krzysztof Raczkowski

sko można, póki budynek nie
wykończony.

— Wątpię jednak, czy spółdziel-
nia będzie wolala tuczniaki — po-
wiada. — W końcu świń mamy
już dość, natomiast z wołowiną są
coraz większe kłopoty. Teraz trze-
ba bydła. Więc póki co, stawiam
oborę...

Henryk Kulach posiada (a raczej
posiadał zanim został spółdzielcą)
20 hektarów gruntu, ciągnik z kom-
pletem maszyn i miał w połowie
1979 roku zostać specjalistą w pro-
dukcji mleka i żywca wołowego.
Znacznie więc muszą być korzyści
ze spółdzielczego gospodarowa-
nia, jeżeli zrezygnował z takich
perspektyw.

— Pewnie, że znaczne — mówi.
— Zamiast pracy od świtu do no-
cy, będzie dniówka. Koniec wresz-
cie tego ciągłego myślenia o wszy-
stkim, bez chwili wytchnienia. Kie-
dy człowiek jest sam na takim go-
spodarstwie, to jakkolwiek choro-
ba oznacza katastrofę, wolny dzień
jest marzeniem. Więc po co tak
tyrać, skoro można inaczej? Mieć
wolne wieczory, od czasu do czasu
cały dzień, urlop. Właśnie, urlop!

nie pewni. Ale ich wątpliwości by-
wają zgola nie finansowej czy so-
cjalnej natury.

— Bo to trzeba będzie na okre-
śloną godzinę przychodzić do pra-
cy, robić co każą czy się chce, czy
nie chce. To nie na moje zdrowie
— narzeka Jan Pogwizd.

Chodzą słuchy, że Pogwizd zrej-
teruje ze spółdzielni, Pogwizd ani
zaprzecza, ani potwierdza. Ma czas
na ostateczną decyzję: przez rok
od podpisania deklaracji można się
jeszcze wycofać. Zresztą, jakże mo-
głoby się obyć bez takich wątpli-
wości, wahań, skoro godząc się na
dniówkę i urlop, trzeba się zgo-
dzić także na kierownika i na ko-
niec samodzielności. Jedno kusi,
drugie straszy; jedno i drugie nie-
znane gospodarzom. Trzeba czasu,
żeby jeszcze obce na wsi pojęcia
zagościły w niej na stałe. To nor-
malne, że ktoś ze spółdzielni wy-
stąpi, a inny do niej przyjdzie.
Henryk Kulach macha na to wszy-
stko ręką: „Jak już jest spółdziel-
nia — to będzie!”

Anatol Mazurek twierdzi, że
spółdzielnia to szansa dla wsi. Mo-
że wreszcie uda się zrobić drogę.

PRAWDA jest, że od
kierownictwa dużo za-
leży, ale równie dużo
— od wszystkich spół-
dzielców. Od nich
zależy, kiedy uporają
się z modernizacją przeznaczonych
dla spółdzielni budynków inwen-
tarskich w Wysoku. Obiekt ten,
prawie w całości stanowiący wła-
sność PFZ, jest jakby wymarzony
dla spółdzielni: ogromny, okolony
murem, zdolny po adaptacji po-
mieścić nawet tysiąc tuczniaków,
pasze dla nich i sprzęt. Ale na ra-
zie chyli się ku ruinie — jedne
dachy się wala, inne już zawaliły
i wyrastają między murami krze-
wy i zarośla. Szybko trzeba prze-
jąć te zabudowania i odbudować.
A później budować następne chle-
wnie i obory, zagospodarowywać
hektary, które rolnicy przekazywać
będą państwu za rentę, wspólnym
wysiłkiem tworzyć nowoczesne bo-
gate gospodarstwo.

No i trzeba zrobić tę nieszczęsną
drogę. Żeby w Brenniku już nigdy
koń nie prześcignął samochodu.
I to nie dlatego, że koni w spół-
dzielni nie będzie...

KRZYSZTOF DĘBEK



Karol Dobosz

chodzimy. Ojciec też już prawie nie może. Ile on ma lat? Mówi zawsze „Czterdzieści osiem”, ale to znaczy odwrótnie, osiemdziesiąt cztery. „Nie mówię ile, bo by się ludzie przestraszyli, że tyle lat mam”. Nogi by go jeszcze doniosły, ale w pierściach dusi.

Byłam na Barbórce. To już chyba będzie trzy lata. W Lubinie. Dali mi wtedy złoty medal. Za synów, że do kopalni poszli. I nagrodę. Pięknie się wtedy napatrzyłam. Nie tańcowałam, bo nogi bolały. Już nie tańczę. Na weselu my byli. Czwartego listopada. Tam mnie wzięli chłopcy, takie co my się znamy długo. „Chodź, pani Doboszowa. Będziemy tańczyć!”. „Jak ja będę tańczyć, kiedy ja z laską?” — mówię. Wziął ten gość na rękę laskę, a mnie, mój Boże, obracać się nogi nie chcą. Ale ja umiałam tańcować jak diabli. A teraz nie da rady...

Miałam 27 lat, jak wyszłam za mąż. Mąż 35. Tyle wychowaliśmy dzieci. Teraz dzieci mają dzieci. A my jeszcze żyjemy...

ULICA PAWIA W LUBINIE. SZÓSTE PIĘTRO. MICHAŁ: 10 lat pracowałem na „Lenie”. Od 1972 roku na „Konradzie”. 5 czerwca 1974 roku przyszedłem na „Rudną”. Dojeżdżam do pracy 16 kilometrów. „Rudna Zachodnia”. Wsta-

mamy uczynnych. Nieraz nie ma w domu mnie ani Zosi to przyjdą. Zobaczą, co dzieciaki robią. Człowiek się już nie martwi, że same...

Ja już jestem stary górnik. 17 lat pod ziemią. Czasem się zażartuję z młodych. Przyszedł raz chłopaczek młody spod Głogowa. Nie był zorientowany... A może jakiś przeleknięty? My w brygadzie całkiem poważnie do niego mówimy, że jak będzie wypłata, to po 500 złotych się złożymy, zakład dopłaci resztę i kupimy mu konia. On na to, że koń w kopalni oślepnie. Ale my nie. „Zanim oślepnie to porobi” — gadamy. A on pyta — „A co będę nim robił?” — „Będiesz rozwózł materiał, zbierał złom”. Oj, było wtedy śmiechul.

PLAC JANA Z GŁOGOWA. GŁOGÓW. KAROL: Pierwszy z rodziny poszedłem do kopalni. W pięćdziesiątym piątym wyszedłem z wojska i szukałem pracy. Zacząłem na „Lenie”, na G-1. Drugi z Doboszów pod ziemią był Mieczysław. Później Alojzy i Michał. Tylko Alojzy zaczynał gdzieś indziej, w „Nowym Kościele”. My trzej na „Lenie”. W 1969 roku przyszedłem na „Polkowice”. Za rok dostałem mieszkanie. Przywiozłem do Głogo-



Alojzy Dobosz

strzelania taki sam jak poprzednio. Może nawet większy...

Z robotą jest tak. Jak wszystko idzie dobrze, to przyjdzie sztygar czy kierownik. „Cześć Karol! Fedruj, fedruj!”. Przywitają się. Pójdą zadowoleni. Jak robota stoi, nie ma maszyn, bo zepsute czy bez opon, to: „Cóż ty robisz?! Czemu nie fedrujesz?!”. Dlatego jak pracowałem na przodku ciągle chodziłem. Do dyrektora, do KZ, do kierowników. „Trzeba części i opon!” — mówiłem. Bo jak fadromy stoją — nie ma dobrej atmosfery w pracy, ludzie chodzą zdenerwowani, nie zarobią. Na KSR-ach już wiedzieli o czym będę mówił. I gdy wstawałem to dyrektor głowę, o tak, chował i słuchał. Domagałem się, żeby ludzie mieli czym pracować. Bo chcą pracować, ale jak mają robić plan bez części i opon?

Teraz już nie pracuję na przodku. Zostawiłem akord. Jestem sztygarem grupy zabierającej złom. Po prostu czyszczę oddziały ze złomu. Wiele o tych ludziach z dołu mogłbym powiedzieć. Po tylu latach... Nie miałem nigdy z nimi kłopotów. Wiedziałem, co w którym siedzi. Byli też chłopcy z Wrocławia. Dwóch czy trzech już zostało tu. A są tacy, co ich za żadne skarby do roboty nie zagonisz. Enkowiec, czyli bumelancz. U mnie nigdy nie mogli załatwić. Zdarzają się też inne enki. Człowiek uczciwy, wyjechał gdzieś, nie wrócił i ma nieobecność. Takim można załatwić i takim idzie się w kopalni na rękę. Przecież ci ludzie nieraz całe lata przepracują bez nagan, nieobecności. Wzorowo. I tacy nie zmieniają roboty. Przyjdzie, to już pracuje. Raz jest mu źle. Raz dobrze. Jak w życiu. A kopalnia też ma swoje życie. Najczęściej zmieniają się enkowiec. Tu pracował, tam... Za forszą chodzą, a przecież, żeby zarobić to w każdym miejscu trzeba porządnie się napracować...

Jeżdżę do Pszczewa na ryby. Mam trabanta. Mówią, że nie wóz. Ale do przodu jedzie. I to najważniejsze. Wyskakuję samochodem, na dzień, albo na całe wieczory. „Polkowice” mają w Pszczewie swoje domki. I gospodarza tam dobrego mają. Jedzie już wczesną wiosną, przygotowuje wszystko i można wczasować.

Brat Alojzy też pracuje w „Polkowicach”. Tyle, że w ZRG. A Mieczysław na „Rudnej”. Ale teraz wyjechał do sanatorium, do Polanicy. I gdyby tak z wszystkimi Doboszami, co w górnictwie robią, pogadać, to trzeba więcej czasu. Przecież już drugie pokolenie z tej rodziny jeździ pod ziemią. Synowie siostry z Wilkowa...

CZERWONE złoto. 750 funtów za tonę na londyńskiej giełdzie. Huta „Legnica” i „Głogów”. Kopalnie „Konrad”, „Lubin”, „Polkowice”, „Rudna”. 23 miliony ton rudy rocznie. 36 tysięcy etatów. 36 tysięcy akt personalnych. 36 tysięcy ludzkich losów...

GRZEGORZ CHMIELOWSKI

DOBOSZÓW ŻYWOT NA MIEDZI

ję o czwartej trzydziestej. Autobus jest przed piątą. Wracam dziesięć po trzeciej. Nieraz trzeba zostać. Pracuję w systemie czterobrygadowym, na wszystkich zmianach.

Byłem strzałowym, a teraz wierce. Przygotowuję przodki do strzelania na oddziale G-15. i „półoperatorem” jestem, bo skończyłem kurs. Egzamin oblałem, ale niedługo jest następny. Chyba zdam.

W mojej brygadzie, sztygara Nadołskiego, pracuje piętnastu—siedemnastu ludzi. Przeważnie mają po dwadzieścia kilka lat. Po wojsku. Jest paru po trzydziestce. Co ja będę mówił? Żeby zarobić, trzeba pracować. Tak jest pod ziemią. Niektórzy działają w ZSMP i w partii. Na każdym oddziale mają swoje brygady. To nie znaczy, że mniej pracują, bo partyjni. Więcej! Tu, na dole i po szybie, na górze. To jest poświęcenie. W pracy zależy wiele od kierowników. Skład naszej brygady właściwie się nie zmieniał. Kierowników było już kilku.

W tym roku dobrze wypada. Do pracy idę w wigilię rano. Pierwszy dzień wolny cały. Drugi dzień świąt do połowy, bo o czternastej jadę. Będą święta. A Barbórkę przesiedzieliśmy w domu. Ja, żona Zofia i dzieci. Robert chodzi do trzeciej klasy, a Iwonka do czwartej. Ona choruje. Od roku temperatura. Bóle w okolicach nerek. Lekarze wysyłali na badania i nerki leczyli, bo na to wyglądało. Zosia pojechała z nią do Wrocławia i w klinice okazało się, że kręgosłóg skrzywiony... Barbórka była właśnie na dwa dni przed tym Wrocławiem. Smutno było. Zresztą tutaj Barbórki to nie to, co kiedyś, w Złotoryi. Wstęp był wolny. Miejsca dla wszystkich chętnych. Tu są ogłoszenia, ale jak się pójdzie po bilety, to sprzedane.

Tesknimy za Złotoryją. Jeździmy tam, kiedy tylko mamy wolną chwilę. I wiecie, jest takie, bo Złotoryja w Lubinie pełno. Przyjemnie jest spotkać znajomą twarz. Kłaniamy się często, choć złowicki człowieka nie zna. Ale widzieliśmy się kiedyś w Złotoryi i to wystarczy.

Dobrze nam się tu mieszka. Zosia pracuje w pogotowiu. Dzieci mają blisko do szkoły. I sąsiadów

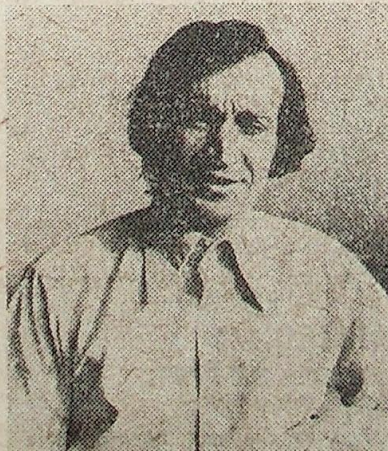
wa żonę. Władysław, syna Stanisława i córkę Wandę. Moim oddziałem macierzystym w Polkowicach był G-21 pod kierownikiem Edwardem Sobalą.

Pod ziemią pracuję już 23 lata. Czy ja wiem co było najważniejsze, o czym opowiadać?

Z jednodniówki „Górnika Polkowicki”, rok 1976, artykuł pt. „Najlepsi z najlepszych”:

„Karol Dobosz. W roku 1963 wstępuje do partii. W latach 1967—69 pełni funkcję członka Egzekutywy KZ PZPR Zakładów Górniczych „Lena”. Jest również radnym MRN w Złotoryi. 13.10.1969 roku podejmuje pracę w naszych zakładach jako górnik strzałowy w przodującym wówczas oddziale G-21 na Polu Wschodnim. Jego głównym dążeniem jako doświadzonego pracownika było i jest pełne zaangażowanie w pracę społeczną na rzecz przestrzegania bezpieczeństwa i higieny pracy. Od kilkunastu lat jest aktywistą bhp. W 1972 roku KZ PZPR powołał aktywistów gospodarki materiałowej rekrutujących się spośród doświadczonych i dobrych pracowników. Jednym z pierwszych, którzy się zgłosili był właśnie Karol Dobosz. Z jego inicjatywy zakłady nasze poczyniły oszczędności sięgające wielu setek tysięcy złotych. Za udział w opracowaniu nowych systemów eksploatacji rud miedzi w 1972 roku został laureatem Nagrody Państwowej i Stopnia”.

Nie ja sam to robiłem. Było wielu innych. Wprowadziliśmy strzelanie saletrą na szybach „Polkowice Wschodnie”. Była to duża oszczędność. Saletra jest tania, a efekt



Michał Dobosz

Z LOTORYJA. ULICA SŁONECZNA. MARIA I WOJCIECH — RODZICE: Pochodzimy spod Nowego Sącza. „Podgórale”. Jeszcze nie górale, bo prawdziwi to z Limanowej, Nowego Targu, Zakopanego. Pod Nowym Sączem mieliśmy gospodarstwo. Wszystkiego dwie morgi. Dzieci tam się porodziły. Sześcioro. Po wojnie wyjechaliśmy w Poznańskie. Dostaliśmy gospodarke, 15 hektarów, ale nie miał kto robić. Karol, najstarszy, kończył dopiero dwanaście lat i do szkoły chodził. Pojechaliśmy pod Kamienną Górę. Tam pracowaliśmy w pegeerze. Dzieci były jeszcze małe, pomagały, chwasty z pszenicy wyrzywały.

Później pojechaliśmy do Siele. Też do pegeeru, a jeszcze później do Prusic. I w pięćdziesiątym piątym tu. Ojciec, znaczy mąż, przeszedł do pracy w „Nowym Kościele”. Ale nie był górnikiem. Stróżował. Prawie 11 lat. Jak się kopalnia rozleciała, to poszedł na rentę. 65 lat miał wtedy.

Ja pracowałam koło dzieci. Cztery synów i dwie córki. Michał najmłodszy. Nigdy do górniczej szkoły nie chodził. Ale jak poszedł do górników, sam sobie zrobił szkołę. Karol jest sztygarem. Alojzy w ratownictwie. Michał był strzałowym, a teraz na maszynie. Miotus jest instruktorem. Czy dobrze zarabiają? Nigdy pieniędzy mi nie pokazywali.

Byliśmy u nich w domu. Wszędzie się podoba. Dobrze mieszkają. Tylko Karol ma takie niefajne mieszkanie, bo długie. Jak w szpitalu. Tu pokój, tu pokój, tu kuchnia. W jednym rzędzie... I synowie mi się podobają. Mieszkały kiedyś ze mną. Poszły. A co się miały nie kłócić?! Jak trzeba było to i pokłóciliśmy się. A kto miał ustępować? Ja, matka? Mają one prawo nie ustąpić? Matce muszą.

W tym mieszkaniu od pięćdziesiątego piątego mieszkamy. Dwa pokoje i kuchnia. Teraz nie jest nam ciasno. Ale było ciasno. Leżeli jak śledzie. Pomalu pożenił się i każdy poszedł na swoje. A kiedy oni przyjadą, Boże, nigdy nie wiem. W tamtym roku przyjechali na święta. Ale w tym? Karol ma wesele. Córkę żeni. Czy będzie mógł? Imieniny jak mam, to też przyjadą. Wszyscy. Drugiego lutego, na Marii. Na prezenty, co mogą to dadzą. Chustkę na głowę, sweterek. Ojcu też przyniosą co na imieniny. 23 kwietnia jest Wojciecha...

Mamy tu dobrych sąsiadów. Pójdę do nich. Ale plotkować ja nie lubię. Zapytam, co tam u was słychać, czyście zdrowe?, co żecie nakupili na święta? i więcej nie. Sąsiedzi też przychodzą do nas. Ale człowiek więcej siedzi sam, bo każdy ma swoją na święta robotę. Wnuczka przyjedzie, to mi pomoże posprzątać.

Kiedyś mieliśmy działkę. Robiliśmy na niej. Dopóki mogłam. Jak byłam młodsza. Teraz już nie. Nogi... Mało

CZESŁAW FERDYN wiceprezydent Legnicy:

— Legnickim sukcesem numer 1 jest wybudowanie w 1978 roku mieszkań dla prawie 1200 rodzin. Budowniczowie nadrobili opóźnienia i na osiedle Kopernika przeprowadziło się ok. 4 tys. mieszkańców. Ale nie zapominaliśmy też o starej Legnicy. Uporządkowaliśmy tereny wokół ul. Pocztowej i hotelu „Cuprum”. Zmienili swój wygład ulica Wrocławska, dzięki wyburzeniu ruder. Zmienił się układ komunikacyjny. Została „zapięta” mała obwodnica i gdy tylko „dojrzeje” beton w stropach podziemnego przejścia, zostanie ona w całości włączona do systemu komunikacyjnego Legnicy. Zmodernizowaliśmy też ulicę Waszkiewiczską, a nad ul. Pocztową i Piastowską prowadzą kładki dla pieszych. Wiele zmieniło się w handlu.

Na ukończeniu jest budowa Spółdzielczego Domu Handlowego. Otworzyliśmy placówkę „Mody Polskiej”, „Desq” i sklep „Cepclij” w Rynku. Eleganckie pomieszczenia przygotowaliśmy też dla „Poleny” — przy ul. Rosenbergów. Poważnie zaawansowana jest budowa dużych pawilonów handlowych na osiedlu Kopernika. Będą czynne w roku przyszłym.

Ruszyła wreszcie budowa szpitala wojewódzkiego. Wykonano już roboty ziemne, zbudowano drogę, doprowadzono sieć elektryczną i wodociagową. Mieliśmy, niestety, i niepowodzenia. Złobek na osiedlu Kopernika miał być gotowy w lipcu, a został oddany dopiero przed kilkoma dniami. Nie udało się „wcisnąć” do planu na rok przyszły budowy przychodni zdrowia dla tego osiedla. Za mało też, w stosunku do istniejących potrzeb, wyremontowaliśmy starych domów, dachów i pieców.

Musimy jeszcze dużo popracować nad czystością miasta. Co prawda jest już lepiej, ale jeszcze nie tak, jak być powinno.

MARIAN FULAWKA dyrektor ZPO „Elpo” w Legnicy:

— Na sesji KSR w IV kwartale tego roku skorygowaliśmy nasze plany produkcyjne. W górę. I ten skorygowany plan też przekroczyliśmy. Było to możliwe dzięki prowadzonemu przez cały rok pracom modernizacyjnym, wyposażeniu zakładów w wydajne, specjalistyczne maszyny, zmiany w organizacji pracy — tylko utworzenie dwóch zespołów produkcyjnych o transporcie podwieszonym dało przyrost wydajności o 15 proc. Poza tym walczyliśmy o czas — staraliśmy się go wykorzystywać jak najracjonalniej.

Z powodzeniem realizowaliśmy również plany eksportowe. Naszym zagranicznym kontrahentem, m. in. ZSRR, NRD, Czechosłowacji, RFN, Szwajcarii sprzedaliśmy spodnie wartości 30 mln zł dewizowych. W każdym kwartale wypuszczaliśmy na rynek nowe wzory odzieży. W ciągu roku było ich ponad 120. Zainteresowanie handlowców naszymi wyrobami jest nadal bardzo duże.

Poprawiły się też warunki pracy ponad dwutysięcznej załogi. W starych legnickich oddziałach jest teraz ładniej i pracuje się przyjemniej.

JULIAN GÓRKA Rada Zakładowa ZG „POLKOWICE”:

— Rok przeszedł pracowicie.

Najbardziej ucieszyło nas wprowadzenie trzeciej tabeli płac, co przyniosło podwyższenie górniczych zarobków o jedną grupę. Założyliśmy sierotom książeczki mieszkaniowe z wkładami po siedem i pół tysiąca złotych. Co roku będziemy dopłacać po dwa tysiące. Satysfakcjonowaliśmy wysokimi nagrodami matki, których synowie pracują w kopalniach. Kupiliśmy dodatkowe domki kempingowe dla załogi. Ośrodek wypoczynkowy w Pszczewie rozbudowaliśmy o 48 miejsc. Powstały nowe świetlice. Kupiliśmy czterdzieści telewizorów...

Ale to wszystko mało. Trochę inaczej powinny wyglądać łaźnie górnicze. Nie udało się ukończyć oddziału rehabilitacyjnego przychodni zakładowej. Bez przerwy interweniowaliśmy, wszędzie było nas w tej sprawie pełno. Może rok 1979 przyniesie też ukończenie cen-

gów II”. Osiągnęła ona już 60 proc. zdolności produkcyjnej. Wysoka jakość miedzi „blister” o zawartości 98,5 proc. — uzyskiwana po raz pierwszy w świecie z pieca zawieszinowego — jest wynikiem ogromnego trudu hutników. Ale zostało jeszcze wiele do zrobienia. Trzeba jak najszybciej dojść do pełnej zdolności produkcyjnej. W „Głogowie I”, dzięki pełnemu zaangażowaniu załogi, przekroczono planowane zdolności produkcyjne. W tym roku huta wyprodukowała 235 tys. ton miedzi. 4 listopada daliśmy pierwszą milionową tonę miedzi elektrolitycznej.

Wiele działaliśmy w tym roku, aby poprawić załozde warunki socjalno-bytowe. O 260 osób zwiększyła się nasza organizacja partyjna, która liczy już 1.370 członków i kandydatów. Bardzo dobrze spisują się organizacje społeczne.

szkół w sprzęt i pomoce naukowe niezbędne do realizacji nowego programu.

Przybyło nam także sporo nauczycieli z najwyższymi kwalifikacjami. Wielu z nich dociera do szkół wiejskich.

W pełni zrealizowany został program opieki przedszkolnej nad sześciolatkami, a już blisko połowa dzieci w wieku 3—6 lat znajduje miejsce w przedszkolu. Jest ich jednak nadal za mało — w 1978 roku powstały tylko 3 nowe przedszkola, cztery są w budowie. Budujemy także siedem obiektów szkolnych.

Problemem najtrudniejszym był brak nauczycieli — czeka na nich teraz 110 miejsc, głównie w szkołach wiejskich. Najprzyjemniejsze natomiast i bardzo pomocne było i jest społeczne zainteresowanie sprawami szkoły.

ZYGMUNT SZCZEPANOWICZ dyrektor WPHW w Legnicy:

W mijającym roku wiele zrobiliśmy, aby klienci wychodzili z naszych placówek zadowoleni, a handlowcom lepiej się pracowało. Otworzyliśmy nowoczesne sklepy w Głogowie, Polkowicach, Chojnowie i Lubinie. Zmodernizowaliśmy 10 placówek. Poprawiła się, mimo kłopotów z transportem, organizacja dostaw towaru. Duże sklepy są zaopatrywane poza godzinami otwarcia, a magazyny meblowe nocą. Współpracowaliśmy ściśle z przemysłem odzieżowym, zwłaszcza miejscowym. Udało nam się uzyskać nadwyżki produkcyjne m. in. z „Milany”, „Hanki”, „Elpo” i „Odzieży”.

Niestety, gorzej było z butami, szczególnie dla pań. Tegorocznej jesieni nie wszyscy mogli się też zaopatrzyć w ciepłe płaszcze i kurtki. Przemysł nie dostarczył ich w potrzebnych ilościach. Ale znacznie poprawiła się ich jakość. Wiodocześnie zakłady wzięły sobie do serca narzekania klientów i handlowców. Pod względem stopnia zaawansowania planu rocznego byliśmy po 11 miesiącach br. na trzecim miejscu w kraju. Zadania roczne wykonamy do 23 grudnia. Duża to zasługa naszych handlowców.

W nowym roku będziemy modernizować kolejne sklepy.

LUDWIK TOKARCZUK sekretarz MKKS „Zagłębie” Lubin:

— Międzyzakładowy Klub Sportowy „Zagłębie” Lubin reprezentował najwyższy poziom w sporcie kwalifikowanym województwa. Pierwszy zespół piłkarzy awansował do II ligi i zaszedł daleko w Pucharze Polski. Szczycimy się dobrymi wynikami w pracy z młodzieżą. Juniorzy i młodzicy są w czołowie wojewódzkiej, a juniorzy z powodzeniem występowali w klasie międzywojewódzkiej. Bokserzy, podopieczni Kazimierza Paździora, po raz pierwszy występowali w ekstraklasie i wywalczyli drugie miejsce w grupie. Wiesław Niemkiewicz już drugi raz wywalczył tytuł mistrza kraju w wadze średniej. Umocnili się w II lidze lekkoatletici. Danuta Cały jest mistrzynią Polski i rekordzistką kraju w pięcioboju, Małgorzata Mizgała — halową mistrzynią Polski juniorek w skoku wzwyż juniorek młodszych. Wiesław Ziębicki wicemistrzem Polski w biegu na 2 km z przeszkodami. Pierwszy zespół tenisistów stołowych od lat walczy z powodzeniem w I lidze.

Dotychczasowe sukcesy pozwalają przypuszczać, że w nowym roku będziemy się mogli pochwalić jeszcze większym dorobkiem.

JAK MINAŁ ROK



WITOLD MOŹDŻYŃSKI górnik w ZG „LUBIN”, poseł na Sejm PRL:

— Przez cały rok oddział wydobywczy G-7 nie mógł dać sobie rady z planem. Najgorzej było latem. Nadrabiamy zaległości. Jeszcze nie fedyrowaliśmy tak dobrze, jak właśnie teraz pod koniec roku. Jesteśmy nawet nad kreską.

W kraju też nie było łatwo. Kłopoty gospodarcze i problemy zaopatrzeniowe powodowały spięcia, którym my, posłowie, musieliśmy stawiać czoła. Musieliśmy tłumaczyć na spotkaniach, że to sprawa roku, dwóch, że wszyscy razem czegoś się dorobimy. Oczywiście, przy właściwym wykorzystaniu środków, przy właściwej organizacji pracy, przy prawdziwie gorącym zaangażowaniu robotników, kadry kierowniczej i naukowców...

W Sejmie było bardzo dużo pracy, ale najbardziej całego naszego Wojewódzkiego Zespołu Piłkarzy Polskiego daly się we znaki interwencje. Najwięcej było mieszkańców. W Lubinie rekordowe były skargi na jakość budownictwa. Legnica nie mogła się uporać z problemem starych domów. Przyjemności? Byliśmy z wizytą w Belgii. Ale przyjemności pochłaniają czas, a poseł ma go niewiele. Ciężko na nim ten mandat zaufania. Chciałbym na spotkaniach w roku 1979 mówić więcej o sukcesach, mniej o kłopotach.

TADEUSZ PODWIŃSKI kurator oświaty i wychowania:

— W roku 1978 rozpoczęło się wdrażanie reformy systemu edukacji narodowej. Dzieci, które w sierpniu rozpoczęły naukę, są już uczniami dziesięciolatek. Nasze województwo dobrze wystartowało do reformy. Jest to wynik kilkuletnich przygotowań kadry nauczycielskiej, należytego zaopatrzenia

tralnej cechowni? Nie ma w Polkowicach basenu, nie ma ośrodka wypoczynku niedzielnego, a przecież sprawa ta w aspekcie pracy czterobrygadowej ma ogromne znaczenie. Górnicza niedziela wypada w różne dni tygodnia.

Prywatnie? Na prywatne życzenia prawie nie mam czasu. Pracuję społecznie w WSS „Społem”, Miejskiej Radzie Narodowej, w radzie klubu „Górnik”. Jest jeszcze tyle spraw do załatwienia...

LEON HORNIK dyrektor Zjednoczenia PPGR:

— Naszym największym osiągnięciem było zlikwidowanie skutków ubiegłorocznej powodzi.

W tym roku zbieraliśmy z pół nie notowane w dotychczasowej historii plony czterech podstawowych zbóż z hektara. Osiągnęliśmy bardzo dobre wyniki w produkcji żywyca i mleka. Poprawiła się również współpraca z instytucjami obsługującymi rolnictwo, choć nadal brakowało części zamiennych do maszyn rolniczych. Ciągłe rozbudowywały się nasze gospodarstwa. PGR-owskie zakłady remontowobudowlane oddały w tym roku 5.000 stanowisk dla bydła i 3.000 stanowisk dla trzody.

Niestety, niezadowoleni jesteśmy z tempa oddawania inwestycji przez przedsiębiorstwa budownictwa rolniczego. W pełni udało nam się zorganizować akcję socjalną dla naszych pracowników i ich dzieci.

To był dobry rok dla PGR-ów. Stworzyliśmy warunki do lepszego gospodarowania w roku przyszłym i w latach następnych.

JAN MACIĄG I sekretarz KZ PZPR w HM „Głogów”:

— Był to dla nas niewątpliwie rok trudny. Realizując bieżące zadania uruchamialiśmy hutę „Gło-

CHWALA się nimi już na ulicy. Kolorowa tablica informuje, że kupują je Włosi, Amerykanie, Anglicy, Francuzi, Kanadyjczy. W tym roku wyprodukują ich prawie trzy miliony sztuk. Dużo i jednocześnie o wiele mniej niż potrzeba. Ozdoby choinkowe, czyli popularne bombki mają w Polsce 20 wytwórców. Jednym z nich jest złotoryjska spółdzielnia „Vitrum”. Wszyscy znają ją jednak pod nazwą nieco mniej oficjalną — po prostu „Bombki”. Zresztą w przypadku „Vitrum” obok kalendarzy najczęściej zmieniano tu treść pieczętek i szyldów.

Piszą uczniowie złotoryjskiego Liceum Ogólnokształcącego w monografii spółdzielni: „Zakład w ciągu swojego 22-letniego istnienia przeszedł 7 reorganizacji, zmieniając nazwy i dyrekcję”. W życiu miasta fakty te wychodziły na jaw zazwyczaj podczas pierwszomajowych pochodów. Spiker zapowiadał zakład o jakiejś długiej, obco brzmiącej nazwie, a pod transparentami — wiadomo — Bombki...

Andrzej Kowalski, prezes „Vitrum”, ma dla mnie ciekawostkę. Produkuje bombki, drobne elementy dla przemysłu chemicznego i radiotechnicznego, a od przyszłego roku będzie także „szlifował” kryształy. Są już maszyny, hala produkcyjna. Potrzeba ludzi, fachowców ze szkół artystycznych i szlifierzy-amatorów. Takich ze smykałką...

O bombkach prezes mówi, że ich produkcja stała się w tym roku rentowna. Zamiast deficytu przyniosła spółdzielni dochód. Interes zaczyna się opłacać, więc trzeba go rozwijać. W przyszłym roku rozpocznie się gruntowna modernizacja Wydziału Ozdób Choinkowych.

Z monografii: „...w dmuchalni należy zainstalować automat do produkcji ozdób prostych. W srebrzalni planuje się komorę próżniową i tunel do suszenia. W zamierzeniach jest też automatyzacja dekoratorów. Wszystkie te przedsięwzięcia są bardzo drogie. Cała automatyzacja zakładu potrwa ok. 10 lat”.

Na tegoroczne choinki bombki rodzą się jeszcze tradycyjnie. Przy pielegnacji ich kształtów, barw i wzorów pracuje na dwie zmiany 79 kobiet. „Panie wykonują cztery zawody: dmuchacz, srebrzacz, dekorator i pakowacz. Ale najczęściej może o nich powiedzieć kierowniczka wydziału, Józefa Ejzler” — radzi prezes Kowalski.

Pani Ejzler oprowadza mnie po swoim gospodarstwie. Na parterze jest dmuchalnia. Długie szklane rurki pracownice ogrzewają nad płomieniami gazowych palników. Szkło różowieje, wiotczeje. Teraz trzeba nadmuchać fragment rurki. Właśnie powstają szpice — korony choinek. Tu wymagany jest kunszt iście mistrzowski. Rurka musi być umiejętnie nagrzana i odpowiednio skrecona. Kierowniczka uważa, że mistrzostwo

w tej sztuce osiągnęła już Irena Brycka.

— Pracuję tu już 18 lat — mówi p. Brycka. — Codziennie dojeżdżam z Legnicy. Przez 6 godzin pracy dmucham 130 szpiców. Bombek wiele więcej, bo łatwiejsze. Czy nie chciałam zmienić zawodu? Nie, gdyż nie wiem, czy gdzieś indziej poradziłabym sobie, a tu już jestem nauczycielem dla młodych. Dwa razy prowadziłam kursy. Pan pyta o święta? Tu jeszcze dużo pracy przed Wigilią, ale jeżeli... Mamy taki swój własny styl. Pierwsza zasada — święta spędzamy w rodzinnym domu. Druga — wszyscy razem. A więc starsza córka, Alina, z mężem i dzieckiem, Krysia, młodsza córka, która chodzi do czwartej klasy podstawówki. Syn, Ryszard, pracuje w PRIM-ie i mąż. Zawsze przyjeżdża też kuzynka z Łodzi. Pieczemy tort, sernik i makowiec. Nie, w sklepie ciasta nie kupuję, bo na święta swoje smaczniejsze. Nie ma świąt bez pieczonej gęsi lub kaczki. Zresztą drób jeszcze najłatwiej teraz dostać. A na Wigilię, oczywiście to, co wszyscy. Barszcz, ryba po żydowsku. Czy mam czas na to? Tak. Szybciej odrabiamy dzień przed świętami. Mam też cztery dni urlopu. Wykorzystam je między świętami a Nowym Rokiem. A na Sylwestra idę z mężem na zabawę, do huty.

Z dmuchalni bombki, a właściwie jeszcze przezroczyste, szklane kule wędrują do srebrzalni. Tu spotykamy kolejną mistrzynię, Józefę Naporę.

— Ja też w „Bombkach” jestem już od 18 lat. A pracę to pan widzi.

Z monografii: „Administracja liczy 24 osoby. Wszyscy z wykształceniem średnim. Najwięcej ludzi pracuje na wydziale ozdób choinkowych — 79, na wydziale wsteczników elektrycznych 55 osób, na wydziale tworzyw sztucznych — 18. Ważnym problemem załogi są dojazdy do pracy. Obecnie dojeżdża 78 osób. Zakład jest zbyt mały, aby mógł zapewnić własne autobusy. Dlatego też pracownicy korzystają z komunikacji państwowej. Autobusami PKS dojeżdżają 54 osoby, a koleją 24 osoby. Najwięcej ze Świerawy, Wilkowa, Pielgrzymki oraz Nowego Kościoła, Kozowa, Pyskowie, Łukaszowa, Chojnowa i Legnicy”.

— Ze względu na uciążliwe warunki pracujemy na srebrzalni 7 godzin dziennie. Teraz już się mówi o świętach. To wcale nie znaczy, że gorzej pracujemy, że rozluźnienie. Wprost przeciwnie. Bombek brakuje, więc staramy się ich zrobić jak najwięcej. Szczególnie teraz, przed świętami. Poza tym każdy chciałby odrobić i mieć trochę wolnego czasu...

— Córka Wanda jest kierowniczką hotelu sportowego w Lubinie. Syn Tadeusz pracuje na „Le-nie”, technik-górnik. Drugi syn Jan jest murarzem i pracuje w PBR-ol-u. Jest sportowcem, gra w piłkę nożną. A w rodzinie mamy też trenera piłkarskiego. Zięć pracuje w klubie Zagłębie Lubin.

— Na święta zazwyczaj jeżdżę



Ozdabianie choinkowych bombek to domena kobiet. Na zdjęciu: Zofia Pisarska przy pracy.

Fot. Krzysztof Raczkowiak

KOBIETY I BOMBKI

z synami do Lubina, do Podhorodeckich. Albo oni do nas przyjeżdżają. Gamkami zajmuję się wspólnie z córką. Główne danie na Wigilię to grzyby. Lubimy je jeść, ale też i zbierać. Jesienią jeździłam do Czapl, w stronę Chocianowa. Były wycieczki z „Leny”, od syna i stąd, z „Bombek”. Sylwestra też spędzamy wspólnie, raczej w domu.

Dekoratornia. Tylko kilka koleżanek Genowefy Sidorowicz może pochwalić się takim stażem: 20 lat pracy. Na samym początku była brakarka. Ale szybko przysła tutaj, na dekoratorkę. Przez te 20 lat wiele wzorów widziała. Prezes mówi, że jest ich około tysiąca, a w „Vitrum” wykorzystują sto. Inne na eksport. Inne „na kraj”. Pani Genowefa nie liczyła wzorów, ale niektóre pamięta. I od czasu do czasu... raz są ładniejsze, raz mniej. Bombki...

ture. Dlaczego akurat za trzy zimny? Obliczam tak, bo w zimie wypada mi zawsze rocznica urodzin. Bardzo polubiłam tę pracę. Może nawet wyjątkowo. Miałam zdolności do malowania już w szkole. A młodym powiem, żeby malowały szybko i ładnie. Ale ja wiem, że one się teraz starają. Praca jest akordowa i każda chce dobrze zarobić...

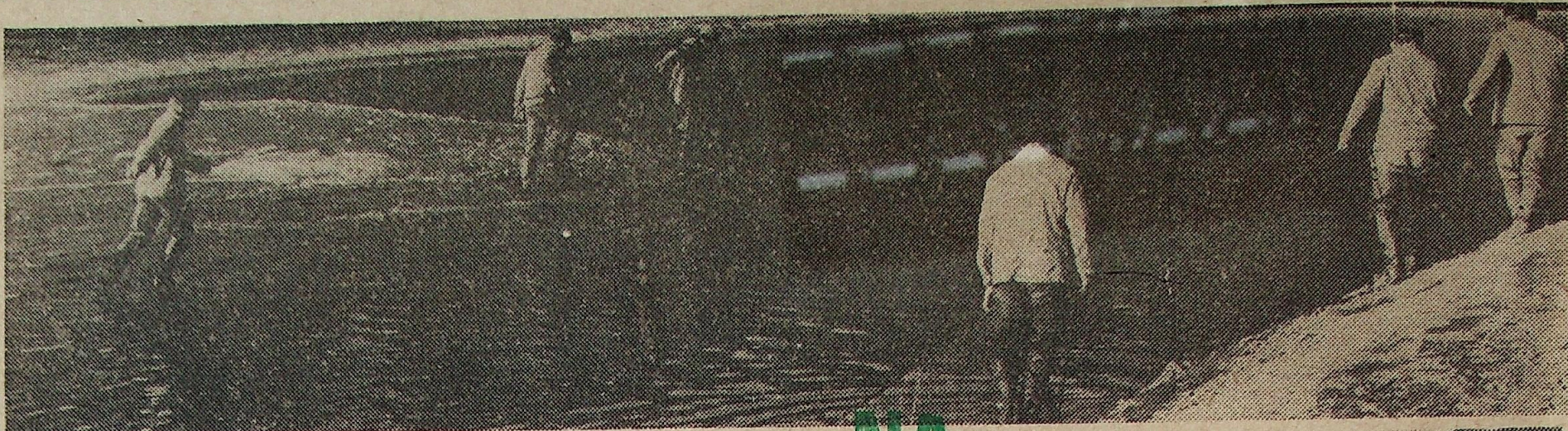
Obok Genowefy Sidorowicz pracuje Janina Pisarska z Nowej Wsi Grodzkiej. Dziewczyna maluje bombki dopiero od kwietnia tego roku, ale pani Genowefą ją chwali.

— Pracowałam w „Odrze”. Później był trzymiesięczny kurs i zdobyłam zawód dekoratora. Pani Sidorowicz ma spryt do tej pracy. Jak ona zrobi trzysta sztuk, to ja... połowę. Szefowa jest sprawną i wymagającą. Jak... z tego nie wiem... koleżanki... ta praca... dużej



Ilustracja: Krzysztof Raczkowiak





W każdym kwartale wypuszczaliśmy na rynek nowe wzory odzieży. W ciągu roku było ich ponad 120. Zainteresowanie handlowców naszymi wyrobami jest nadal bardzo duże.

Poprawili się też warunki pracy ponad dwutysięcznej załogi. W starych leśniczarniach oddziałach jest teraz ładniej i pracuje się przyjemniej.

JULIAN GÓRKA
Rada Zakładowa
ZG „POLKOWICE”:

— Rok przeszedł pracowicie.

slugując, jak najra-
brakowało częs-
maszyn rolniczych. C-
wują się nasze gospo-
PGR-owskie zakłady remon-
budowlane oddały w tym rok-
5.000 stanowisk dla bydła i 3.000
stanowisk dla trzody.

Niestety, niezadowoleni jesteśmy z tempa oddawania inwestycji przez przedsiębiorstwa budownictwa rolniczego. W pełni udało nam się zorganizować akcję socjalną dla naszych pracowników i ich dzieci.

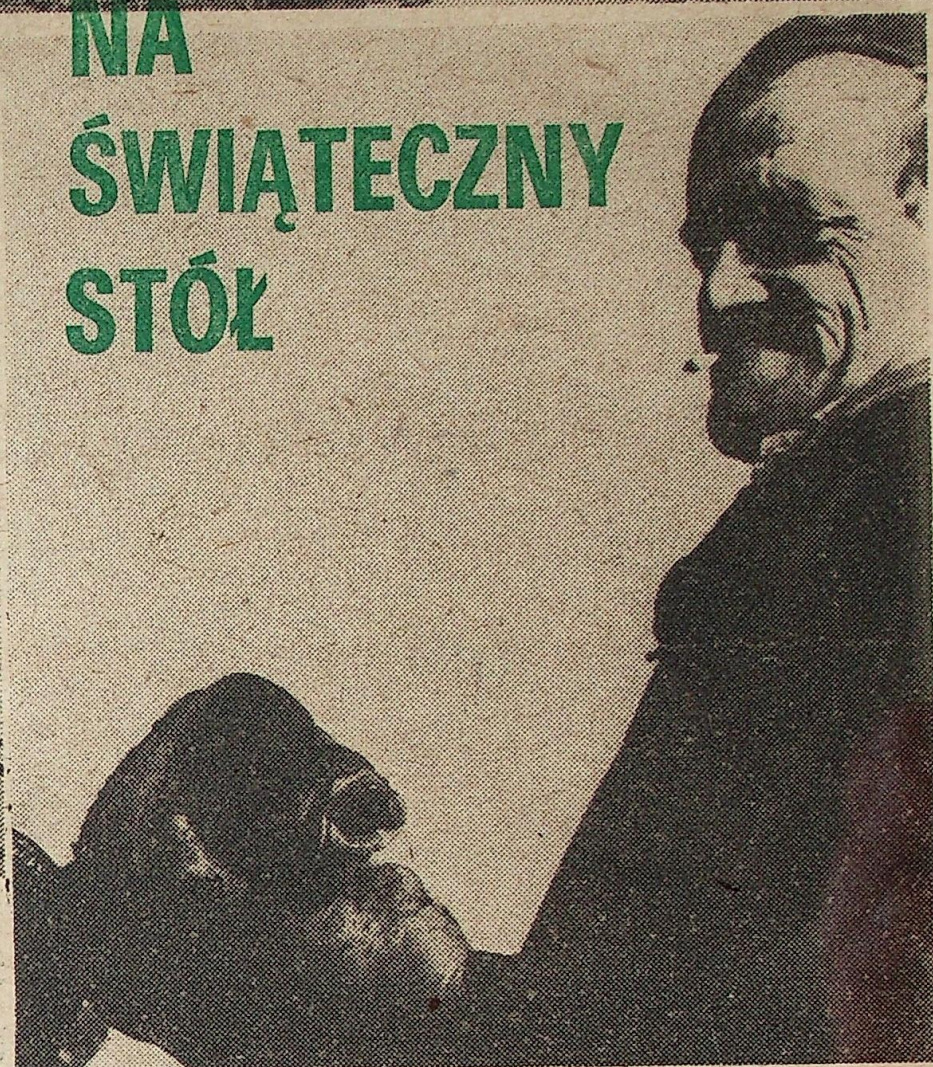
To był dobry rok dla PGR-ów. Stworzyliśmy warunki do lepszego gospodarowania w roku przyszłym i w latach następnych.

JAN MACIĄG

I sekretarz KZ PZPR
w HM „Głogów”:

— Był to dla nas niewątpliwie rok trudny. Realizując bieżące zadania uruchamialiśmy hutę „Gło-

NA ŚWIĄTECZNY STÓŁ



DO DZISIAJ niewzruszona jest naczelną pozycją karpia na świątecznym stole. Co raz rzadziej pojawia się na nim dwanaście tradycyjnych potraw z ryby, ale karp jest zawsze. I nawet w dzisiejszych trudnych czasach, kiedy to rodzima gastronomia przez cały rok stara się zabić nawet wspomnienie po wielkich tradycjach kulinarnych udając, że zna tylko dorsza po grecku i fileta z dorsza — potrafimy jeszcze karpia przyrządzić. Tych kilka świątecznych z niego potraw świadczy, że nie całkiem zaprzepaściliśmy dziedzictwo naszych przodków.

Ale też powiedzmy sobie szczerze: inaczej to drzewiej bywało. Ludzi było mniej, a ryb za to więcej. Teraz kolejne wyże demograficzne wymyslały coraz skuteczniejsze melioracje, prostują rzeki, a rozlewiska, a także bu-
a prysł, który podtruwa to, nim tve w tych mizernych bym na I-pomyśleć, że jesh-
mówić wysta lat temu do o kłopotach technik poło-
enie ręką czy też

TADEUSZ

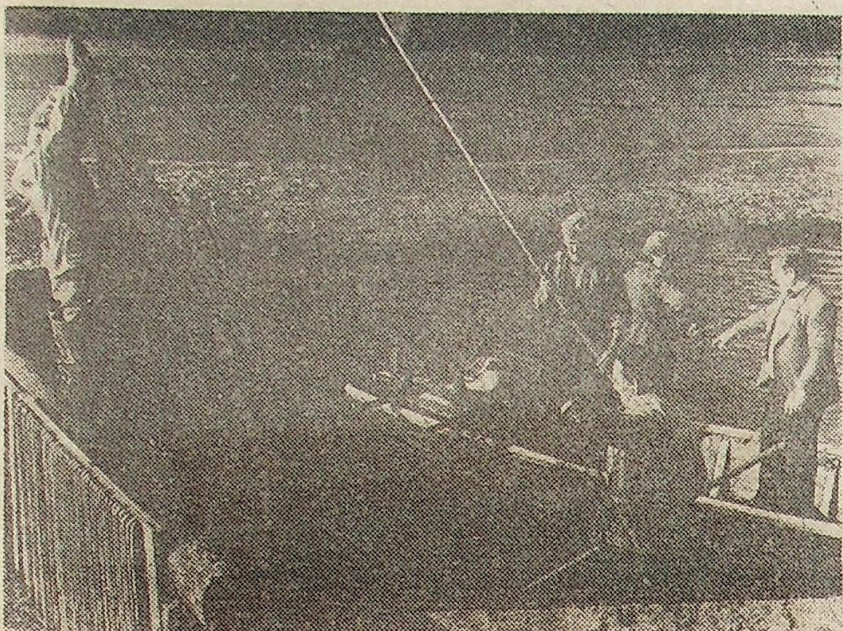
kurator oświaty dużo bar-
osoby zdo-

— W roku 1971 Krescen-
wdrażanie reformy w płotą
kacji narodowej. 1. ciasny-
sierpniu rozpoczęły wodny-
uczniami dziesięciolastawia-
jewództwo dobrze wys wodą
reformy. Jest to wywierz”.
nich przygotowań kato po-
cielskiej, należytego oczach

rozpięte, wiersze o sztywnej konstrukcji, kłonie plecione lub siatkowe na rękojeściach, wreszcie właściwe sieci-matnie, niewody, włoki, drygubice... Przed wigilią zaś szła się na rzekę lub jezioro, rąbało przerebłę i po prostu wyciągało ryby...

Większe dwory prowadziły gospodarkę hodowlaną — to, co robią dzisiaj gospodarstwa rybackie. Piszę Mikołaj Rej z zachwytem: „Nie żałuj grzywny, któraś może uczynić dziesięć, i stawku posypać, i nowy, gdzie możesz, jeśli po temu miejsce masz, ukopać, bo to i rozkosz i pożytek; i wdzięczna krotochwila. Idziesz na przechadzkę, ano rybeczki przed oczyma twymi skaczą, pirsza rozkosz; każesz chłopiętom zabierać, druga rozkosz, za część weźmiesz grzywnę, a drugie też do panwie, trzecia rozkosz”.

Już w 1573 roku ukazuje się książka Olbrychta Strumieńskiego „O sprawie, sypaniu, wymierzaniu i rybieniu stawów”. I czytamy w niej: „...a kiedy spust przyjdzie, jakka to pociecha: każesz zabierać z włokiem, zajmą ich tak wiele, że aż się i włok będzie targal, wyciągną ano szczuki wielkie, karpie wielkie, okunie wielkie, karasie i wszelkie ryby: z malej rzeczy dał Pan Bóg bardzo wiele. A ty jeno sobie używaj, a Panu Bogu dziękuj, a ubogim ludkom, zwłaszcza tym, którzy łowią a uziębną, płociczek dawaj, a nie bij ubogiego chłopka kijem, któryć też pomoże kolo tego pracować, nie broń mu ani nie laj i ową rybke, co się w worku ustawi, chcesz li aby Pan Bóg nagradzał”.



Dzisiaj tak samo napelnia się stawy, opróżnia je i ryby wyciąga. Tylko „szczuk wielkich i okunów wielkich” nie ma — nie posłużyły im detergenty, melioracje, nawożenie i ochrona roślin. I dobrze, że przynajmniej zachowały się przekazy historyczne o „szczukach i okuniach”. Zawsze to przyjemnie poczytać i powspominać... Najprzyjemniej jednak sięść po prostu przy samym wigilijnym stole do tradycyjnego karpia...

Zanim karp znajdzie się na wigilijnym stole dwa a częściej trzy lata jest pod opieką rybaków. W naszym województwie znajdują się trzy zakłady rybne podległe Państwowemu Gospodarstwu Rybackiemu Miłicz — w Małej Rasowej, Niedźwiedzicach i Przemkowie — oraz Zakład Rybacki Paulinki podległy Okręgowemu Zarządowi Lasów Państwowych. Gospodarstwa te posiadają ponad 1500 ha stawów. Ponadto hodowlę ryb prowadzi Polski Związek Wędkarski oraz indywidualni posiadacze stawów.

Jest karp coraz bardziej słaby i chory. W Przemkowie podtruwa go KGHM, w Niedźwiedzicach przemysłowe ścieki miasta Chojnowa, a wszędzie truje go rolnictwo. Woda jest z roku na rok podlejsza, i co gorsze, zaczyna jej brakować. Jeszcze dziesięć lat temu Eugeniusz Szudrowicz — dyrektor Zakładu Rybackiego w Małej Rasowej — mógł rozpoczynać napelnianie stawów w lutym, aby były pełne do kwietnia. Teraz napelnianie zaczyna w listopadzie, a i tak do końca nie wypełni otoczonych groblami zbiorników. Mimo że nawet nie wszystką wodę przedtem wypuszcza, albowiem ze stawów położonych wyżej kieruje ją do niższych,

chyttrze w ten sposób oszczędzając.

Gnębą biednego karpia wściekłe wirusy posocznicy. I niewiele pomagają na to liczne szczepienia, ani zestaw witaminek i leków serwowanych mu przez rybaków. Doskwiera rybie zimno, ale nie to zimowe, kiedy śpi sobie pod lodem, lecz wiosenne, kiedy się budzi. Ostatnia mroźna wiosna spowodowała istną katastrofę w gospodarstwach rybnych, nie tylko w Polsce zresztą. Ryby nie miały dość pokarmu, gdyż nie rozwinął się plankton. Posocznica natomiast rozwinęła się aż nadto. W gospodarstwie Niedźwiedzicy były stawy, w których wyszło nawet ponad 90 procent ryb. Nic więc dziwnego, że na święta odłowiono zaledwie 124 tony ryby, zamiast planowanych 310 ton. Dla przykładu można podać, że w ubiegłym roku powędrowało stąd na świąteczne stoły prawie 400 ton karpia...

ITYLE o rybie, której hodowla, przyrządzanie i jedzenie łączą się ze świąteczną starą polską tradycją. Tyle — zanim cyprinus carpio nie stanie się tylko wspomnieniem, legendą jak „okunie wielkie i szczuki wielkie” targające włokiem imię pana Reja. Na razie: smacznego!

KRZYSZTOF DĘBEK

Na zdjęciach rybacy z zakładu w Małej Rasowej przy odłowieniu karpia: Józef Kęciński, Józef Biernacki, Jan Orzepowski, Zbigniew Michalczak, Zdzisław Kucharzak, Henryk Głogowski, Mirosław Wilkoński, Jarosław Komarnicki i szef produkcji zakładu Józef Olech.

Zdjęcia: Krzysztof Raczkowiak

WITRYNA „KONKRETÓW”

Jak co tydzień proponujemy naszym Czytelnikom wizytę w legnickiej księgarni „DOMU KSIĄŻKI” przy ul. Złotoryjskiej 33, gdzie w witrynie „Konkretów” czekają interesujące nowości. Książki są do nabycia już od godziny 10. Wyboru nowości dokonuje i do księgarni zaprasza WIESŁAW ROSA.

Aleksander Minkowski — UKŁAD KRAŻENIA — Wyd. RTV 78, 30 zł. Pozycja nie wymagająca komentarza, wskazuje się równoległe z emisją serialu telewizyjnego pod tym samym tytułem.

Stanisław Grzesiuk — PIĘĆ LAT KACETU — KiW 78, wyd. 8, 60 zł. Trzecia i ostatnia pozycja z cyklu powieści autobiograficznych autora.

Aleksander Jackiewicz — KLAUDIA — Czytelnik 78, wyd. 2, 45 zł. Seria z Kotem. Akcja powieści rozgrywa się we Włoszech, w środowisku pisarzy, malarzy i filmowców. Treścią jest historia romansu polskiego naukowca, który wyjeżdża na stypendium za granicę.

Gustaw Flaubert — SALAMBO — PIW 78, wyd. 2, 50 zł. Biblioteka Klasyki Polskiej i Obcej. Wznowienie najgłośniejszej powieści Flauberta, którą przygotowywał i pisał ponad dwadzieścia lat. Akcja książki umiejscowiona jest w ostatnich latach starożytnej Kartaginy.

David Storey — TYMCZASOWE ŻYCIE — KiW 78, 30 zł. Bohaterem powieści jest młody mężczyzna, były bokser, a obecnie malarz i nauczyciel rysunków, który dąży do zachowania własnej godności i tożsamości w otaczającym go świecie.

Edna O'Brien — CZEKAJĄC NA MIŁOŚĆ — KiW 78, wyd. 2, 20 zł. Pełna uroku, liryzmu i humoru opowieść o losach dwóch młodych irlandzkich dziewcząt — ich dzieciństwie spędzonym na wsi, pierwszej miłości, radościach i rozczarowaniach.

Edna O'Brien — DZIEWCZYNA O ZIELONYCH OCZACH — KiW 78, wyd. 3, 25 zł. Kontynuacja poprzedniej powieści „Czekając na miłość”.

Józef Weyssenhoff — SOBÓL I PANNA — Wyd. Literackie 78, wyd. 3, 28 zł. Seria z Baszta. Akcja powieści toczy się w XIX w. na

Wileńszczyźnie. Barwne opisy lasów litewskich i przygód myśliwskich. Wątek powieści stanowi romans panny „z dworu” i wiejskiej dziewczyny.

Wanda Werwińska — NA OBU POLKULACH — Czytelnik 78, 36 zł. Wanda Werwińska była w okresie międzywojennym jedną z naszych najwybitniejszych śpiewaczek, uznana i znana na największych scenach świata. O tym jak doszła do opery, o swoich osiągnięciach i kolegach, z którymi występowała opowiada w swoich wspomnieniach.

Tadeusz Łopalewski — KADUK, CZYLI WIELKA NIEMOC — Czytelnik 78, 60 zł. Jest to powieść o ludziach, którzy posiadając wszystko, o czym człowiek może zamarzyć, zgubili swą ojczyznę, jedno z największych państw w Europie.

LITERATURA DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

Bolesław Leśmian — KLECHDY SEZAMOWE — Czytelnik 78, wyd. 6, 50 zł. Popularne wydanie znanych baśni „Z 1001 nocy”, takich jak: „Baśń o rumaku zaklętym”, „Alf Baba i czterdziestu złodziei”, „Baśń o Aladynie i o lampie cudownej” i innych.

Paul Feval — KAWALER DE LAGARDERE — Iskry 78, wyd. 3, 58 zł. Klasyka Młodych. Historyczno — przygodowa powieść klasyka literatury francuskiej. Pod powyższym tytułem książki ukrywa się znany z wielu ekranizacji kinowych, bardzo popularny „Garbus”.

Monika Warneńska — MAGDALENA — MAW 78, 18 zł. Portret Pokolenia. Portret wrażliwej nastolatki, która nie mając odpowiedniego klimatu uczuciowego we własnej rodzinie, pozornie znajduje atmosferę ciepła w rodzinie swego ojca.

Lucyna Sieciechowiczowa — ROZBÓJNIK PANA POTOCKIEGO — NK 78, wyd. 2, 30 zł. Powieść historyczna z XVII w. Rozbójnikiem jest poddany Wacława Potockiego, Wasył Bajus, który ma ambicję stania się obrońcą uciskanych i potem bierze udział w walce przeciw Szwedom.

Antonina Domańska — PAZIO WIE KRÓLA ZYGMUNTA — Czytelnik 78, wyd. 7, 17 zł. Treścią powieści są pełne wesołych przygód dzieje paziów na dworze Zygmunta Starego.



OSTATNIE lata charakteryzują się dynamicznym rozwojem sportu kwalifikowanego, masowego, interesuje też wszystkich wy poczynek po pracy. Pogoń za rekordami, coraz więcej imprez masowych i wyjazdów wypoczynkowych wymaga coraz większej liczby obiektów i urządzeń o wysokim standardzie. Bez nich nie może być mowy o jakimkolwiek postępie i marzeniu o znalezieniu się w krajowej czołówce. W zagłębiu miedziowym powszechnie mówi się, że region dysponuje zbyt małą liczbą obiektów i w tej materii ustępuje wielu mniejszym i biedniejszym województwom, nie mówiąc oczywiście o krajowych potentatach. Zastanówmy się jak jest naprawdę i jakie są zamierzenia władz sportowych i zakładów pracy na najbliższe lata.

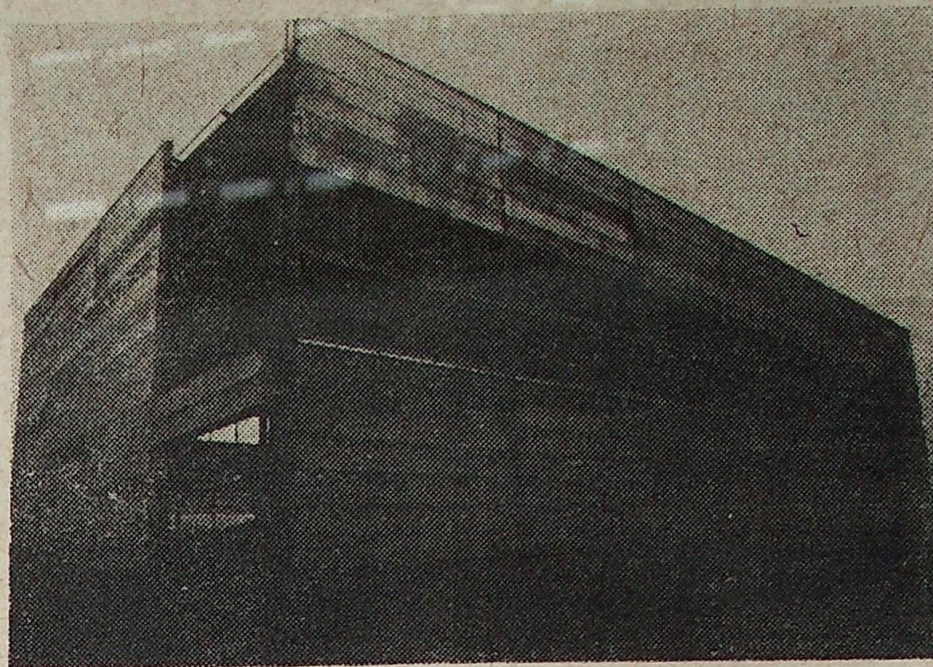
Generalnie rzecz biorąc — poza stadionami i boiskami piłkarskimi — nie jest najweselej. Dlatego też po powstaniu województwa zorientowano się czym dysponujemy, opracowano plany modernizacji istniejących i budowy nowych obiektów i w miarę możliwości wciela się je w życie. Przegląd stanu posiadania i planowanych zmian zacznijmy od stadionów. Na dobrą sprawę (za stadion uważa się obiekt mogący pomieścić ponad pięć tysięcy widzów) mamy ich tylko kilka. Cały kompleks w Głogowie, Lubinie, Polkowicach, Legnicy, Złotoryi, Jaworze i wyremontowany w roku bieżącym piękny obiekt w Chocianowie, przy rozbudowie którego prace kontynuowane będą w roku przyszłym. Przystąpiono też (zakończenie za rok) do modernizacji obiektu w Złotoryi. Buduje się nowy stadion w Lubinie, ale trudno przewidzieć kiedy będą mogli korzystać z niego sportowcy. Znacznie szybciej nastąpi to w Przemkowie, gdzie za rok prace zostaną zakończone.

W najbliższych latach ma nastąpić wyraźna poprawa. Największe prace zaprogramowano w Legnicy. Chodzi głównie o (początek w roku przyszłym) modernizację stadionu Miedzi. Zakłada się dokonanie renowacji płyty centralnej i założenie pod nią ogrzewania. Polegać to będzie na wmontowaniu prętów metalowych i ogrzewaniu ich elektrycznością. W ten sposób murawa nie zamarza i można na niej grać cały rok. Podłączy się ponadto sztuczne oświetlenie, zmodernizuje trybuny i częściowo je zadaszy. Na przyległych terenach wyremontuje się boisko treningowe oraz wykona płytę asfaltową (60 x 40 m). Opracowanie dokumentacji zlecono Polsportowi w Zielonej Górze i będzie ona gotowa w połowie roku przyszłego, a prace

wykonywać będzie Kombinat Budownictwa Komunalnego oraz zakłady opiekuńcze Miedzi. Pomyślano także o stadionie przy ulicy Jaworzyńskiej (gdzie wybuduje się szatnie, trybuny i odnowi płytę) oraz podobnym na Swierkowej. Po zakończeniu remontu stadionu na Bielańskiej (druga płyta, szatnie, boiska do gier) Legnica dysponować będzie dostateczną liczbą obiektów tego typu.

Po wykonaniu sotarowej bieźni i innych urządzeń lekkoatletycznych w Lubinie był to jedyny tego typu obiekt na Dolnym Śląsku. Jakość polskiej odmiany tartanu nie zwała jednak próby i nie będzie już stosowana, gdyż — nie tylko w Lubinie — szybko się niszczy. Ostatnio załatwiono wprowadzić dziury, ale uratować lekkoatletyczny stadion może jedynie tartan importowany. Jego położenie uzależnione jest od uzyskania niezbędnych środków dewizowych.

Z innych przedsięwzięć należy zwrócić uwagę na trwający remont obiektu Chojnowianki. Po jego zakończeniu, łącznie z przekazanym przed kilkoma miesiącami do użytku ośrodkiem Dolpakartu, potrzeby Chojnowa będą zaspokojone. Na uwagę zasługuje także budowa w 10 gminach ośrodków sportu i rekreacji — najpierw w



Fot. Waldemar Sikorski

sal w szkołach-tysiąclatkach. Wy-mysłili oni „kurniki” o wymiarach 18x9, które nie nadają się nawet na prowadzenie zajęć gimnastycznych i często są wykorzystywane na... sale telewizyjne. Tysiąclatki na szczęście się skończyły, ale zaczęły się „dziesięciolatki”. W każdej z nich ma powstać sala gimnastyczna. Bardzo to cenne przedsięwzięcie, lecz powtórzone stare błędy.

ozeniu budowy Legnica zyska cały kompleks obiektów zlokalizowanych w bezpośrednim sąsiedztwie. Po jednej stronie Kaczawy strzelnica, stadion Centralnego Ośrodka Wojsk Łączności, zespół kortów tenisowych (w odleglejszej przyszłości hala sportowa), a po drugiej zmodernizowany stadion Miedzi, urządzenia na terenach wystawowych i zespół basenów przy ulicy Stromej.

Jeśli chodzi o ośrodki wypoczynku świątecznego, baseny i kąpielniska, to w Lubinie buduje się kolejny basen, stale dyskutując co zrobić, aby sąsiedni zalew małopolski napęlić wodą. Wody jak nie było tak nie ma i trzeba się ograniczyć do remontu niecki. Optymiści czekają na wielką wodę, zamiast myśleć o wybudowaniu własnego ujęcia. Jeżeli szybko nie podejmie się ustaleń w tej sprawie, jeszcze za kilka lat będziemy dyskutować, co zrobić aby wypełnić zalew.

W roku bieżącym przekazano do użytku pole namiotowe i basen w Legnickim Polu, kończy się remont basenu w Gromadce, przystąpiono do budowy ośrodka wodno-rekreacyjnego w Przemkowie, niebawem rozpoczyna się prace przy budowie pola namiotowego przy ośrodku Jawornik, a w późniejszym czasie budować się będzie ośrodek w Rzymówce. Zanim do tego dojdzie główną uwagę skupi się na reprezentacyjnym ośrodku województwa w Rokittkach. Zielonogórski Polsport opracowuje koncepcję trzyetapowej rozbudowy Rokitek. Pierwszy — początek prac w roku 1980 — przewiduje pole namiotowe z pełnym wyposażeniem, w drugim wybudowanie bazy gastronomicznej, a w trzecim noclegowej, tak aby po zakończeniu rozbudowy ośrodek mógł przyjąć jednorazowo około 15 tysięcy wypoczywających.

P

RZEZ długie lata władze centralne traktowały Dolny Śląsk, w tym i Legnickie, po macoszemu, twierdząc, że region posiada do-

stateczną bazę sportową i rekreacyjną. Stąd też bardzo skromne dotacje nawet na konserwację istniejących obiektów. Lata miały, obiekty ulegały dewastacji i rzekomo najbogatszy w tej dziedzinie region został wyprzedzony przez inne województwa, którym nie szczędzono nakładów. Dopiero przed kilkanaście laty zorientowano się kopcuszką. Odrobienie za- ległości nie przychodzi łatwo. Zrobiono jednak dużo, a plany napawają optymizmem.

ZYGMUNT ŁUSZCZ

RZECZYWISTOŚĆ I PLANY

Zukowicach i Kotli, a następnie Wądrożu Wielkim, Jerzmanowej i innych ośrodkach wiejskich.

Jak już stwierdziliśmy że stadionami i boiskami nie jest i nie powinno być tak źle. O wiele gorzej wygląda sytuacja z halami i salami sportowymi. Praktycznie województwo nie dysponuje ani jedną halą sportowo-widowską. Z większych obiektów (poza przeciążonymi salami szkolnymi) wymienić należy salę bokserską w Lubinie i jedyną w zagłębiu ogólnodostępną przy ulicy Głogowskiej w Legnicy. Jakże są plany w tej dziedzinie?

Od przeszło dziesięciu lat mówi się w Legnicy o wybudowaniu dużej hali z salami treningowymi i basenem. Było już w tej sprawie wiele koncepcji, ale nikt nie wie kiedy się zrealizuje którąś z nich — znane są przecież trudności z wprowadzaniem do planów inwestycyjnych budownictwa sportowego. Pomimo to spodziewać się należy pewnego postępu. Za rok można będzie korzystać z centralnej cechowni w Polkowicach. Montuje się już w Legnicy i Lubinie sale typu NRD i jak zapewniają optymiści można z nich będzie korzystać już w roku przyszłym.

Na razie powody do pełnego zadowolenia może mieć jedynie Złotoryja. Kończy się budowa ładnej sali w Liceum Zawodowym i dwóch w pierwszej szkole sportowej zagłębia — Liceum Ogólnokształcącym. Już niedługo otworzy swe podwoje duża hala lekkoatletyczna i — czym najbardziej ucieszą się złotoryjscy mistrzowie świata — specjalistyczna akrobatyczna. Skończy się wreszcie kłopoty z dojazdami do Jawora, a przekazanie obiektu na pewno wpłynie na dalszy rozwój zagłębiowskiej dyscypliny eksportowej.

Przez wiele lat narzekano (i narzeka się nadal na projektantów

Wprowadzić zrezygnowano z kłitek, ale ktoś wpadł na pomysł, zatwierdzony niestety, przez Ministerstwo Oświaty i Wychowania, aby budować sale o wymiarach 36x18. Choć postęp widoczny, ale decyzja wyjątkowo krótkowzroczna. Wszec stronny rozwój sportu szkolnego już teraz wymaga obiektów pełnowymiarowych — 42x21 m — odpowiadających wymogom (łącznie z piłką ręczną) wszystkich gier halowych. Koszty wprowadzić byłoby większe, korzyści jednak bardzo duże i warto się nad tym, póki czas, zastanowić, gdyż za kilka lat będzie za późno. W tym kontekście na podkreślenie zasługuje upór władz legnickich, które wybudują przy II Liceum Ogólnokształcącym salę pełnowymiarową.

Stadiony i sale to nie jedyne obiekty, jakie powstają i powstawać będą w najbliższych latach. Pełną parą ruszyła budowa kortów tenisowych, tak zwanych zielonych sal gimnastycznych, osiedlowych ośrodków sportowo-rekreacyjnych, specjalistycznych sal (m. in. w roku przyszłym otrzymają taką szermierze legnickiego Piasta), pawilony socjalno-administracyjne i wielu innych mniejszych urządzeń, które w przyszłości służyć będą nie tyle sportowi wyczynowemu, co masowemu i rekreacji.

Na szczególną uwagę zasługuje budowa legnickiej strzelnicy przy ulicy Bielańskiej, pomyślanej jako baza do uprawiania sportów obronnych. Sprawa posiada już bogatą historię i pisaliśmy o niej kilkakrotnie. Przed laty powstały projekty, częściowo uporządkowano teren i wzięto płytę na umocnienie wałów ochronnych i kulochwyty. Na tym się skończyło, gdyż zapomniało o budowie. Część płyt rozkradziono, bo doskonale nadawały się do budowy garaży, inne z braku zabezpieczenia uległy zniszczeniu. W tym roku wreszcie przystąpiono do prac. Po zakoń-



TRADYCYJNYM zwyczajem ogłaszamy plebiscyt „Konkretów” na dziesięciu najlepszych sportowców i pięciu trenerów województwa legnickiego w roku 1978. Jest to już szósty z kolei plebiscyt, którego współorganizatorami są: Wydział Kultury Fizycznej i Turystyki Urzędu Wojewódzkiego, Wojewódzka Federacja Sportu, Rada Kultury Fizycznej i Turystyki Wojewódzkiej Rady Związków Zawodowych, Zarząd Wojewódzki Federacji Socjalistycznych Związków Młodzieży Polskiej. Kandydatów wytypowały kluby sportowe zrzeszone w WFS. Lista, jak zwykle, nie jest pełna i każdy z Czytelników może (z podaniem pełnego uzasadnienia) zgłaszać swoich pretendentów. Opierając się na wcześniejszych uzgodnieniach zgłaszamy następujących kandydatów:

PIŁKA NOŻNA

Zygmunt BABIRACKI (Chrobry Głogów) — najlepszy snajper drużyny walczącej w klasie międzywojewódzkiej.

Marek BIEGUN (Zagłębie Lubin) — członek młodzieżowej kadry Polski.

Rudolf KONIECZNY (Zagłębie Lubin) — najlepszy rozgrywający drugoligowej sekcji, autor wielkiej niespodzianki w Pucharze Polski.

Ireneusz MICHALAK (Miedź Legnica) — najlepszy rozgrywający wicelidera klasy międzywojewódzkiej.

Kazimierz MOTYLEWSKI (Miedź Legnica) — niezwykle opasowany bramkarz, ratujący drużynę w najcięższych opresjach.

lekkoatletyczny, między innymi wychowawca mistrza Polski w biegach przełajowych Ireneusza Kasprzaka.

Eugeniusz MYCAK (Zagłębie Lubin) — trener jedynej w województwie sekcji piłkarskiej występującej w II lidze.

Kazimierz NIEMIETIUK (Miedź Legnica) — trener drużyny klasy międzywojewódzkiej, znany wychowawca młodzieży.

Wiesław PAZDYKA (Cuprum Lubin) — współtwórca sukcesów lubińskich lyżwiarzy szybkich.

Andrzej SALACKI (LKS Chojnow) — zawodnik i trener znanej w kraju sekcji jeździeckiej.

KUPONY plebiscytowe zamieszczać będziemy w styczniowych numerach „Konkretów”. Wypełnione (na kuponach) listy kandydatów prosimy nadsyłać na adres Redakcji: plac Chopina 2, 59-220 Legnica, w terminie do 5 lutego 1979 roku, z dopiskiem „Plebiscyt sportowy”. Dopuszcza się — ze względu na ograniczony nakład pisma — typy na kartkach pocztowych, które jednak nie będą uwzględniane w losowaniu nagród. Oficjalne ogłoszenie wyników nastąpi 24 lutego 1979 roku na tradycyjnym balu sportowców.

NASI KANDYDACI

ZYGMUNT ŁUSZCZ

SPORTOWCY

AKROBATYKA SPORTOWA

Leszek ANTONOWICZ, **Slawomir HAŁADA**, **Wojciech ŚWIECIK**, **Bogdan ZAJĄC** — dwukrotni mistrzowie świata (z Saarbrücken i Sofii) w ćwiczeniach czwórkowych, a ponadto wicemistrzowie Europy — w zawodach rozgrywanych w Rydze i „odwieczni” rywale znanej czwórki radzieckiej.

Janusz PODESZWA (Kuznia Jawor) — wicemistrz Polski w skokach na batucie.

Marek ŁYCZAK, **Emil JANIĄK** (Kuznia Jawor) — mistrzowie Polski w skokach synchronicznych.

Zdzisław PELKA — czterokrotny, niezwykle utalentowany, mistrz Polski juniorów w batucie.

BOKS

Włodzisław NIEMKIEWICZ (Zagłębie Lubin) — mistrz Polski w wadze średniej, wielokrotny reprezentant kraju, uczestnik różnych turniejów międzynarodowych, zwycięzca w turnieju o memoriał Feliksa Stamma.

Mieczysław MASSIER (Miedź Legnica) — wicemistrz Polski w wadze koguciej, członek kadry narodowej.

HIPPIKA

Jan WOŁOWIEC (LKS Chojnow) — triumfator wielu zawodów jeździeckich, w tym o memoriał Królikiewicza; wysokie, siódme miejsce w mistrzostwach kraju w skokach.

Kazimierz TERESZKIEWICZ (LKS Targoszyn) — wicemistrz Polski juniorów.

LEKKA ATLETYKA

Danuta CALY (Zagłębie Lubin) — dwukrotna mistrzyni Polski w pięcioboju, rekordzistka kraju, reprezentantka i członkini kadry narodowej.

Małgorzata MIZGAŁA (Zagłębie Lubin) — halowa mistrzyni Polski juniorek młodszych w skoku wzwyż.

Ireneusz KASPRZAK (Piast Głogów) — mistrz Polski juniorów w biegach przełajowych.

Wiesław ZIEMBICKI (Zagłębie Lubin) — wicemistrz Polski w biegu na 2 km z przeszkodami.

PODNOSENIE CIĘŻARÓW

Zbigniew RADZIĘCIAK (Górniki Polkowice) — brązowy medalista mistrzostw Polski w wadze superciężkiej, wielokrotny mistrz Dolnego Śląska.

ŁYŻWIARSTWO SZYBKIE

Lilianna MORAWIEC (Cuprum Lubin) — czterokrotna medalistka ogólnopolskiej spartakiady młodzieży.

Marek STĘCZNIIEWSKI (Cuprum Lubin) — trzykrotny medalista Ogólnopolskiej Spartakiady Młodzieży.

Bogdan KRZYWOSZ (Cuprum Lubin) — czołowy zawodnik sekcji, członek kadry narodowej.

SZERMIERKA

Ryszard GROBELNY (Piast Legnica) — piąty w mistrzostwach Polski juniorów w szabli, uczestnik licznych turniejów międzynarodowych, najlepszy w memoriale Dziegielewskiego.

TENIS STOŁOWY

Włodzisław BŁAUCIAK (Zagłębie Lubin) — zasłużony zawodnik pierwszoligowej sekcji.

Jerzy FLORCZAK (Zagłębie Lubin) — sparringpartner członków kadry narodowej, najlepszy pingpongista sekcji lubińskiej.

TRENERZY

Zygmunt BIEGAJ (Górniki Złotoryja — Kuznia Jawor) — wychowawca i współtwórca sukcesów mistrzów świata — słynnej czwórki akrobatów.

Piotr BIEGAJ (Kuznia Jawor) — młodszy brat słynnego trenera akrobatów, wychowawca bardzo utalentowanej młodzieży jaworskiej.

Ryszard BAURA (Górniki Polkowice) — dawniej doskonały ciężarowiec Zagłębia Lubin, dziś trener II-ligowej sekcji Górnik Polkowice.

Ryszard FURDYNA (Miedź Legnica) — pierwszy trener drużyny bokserskiej, która awansowała do II ligi.

Piotr KACZMAREK (Zagłębie Lubin) — trener lekkiej atletyki, wychowawca młodzieży.

Adam KAZMIERCZYK (Cuprum Lubin) — założyciel sekcji lyżwiarstwa szybkiego i kierownik szkoleniowców w klubie.

Stanisław KOCHANOWSKI (Piast Głogów) — znany trener



Fot. Krzysztof Raczkowskiak

KUPON PLEBISCYTOWY SPORTOWCY

- | | |
|---------|----------|
| 1. | 6. |
| 2. | 7. |
| 3. | 8. |
| 4. | 9. |
| 5. | 10. |

TRENERZY

- | |
|---------|
| 1. |
| 2. |
| 3. |
| 4. |
| 5. |

Imię i nazwisko głosującego

Adres





ZUTRASKNIENIEM czekają na nową szkołę. Gdyby ze starego budynku było widać plac budowy, przystawiliby pewnie przy oknie parę razy dziennie i choć jednym rzutem oka kontrolowali postęp robót. Ale nowa szkoła — nowoczesna, przestronna, z salą gimnastyczną — gotowa będzie dopiero za dwa lata. Na razie na rogatkach Chocianowa wita przyjeżdżających surowy gmach stojący samotnie wśród wykopów i błota.

Niecierpliwość jednak tych, co na szkołę czekają jest tak wielka, że już teraz robi się przymiarki do jej zagospodarowania. Idą w Polskę pierwsze zamówienia na sprzęt i pomoce naukowe, bo nie najlepsze dotychczasowe doświadczenia wskazują, że tylko taka zapobiegliwość zapewni pełne wyposażenie „nowej”. Rodzice zaś przyszłych uczniów utworzyli komitet specjalny, który zajmie się urządzaniem otoczenia szkoły i to już w chwili, gdy budowlani wezmą się za roboty wykończeniowe — kiedy zatem szkoła ruszy, otoczona będzie boiskami, trawnikami, drzewkami — pewnie też... I na kilka najbliższych lat rozwiązane zostaną wszystkie problemy lokalowe Zbiorczej Szkoły Gminnej w Chocianowie.

Tak będzie jednak dopiero za dwa lata. Na razie wizja nowej szkoły podtrzymuje na duchu nauczycieli, którzy codziennie rano zamykają się w tłum ponad ośmiuset dzieci kłębiących się na korytarzach. Korytarze właściwie niewiele zostało, bo już dawno ich fragmenty poprzedzielano ściankami tworząc dodatkowe pracownie, małe sekretariaty, skromniutki dyrektorski gabinet. Nie starczyło korytarzy dla gabinetu dentystycznego i biblioteki — na szczęście był przedsiónek i strych... Ale i tak do starego gmachu z czerwonej cegły trzeba było dobudować plomby — przybudówki. Jednym słowem: ciasno, tłoczno, głośno. A uczyć i uczyć się trzeba. Nie czekając na nową szkołę. Można tylko pocieszać się, że za dwa lata w tym samym budynku pozostaną tylko klasy pierwsze, drugie i trzecie i przedszkolna grupa sześciolatków. Na razie jednak brzmi to trochę jak egzotyczna bajka dla grzesznych dzieci.

Szkolne sprawy miasta i gminy Chocianów nie zamykają się tylko w murach tego jednego gmachu. Trzy szkoły 8-klasowe pracują w Trzebnicach, Chocianowcu i Szklarach Dolnych, dwa punkty filialne dla najmłodszych mają Parchów i Zabice — w sumie ponad 500 dzieci. Warunki niewiele lepsze, klasy wszędzie przepełnione, w Szklarach trzeba było nawet połączyć naukę klas sąsiednich. Samodzielnie uczą się jednak pierwszoklasiści, pierwszy rocznik dziesięciolatków, ożko w głowie wszystkich chyba dyrektorów szkół podstawowych w Polsce. Gminny dyrektor szkół zawiaduje także przedszkolnymi, wśród których największą uwagę i troską obdarza oczywiście sześciolatków, bo od tego jak będzie się nimi opiekował, teraz zależy jakich będzie miał uczniów za rok. Więc przedszkolną opiekę zapewnił wszyst-

kim starszakiom i w mieście, i na wsi. Maluchy bawią się i uczą w szkole i oddziały przedszkolne zdążyły już nawet dorobić się jako takiego wyposażenia — zaradność nauczycieli nie zna granic.

Zaradność i odporność na trud życia. Bowiem przy w ogóle niełatwej pracy w szkole, specjalne chocianowskie warunki powinny jeszcze bardziej zniechęcać, odpychać od miasteczka. Normalni ludzie omijaliby Chocianów z daleka — nauczyciele pracują tu po 15 i więcej lat. Mało, 40 proc. ca-

ci i uczą się sami — szesnastu nauczycieli-studentów to niemałe obciążenie dla pozostałych kolegów, na których przez te kilka lat spadają dodatkowe obowiązki. Tu jednak myśli się przyszłościowo. O dziesięć lat. Więc już teraz rozplanowano dokładnie specjalistów nauczania początkowego na najbliższe dwa lata.

W obecnych dziewięciu pierwszych klasach uczą sami specjaliści, o długoletnim doświadczeniu, przygotowani dobrze do realizacji nowego programu. Wychowawczy-

dzice. Nie wszystko jednak można zrobić samodzielnie, bo ze spisu pomocy trudno wywnioskować, jak to powinno wyglądać. Skoro więc producenci nie nadążają z produkcją, może wydać by ilustrowany katalog wszystkich pomocy, aby ułatwić zadanie tym, którzy chcą i mogą zrobić je samodzielnie.

Chocianowska szkoła eksperymentuje. Powołano na przykład Gminny Komitet Rodzicielski, który od dwóch lat dba o sprawy wszystkich szkół w gminie, przykładając się do organizacji wielkich szkolnych uroczystości, uczniowskich wycieczek i stanowi forum wymiany doświadczeń dla członków komitetów z poszczególnych szkół.

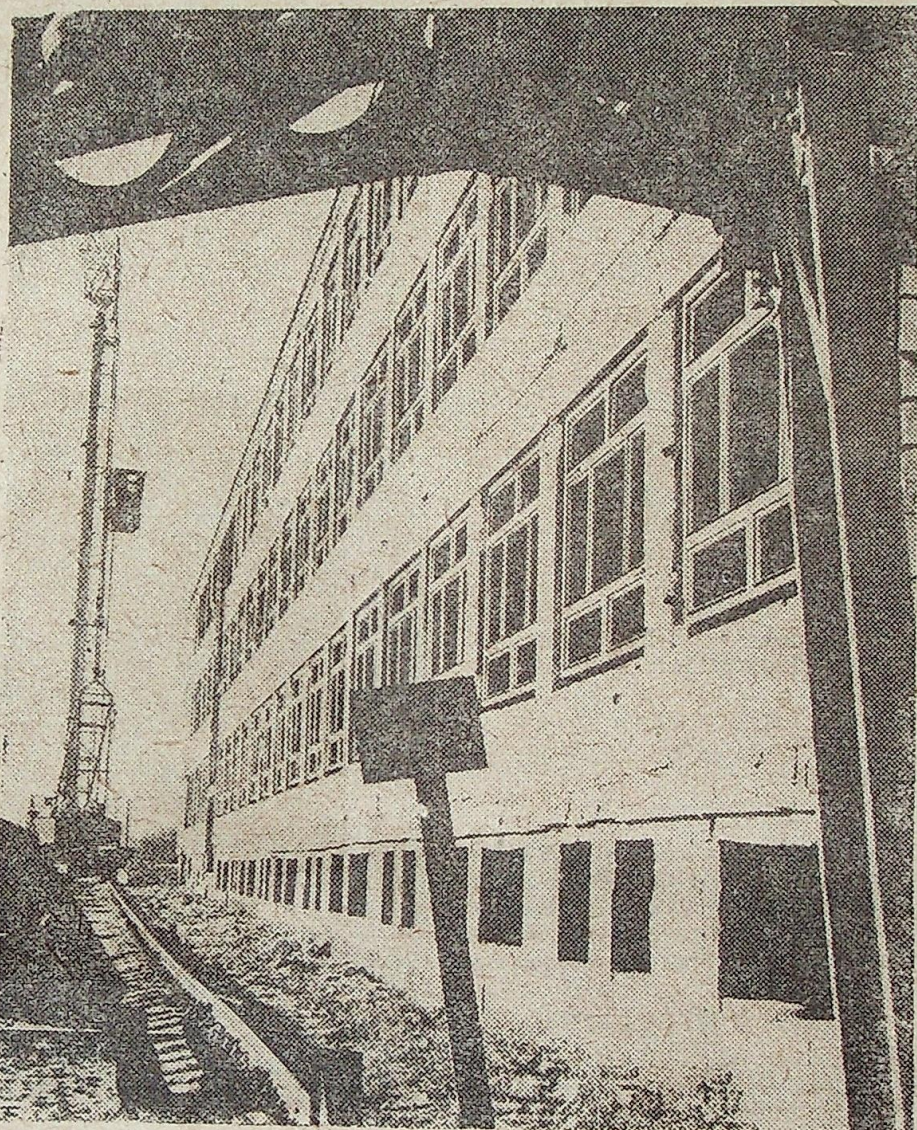
Ładnie rozkwitającym eksperymentem jest również szeroka współpraca szkoły z samorządem mieszkańców — od utworzenia dziecięcych samorządów podwórkowych, które dbają o czystość i porządek wokół swoich domów, aż po udział samorządowych działaczy w pracy wychowawczej szkoły. To właśnie samorząd służy pomocą, gdy trzeba objąć opieką dzieci z rodzin rozbitych, zagrożone demoralizacją, informuje o potrzebie umieszczenia ich w półinternacie, przyznania zapomogi, popiera wnioski o pozbawienie rodziców ich praw do dziecka (a nie takie to rzadkie przypadki). Dzieci specjalnej troski stanowią w szkole chocianowskiej problem niemały — co roku na ich potrzeby wydaje się z górą 160 tys. złotych. Jednakże zapomogi, dofinansowywanie rodzin zastępczych to już tylko likwidowanie skutków swoistej niewydolności wychowawczej rodziny. A ponieważ zjawisko to nasila się, równie ważna staje się działalność profilaktyczna — praca szkoły i harcerstwa, opieka nad dziećmi po południu, kontrola. Tu znowu z pomocą przychodzi działacz samorządowy, który włącza się m. in. do kontrolnych patroli szkolno-rodzicielskich, które od czasu do czasu sprawdzają na chocianowskich ulicach, co porabiają młodzież i zupełnie mali ludzie.

Zbiorcza Szkoła Gminna w Chocianowie działa właściwie dwutorowo. W miasteczku napotykane wszystkie problemy szkoły miejskiej — także te najtrudniejsze. W placówkach filialnych, na wsi ulega tym wszystkim przeobrażeniom, jakie stały się udziałem wiejskiej szkoły od czasu powołania placówek zbiorczych. Dyrektor Konieczny już po kilku zaledwie latach widzi zasadniczą różnicę w poziomie rozwoju uczniów, którzy uczą się w znacznie lepszych warunkach. A jednak wiejskie szkolki wspominają z żalem.

NAUCZYCIEL znika z wiejskiego krajobrazu — mówi. — Dawniej był obecny w wioskach, w których nie było nawet proboszcza, czy agronoma, cieszył się kolosalnym autorytetem. Dziś ten prestiż nie zanikł, ale ma inne wymiary, uzależniony jest także trochę od tego, w jakich warunkach pracuje, mieszka, jak skutecznie uczy dzieci. Rodzice cenią w pedagogu przede wszystkim fachowca, który ich dzieciom pomaga w wejściu w świat. Ale sentyment do nauczyciela, jako człowieka, który niegdyś był jedynym w promieniu wielu kilometrów, co potrafił napisać podanie do władz, pozostał. I to jest w dalszym ciągu bardzo zobowiązujące.

ANNA STOKROCKA

DŁUGIE DWA LATA



Na razie na rogatkach Chocianowa, wśród wykopów i błota stoi samotny, surowy gmach...
Fot. Krzysztof Rączkowiak

łej pedagogicznej kadry w gminie, to ludzie, którzy tutaj zaczęli swoją nauczycielską karierę przed wieloma laty. Najwięcej jest ich w szkołach wiejskich. Ale też sam dyrektor, Marian Konieczny, dawal dobry przykład. Bo rozpoczynając przed 25 laty pracę w Trzebnicach — jako świeżo upieczony absolwent Liceum Pedagogicznego, z nakazem pracy i zamiarem ucieczki do miasta natychmiast, kiedy to będzie możliwe — wszystkie szczeble oświatowej hierarchii zaliczył w tychże Trzebnicach i Chocianowie. A wraz z nim pracowali i inni, tacy choćby jak Janina Barczyszyn, Helena Konieczna, Teresa i Józef Grygorcewiczowie, Janina Bień, czy Eugenia Chodzyń.

I w Chocianowie nie brakuje nauczycieli! Jest ich dokładnie tyle, ilu być powinno, a w 60-osobowym gronie całe 10 proc. stanowią panowie. Pedagodzy uczą dzie-

nie przyszłorocznych pierwszoklasistów i tych, którzy przyjdą w 1980 r. starannie się do tego przygotowują. Są w lepszej sytuacji, bo będą mogli czerpać z doświadczeń swoich kolegów.

— Byliśmy na początku, po zapoznaniu się z nowym programem, trochę przerażeni — mówi Maria Gawron, nauczycielka od 17 lat — ale nie jest źle. Ten program jest urozmaicony, ciekawy, bogaty, atrakcyjny dla dzieci. Uczniowie też są dobrze przygotowani, dzięki przedszkolu — mają duży zasób słów, potrafią się ładnie wypowiadać, są samodzielni. Czasem tylko te cztery lekcje dziennie trwają trochę za długo. Chciałyby się dzieci więcej bawić. Jest na szczęście nowy przedmiot „środowisko społeczno-przyrodnicze”, pozwalający na lepsze poznawanie świata i trochę zabawy. Ale właśnie do tego przedmiotu brakuje najbardziej pomocy naukowych. Bo jakieś drobiazgi, plansze do matematyki czy języka polskiego robią często ro-

PRZYJECHALIŚMY do Orska w sobotę, 9 grudnia. Po którymś już z kolei terminie uruchomienia walcowni. Przyjechaliśmy rzecz jasna służbowo. Dyrektor nowo powstającego zakładu spojrzawszy na wypisane w KGHM zezwolenie na dokonywanie dziennikarskiej penetracji... oświadczył, że jest zajęty i że w zakładzie nie ma akurat dzisiaj nikogo kompetentnego do udzielenia informacji (sic!). Mimo to...

Przed budynkiem dyrekcji kilku robotników — już w kufajkach, bo mroz — skreca ostatnie słupy wysokiego napięcia... Nie spieszą się, ponieważ i tak pewnie w tym roku nie zdążą, jak „Elektromontaż”, który nie zdążył zbudować dwóch linii... Jedna jest gotowa i zasila stację walcowni... Ale zanim ruszy? Czy to już rzeczywiście dochodzi za piętnaście dwunasta? Terminy wszystkiego, co tylko jest do zrobienia, na naradach ustala się jako kilkudniowe. Z notatki spisanej 30 listopada wynikało, że na samej linii walcowniczej trzeba jeszcze załatwić dokładnie 232 sprawy! Wprawdzie większość to drobiazgi, prawie że nieistotne, ale brak silnika głównego, kłopoty z ukończeniem hydrauliki siłowej, brak czterech szwedzkich silników do pomp, nieczynna przepompownia wody w Chelmie, brak drugiego transformatora w GST...

„Montomet” w czasie naszej wizyty, bawił się jeszcze przy piecu topielniczym. Miał go skończyć 25 listopada, ale przeciągnęło się. Następny termin — 15 grudnia. Po tem jeszcze trzeba to zaizolować. „Elektromontaż” skończył instalację w kanałach. Teraz już Lubinśkie Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłowego kładzie na te kanały płyty. Władysław Słowiński ze swoją brgadą zostaje na drugą zmianę, by skończyć jedną ze ścian działowych w budynku walcowni, Jan Sologuba jest betoniarzem, ale musiał się przekwalifikować — tnie szkło na świetliki magazynu wyrobów gotowych, Henryk Frydrycki muruje budynek administracyjno-gospodarczy, Dominik Puciński z sześcioma posadzkami leje lastryko... Na każdym piętrze, w każdym niemal obiekcie wie prace. Zawsze tak było. Skąd

więc takie opóźnienie? Czy winić trzeba tylko generalnego wykonawcę?

Artur Mosiej — kierownik budowy — jest zakłopotany. Bo żeby sprawę wyjaśnić, trzeba by winę rozdzielić sprawiedliwie. Zwłaszcza, że opóźnienie jest ogromne — sięga już pół roku — a jak mówią kolejarze: może się zwiększyć lub zmniejszyć...

Więc tak. Na plac budowy weszło jeszcze Dolnośląskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłowego zaraz po połowie roku 1975. Był to pusty plac. Pole. Ani wody, ani energii. Brali prąd z wioski. Nikt dzisiaj nie potrafi zliczyć wyłączeń i awarii. Miała być huta ołowiu, walcownia miedzi... Jest walcownia, ale przecież to wszystko ulegało wielokrotnie przeprojektowaniu. Niektóre obiekty „chodzą” po placu... Zmieniano wielokrotnie ich lokalizację... Dowiedziałem się od jednego z robotników („panie, ja tu od początku”), że nawet wydzielano z ziemi rurociąg, by zamontować inny, o innym przekroju. Robotnik zaklinał się, że to prawda. Ale włożył mi między plotki. Budowa przeszła w spadku do nowej firmy. Do Lubinśkiego Przedsiębiorstwa Budownictwa Przemysłowego w Lubinie. Wprawdzie w Orsku pozostali ci sami ludzie, ale i pozostali do odrobienia zaniedbania poprzedniej administracji. Do dzisiaj leżały w szufladach starej firmy nie wysłane nigdzie zamówienia na płyty osłonowe PW-8. A dyrektor Wawrzyniec Rzepecki i Ryszard Sojka (pan na walcowni) niejednokrotnie jeździli po kraju, by to i owo do budowania załatwić.

Wiele dokumentacji do zrealizowania w osiemnastomiesięcznym czy dwudziestoczwieromiesięcznym cyklu budowlanym LPBP otrzymało na kilka miesięcy przed terminem rozruchu całej inwestycji. Nie trzeba nawet lałkom tłumaczyć, że materiały gromadzi się na podstawie otrzymanych projektów...

— Zawsze byliśmy do tyłu z betonem — mówi Artur Mosiej — nasza betonownia to stary rozlatujący się grat. Woziliśmy więc zaprawę nawet i po trzydziestu kilometrach. Gazy spawalnicze i ich dystrybucja to temat do niezliczonych opowiadań i materiałów na setki dowcipów. Mamy 24 spawaczy, a właśnie przed chwilą otrzymaliśmy dwa tleny i jeden acety-



Ryszard Bober spawa rurociąg c.o. do stacji uzdatniania wody.

Fot. Krzysztof Raczkowiak

WALCOWNICZE DYWAGACJE

len... A ile razy trzeba było po prostu improwizować? Na przykład nie otrzymaliśmy części płyt Lamela. Płyty z Trzemeszna natomiast są wiotkie. Dach nie może czekać. Kleili więc murarze te wiotkie na paździerzowe... W ten sposób zrobiliśmy samą te lamelowskie. Ale to jeden mały przykład. Przez lata budowy nabyłoby się tego pewnie kilka setek. Na linię walcowniczą w okresie trzech czy czterech miesięcy dostaliśmy dwie wersje dokumentacji. To znaczy ta z maja przestała być aktualna jesienią ubiegłego roku. A hala walcowni to ogrom roboty. Ponad dwadzieścia tysięcy metrów sześciennych betonu...

— Powiadają, że gdzie kucharek sześć... Mamy wielu podwykonawców na tej budowie i nie wszyscy okazali się solidni. To ogromna budowa, mocno specjalistyczna i musi być podział roboty. Ale już jest

dobrze. Terminy oddawania inwestorowi poszczególnych odcinków placu budowy określamy ilością dni, nie miesięcy, czy tygodni.

DO PRZECIECIA wstęgi pewnie już niedługo. W momencie drukowania tego materiału 232 punkty stopniały pewnie do kilku. Skończono instalacje siłowe, do których brakowało kształtek i zaworów, uruchomiono uzdatnianie, do maszyn skierowano wodę chłodzącą... Zanim jednak z zawrotną prędkością pobiegnie pierwszy miedziany drut, trzeba będzie wszystko sprawdzić, wypróbować, pokręcić. Następną relację proponujemy Czytelnikom już z rozruchu. Mamy nadzieję, że będzie to reportaż optymistyczny.

JAN ZBOJNIEWICZ

ŻYCIE I OBYCZAJE

W śliczny, mroźny grudniowy poniedziałek mój gazowy grzejnik wody przepływowej — popularnie: „junkers” — popsuł się definitywnie. Pomny instrukcji producenta, iż do wszelkich usterek tegoż urządzenia trzeba wzywać fachowca — wczekałem. To znaczy zadzwoniłem do działu technicznego Legnickiej Spółdzielni Mieszkaniowej, który mieści się przy ulicy Marksa i po to się mieści, aby między innymi naprawiać „junkersy”.

Zadzwoniłem we wtorek rano. Miły damski głos poinformował mnie uprzejmie, że fachowiec może przyjść za czwartek. Zgoda. Umówiliśmy się na dziesiątą trzydziestą. Na wszelki wypadek podaję swój numer telefonu: gdyby jakaś awaria, choroba fachowca, proszę zawiadomić. Zwolniłem się z pracy. Czekam.

O godzinie dwunastej dzwonię do działu technicznego i pytam: Co z fachowcem? „A nie przyszedł?” — dzwoni się głos po drugiej stronie. To był głos damski. Za chwilę głos zmienia się na męski, należący do kierownika. „O co chodzi?” — pyta głos. Tłumaczę. „Pan myśli, że ja mam czas chodzić za hydraulikami?” — słyszę w odpowiedzi.

Myślę, że kierownik nie powinien chodzić za hydraulikami. Za stolarzem, zdunem, szklarzem czy dekarzem — też zresztą nie. Bo iluż by wtedy trzeba było kierowników? Nie mówiąc już o tym, że bębni stali by się fachowcy: po co ma chodzić dwóch, skoro wystarczy jeden, kierownik na przykład, do naprawienia powiedzmy „junkersa”.

Nie zdolałem jednak wyjaśnić kierownikowi, że zakres jego obowiązków pojmujemy jednakowo. Albowiem zanim w ogóle przystąpiłem do wyjaśnienia, kierownik raczył zrzę-

nować z wymiany poglądów. A szkoda, nie będę ukrywał, że nęca mnie dyskusja o tym co i jak powinien robić kierownik. Z drugiej strony cieszy, że kierownik działu technicznego ma na temat swoich obowiązków poglądy tak ukształtowane, że wszelkie dyskusje o nich uważa za zbędne.

Rozmawiam tedy ponownie z głosem damskim. Głos upewnia mnie, że fachowiec na pewno przyjdzie, tylko się spóźni. W każdym razie mam czekać. Więc czekam. Nie idę do pracy. W sumie to też frajda — dzień wolny.

Nie doczekałem się. Zaś kiedy się

PSY SZCZEKAJĄ...

dodzwoniłem, to inny kobiecy głos (zmiana dyżuru) pocieszył mnie i obiecał, że zapisze adres, a fachowiec przyjdzie jutro. Wczesnym rankiem. Na pewno.

Miał wczesny ranek. Fachowca nie widać. Poczułem tedy nieodpartą ochotę ujrzenia działu technicznego na własne oczy. I ujrzałem. Kierownika też. Stał przy telefonie. Kiedy skończył rozmowę przedstawił mi, o chwilę rozmowy prosząc.

— Niech pan idzie do mojego pokoju i czeka.

Powiedział, że doś się naczyłem wczoraj. I coś tam jeszcze gadam, zupełnie jednak niepotrzebnie, bo kierownik zabral się za dzwonienie. Kiedy już sobie podzwonił (ja w tym czasie po raz trzeci poddyktowałem

pani za biurkiem swój adres i prośbę — co zostało skrzętnie zanotowane z obietnicą, że fachowiec przyjdzie jutro, na pewno) znowu zaczynał mówić. Chęć mianowicie wyjaśnić kierownikowi cel i powód mojej u niego wizyty. Ale znowu wysilałem się niepotrzebnie, a wręcz jestem nachalny! Stwierdzam bowiem, że ja gadam i przeszkadzam tym kierownikowi, który — kiedy tylko mówię poczęłem — nawijał ponad moją głowę ożywą konwersację, zdaje się, że o jakichś rurach ze stojącym opodal panem. Pewnie fachowcem. Pełen poczucia winy, że przeszkadzam w pracy — zamilkłem.

matne, że ktoś czeka i się nie doczeka, czy często się zdarza jego fachowcom, że nie przychodzą...

— Przecież powiedziałem, że często — rzekł kierownik i zamknął za sobą drzwi.

A ja zamknąłem usta. W ten sposób kierownik jeszcze raz udowodnił, jak łatwo można się pozbyć natrętnego gościa, który marudzi, marudzi i w pracy przeszkadza. Tym bardziej, że kierownik miał rację: często się zdarza. W sobotę umówiony po raz trzeci fachowiec też nie przyszedł.

Do poniedziałku, na umówionego po raz czwarty fachowca, nie czekałem. Od sąsiadki pożyczylem klucze od roweru, od sąsiadki motocykla, przestudiowałem instrukcję, różne rzeczy porozkręcałem, przetkałem, przedmuchałem i „junkers” działa. Może nie wybuchnie. Bo jeżeli, to musiałbym do działu technicznego wolać o ratunek, znowu rozmawiać z kierownikiem. A na domiar złego lataby się woda...

W poniedziałek — podaję dla formalności tylko — fachowiec nie przyszedł. Sympatyczna pani, z którą rozmawiałem ostatnio w dziale technicznym, radziła mi zwrócić się do prezesa spółdzielni.

O nie! Dopóki nie będę miał w domu potopu połączonego z detonacją i szalejącym ogniem — do nikogo się już nie zwracam. Niech ta karawana jedzie, ja jej i tak nie przeszkadzę. Prawda, panie kierowniku?

KRZYSZTOF DĘBEK

Kiedy po zakończeniu dyskusji o rurach, mówię zaczęłam po raz trzeci, kierownik po prostu się odwrócił i wyszedł z pokoju. Pewnie nie dlatego, że go nudziłem — przecież nie zdążyłem! — ale kierownik najwyraźniej nie miał już do kogo dzwonić ani z kim porozmawiać. Fachowiec wszak wyszedł i byłśmy w pokoju sami...

W tym momencie — przyznaję się szczerze i absolutnie dobrowolnie — wyłaził ze mnie typ namolny, nachalny i tle wychowany. Jednym słowem: zmora wszystkich urzędników. Albowiem dognałem kierownika. Nie bacząc na zalecenia savoir-vivre'u, nie zważając na nic, nawet na to, że peroruję do kierownika pleców i to wędrujących — pytam, czy to nor-

P.S. Jeżeli kierownik działu technicznego LSM przeczyta to wszystko i wykrzyknie: „Skąd mogłem wiedzieć, że to był dziennikarz?” — będzie miał całkowitą słusność i będzie usprawiedliwiony. Bo ja rzeczywiście wyglądam na „zwyczajnego, proszącego potentata”. Nie mam na czole wypisanego, że jak sechcę, to i tak się wygadam...



LUDZIE SĄ DOBRZY

DROBNIUTKA jest... Kiedy siedzi na rozklekotanym, trzeszczącym łóżku, nie sięga nogami podłogi. Stara jest... Urodziła się piętnaście lat wcześniej niż II Rzeczpospolita. I biedna jest... Ma niecałe 900 złotych zapomogi z gminy i stanowi to wszystko czym rozporządza Stefania Z., aby urządzić sobie życie na starość.

Mówi się: starość spokojna, zasłużony odpoczynek. Mówi się też: złota jesień życia...

Mieszka w oborze. — Po wojnie — powiada — stały tu krowy... Ale wtedy Stefania Z. mieszkała z ojcem we własnym domu. Matka zmarła zaraz po przyjeździe na Ziemię Odzyskaną. To właśnie ją pierwszą pochowano na tutejszym cmentarzu. Póki żył ojciec — była rodzina. Kiedy go zabrakło, skończyło się zwyczajne życie. Brat wypędził Stefanię z domu. Postarała się więc o przydział innych pomieszczeń — na strychu sąsiadki. Wyremontowała, wymalowała, wysprzątała, okna założyła, postawiła piec. Ale okazało się, że nie dla siebie. Sąsiadka też ją wypędziła. Zwyczajnie — pokój na strychu był potrzebny.

W powiecie przyjmowali we wtorki i piątki. We wtorki i piątki starała się więc Stefania Z. aby pozwolono jej zamieszkać przy oborze, urządzić sobie tam pokój. Wspomina wyprawy do Legnicy. To były czasy, kiedy nie dziwiło nikogo, że chodzi boso... Wspomina inżyniera jakiegoś, który jej pomógł załatwić remont i przydział; naczelnika w powiecie, który jej — ubogiej i bosej — to wszystko zatwierdził.

Nieliczni są jednak ludzie, którzy życzliwie wspomina. Tak się jakoś w życiu złożyło. Próżno szukać winnych, ale i przychylnych się nie znajdzie. Biednemu wiatr

zawsze w oczy. Tak mówią od wieków na wsi. Stara kobieta zawsze była pod ten wiatr. Jej życie nikogo nie obchodzi, każdy ma swoje, ważniejsze. I bywało, że jej życie rujnowano, aby inne polepszyć. Zdarza się. Nikogo to nie dziwi. Nikogo nie obchodzi. Bo tak jest właśnie życie...

Starość bywa odpoczynkiem, radosnym patrzeniem wstecz: na życie właśnie, że nie zmarnowane, że pozostały na świecie dowody aktywnej w nim działalności. Starość może grać się w ciepłe domowego ogniska, wśród dzieci i wnuków; we własnym kącie żyć sobie przeszłością. — Starość grzeje się na zapieku — powiadają na wsi. Powiadają też, że starość nie radość. Szczególnie wtedy, gdy trzeba do tego pieca samemu sobie węgla nanieść, drewno narząbać, posprzątać. Nie radosnego, gdy po kilkudziesięciu latach pracy, w 75 roku życia pracować trzeba nadal. Aby przeżyć...

Najpierw była gospodarka na wschodzie, później 30 lat pracy w Ludowej Ojczyźnie. Początkowo opieka nad krowami w spółdzielni, potem robota na własnych niecałych dwóch hektarach i głodne przednówki. Rok do roku podobny. Tylko z każdym następnym sił ubywało, każdy kładł się dodatkowym brzemieniem na spracowane samotne barki...

Tego lata we wsi mieli obóz harcerze. Pomogli w ogródku, przynieśli węgla, narąbali drewna. Pogadali. Uśmiechnęli się. Jak to dzieci. A niedawno przysłali karteczkę. Zdrowia życzyli. Pamiętali! Dowód pamięci na widocznym, honorowym miejscu: pod świętym obrazem. I gdy na tę karteczkę spojrzy, to ma tę chwilę radości w życiu...

Stara Agnieszka W. chodzi od wsi do wsi, przemierza krotoszycką gminę, do Legnicy zagląda. Nocuje — różnie, gdzie bóg zdarzy i gospodarze się zgodzą. Nigdy nie wiadomo, gdzie można znaleźć

starą Agnieszkę. Od czasu do czasu przychodzi do gminy, siada u sekretarza urzędu i mówi. Co mówi — trudno zrozumieć. Ale dla starej kobiety nie ma znaczenia czy ją kto rozumie. Ważne jest, żeby ktoś posłuchał, żeby móc opowiadać. Tylko o to chodzi.

W urzędzie gminnym jest dla niej co miesiąc przygotowane 1.160 złotych zapomogi. Bierze pieniądze i kontynuuje wędrówkę. Omiija tylko z dala domy swoich dzieci. Bo dzieci są już bardzo dorosłe. Jej dzieci mają swoje dzieci. I po co im matka, już w gospodarstwie nieprzydatna, a na dodatek dziwna jakaś, bo przecież nawet mówi niezrozumiale. Po co komu?

Każdy ma swoje kłopoty... Matkę też ma każdy. I co z tego...?

Sołtys buduje nowy garaż. Dla fiata? Nie, dla ciągnika. Fiat później. Stoimy obok świeżych murów. Rozmawiamy o życiu. Ze starym teraz łatwiej, że ludzie sobie życzliwi, szanują dziadków i babcię. Przynajmniej w tej wsi, w której on jest sołtysiem.

Sąsiedzi sołtysa są dobrymi gospodarzami. Przetwarzają prawie. Dziewięć krów im się doi, klikanaście sztuk bydła rośnie w oborze. Na każdym kroku nowoczesność, dostatek. Szacunek budzą obszerne, pełne wszelkiego dobra zabudowania. Niejeden mógłby pozazdrościć sąsiadowi sołtysa. Nawet sam sołtys.

Nikt nie pamięta już od kiedy w tym gospodarstwie mieszka Bronisława T. Pewnie od początku. Nikt nie wie też, ile ona właściwie ma lat. Wiadomo tylko, że bardzo dużo. Staruszka mieszka w pokoiku nad oborą. Pilnuje dziewięciu krów, które się gospodarzowi doją i kilkunastu sztuk bydła, które gospodarzowi rosną. Pilnuje, bo tak się już przyzwyczaiła przez długie lata. Teraz łatwiej robić przy żywieniu — obora jest zmechanizowana, a jakże, i mechaniczna dojarka jest. Wyręca maszyny staruszkę. Ale nie zastąpią maszyny struszkę.

Wyżywi zaś staruszkę gmina. Należy jej się 1.160 złotych w każdym miesiącu. Urząd nigdy nie zapomina o tym swoim obowiązku.

Wszyscy widzą starą Bronisławę, jak idzie do sklepu. Kupuje sobie jajko, kawałek chleba, odrobinę masła. Niewielkie to zakupy. Na starość apetyt nie dopisuje. Wymagania są skromne. Zna ją we wsi, poznają z daleka: wolno idącą wiejską drogą, przyodzianą w nie zmieniany od lat strój. Nikogo to nie dziwi. Bo po cóż starej nowy przyodziewek?

Później wraca do swego pokoiku nad oborą. Nigdy nie opuści dnia pracy, nie zapomni o krowach, jałówkach i cielakach.

Trzeba pomóc gospodarzom. Niech rośnie ich dobytek! Niech im się coraz lepiej wiedzie!

Stoimy przy świeżych murach sołtysowego garażu i rozmawiamy o życiu. Sołtys przyznaje, że o Bronisławie T. od sąsiadów zapomnieli. Zdarza się. Ale starym teraz łatwiej, prawda?

Najpierw puka Józefa S. Krzyczę, że naczelnik przyjechał, chce pomówić, chce pomóc. Cisza. Drzwi dalej zamknięte.

— No i niech się coś nie dać Bóg, stanie — martwi się Józef. — Przecież w tym wieku... I nawet bym nie wiedziała...

Podchodzi do drzwi i znów puka. Przekonuje. Przecież znają się dobrze, dziesiątki lat obok siebie przeżyły: Józefa, która od dwóch lat jest na rencie w zamian za zdane gospodarstwo i Janina P.

Janina P. — jak ludzka pamięć sięgnie — zawsze była samotna, nikomu niepotrzebna ze swoim nabytym w wojnę urazem psychicznym. Kiedyś, przed wojną i w jej trakcie nawet uczyła dzieci. Ale to było tak dawno, tak dawno. Mniej trzeba, żeby zapomnieć o starej nauczycielce...

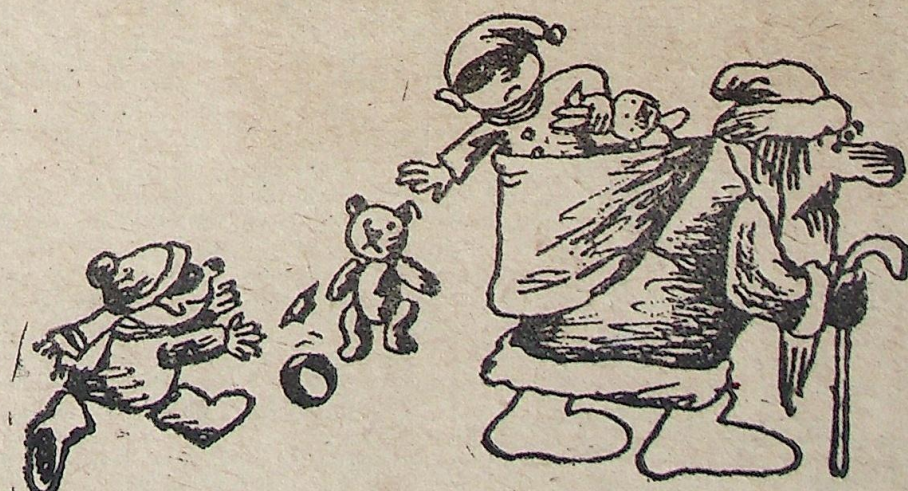
— Chyba będziemy musieli kiedyś rozwalić te drzwi — zastanawia się naczelnik. — Przecież nie ma wyjścia...

Stefania siedzi na stołku pośród makatek, świętych obrazów, sprzętów nie mniej od niej samej wiekiem steranych. Nogami nie sięga podłogi. Drobnutka jest. Zbiera siły, aby w piecu napalić. Musi sobie przynieść węgiel z komórki. Inżyniera jakiegoś wspomina, naczelnika z powiatu, harcerzy. O ogródku swoim opowiada. „Czoszeczka posadziłam, może doczekam” — mówi.

POCHYLONA Agnieszka wędruje po gminie. Nikt nie wie, gdzie można znaleźć starą Agnieszkę. Ale na pewno nie ma jej u dzieci... Bronisława jak zwykle zjeżdża ze swego pokoiku nad oborą i dopatry krów. A później pójdzie kupić, jak zwykle, kawałek chleba i jajko. Szybko się z tym upora i szybko wróci do pracy. Przyzwyczaiła się już. Tyle lat...

U byłej nauczycielki pewnie trzeba będzie drzwi rozwalić, jeżeli długo nie będzie otwierała. Ale dlaczego nie otwiera? Może ludziom nie wierzy. Wykluczone! Przecież chcą jej pomóc. Przecież ludzie są dobrzy...

KRZYSZTOF DĘBEK



— W jaki sposób tradycje domu rodzinnego, dzieciństwo wpłynęły na pani stosunek do życia?

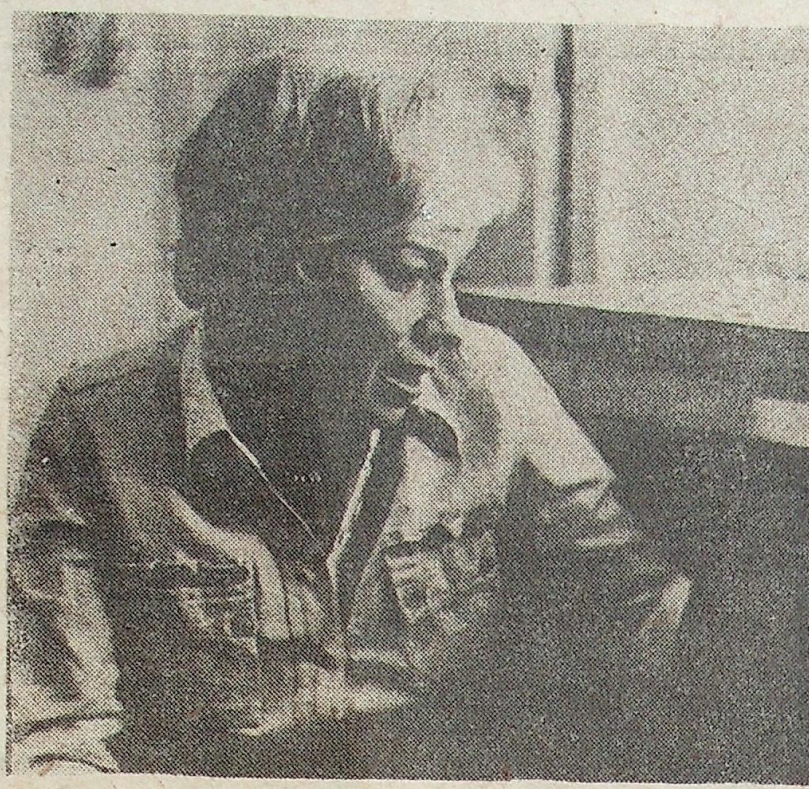
— Mam tylko jednego brata, ale wychowałam się w dużej rodzinie. Była ona bardzo zwarta, zintegrowana, nie tylko na święta i niedziele, ale była to integracja na co dzień i to spowodowało (choć nie wiem czy to nie jest cechą mojej osobowości), że mam bardzo wysoko ukształtowany instynkt stadny. Tak się obecnie ułożyło, że moja rodzina liczy tylko dwie osoby — ja i mąż Adam Hanuszkiewicz. Ale jest we mnie jakaś tęsknota za tym, aby w domu było więcej ludzi. Nauczyłam się żyć w dużej grupie. Nauczyłam się też wyłączać dla własnych potrzeb: uczenia się, czy lektury. Mnie grupa ludzi nie przeszkadza, potrafię w niej znaleźć swoje własne miejsce. Sądzę też, że jeśli dziecko wychowuje się w dużej rodzinie, to mimo woli wyrabia się w nim instynkt postrzegania. Bo zawsze są dookoła ludzie, jest konieczność obcowania z nimi na co dzień. Jednego boli głowa, innego boli brzuch i trzeba liczyć się z drugim człowiekiem. Lubię ludzi i zawsze mnie bardzo boli każda przykrość, od ludzi doznana. Gdy się tak rozglądam dookoła, to widzę, że mnie to bardziej dotyka niż innych. Moim marzeniem i tęsknotą byłoby żyć w świecie, gdzie nie ma konfliktów, gdzie ludzie się nie nienawidzą ale lubią, gdzie nie przeszkadzają sobie a pomagają. Ale przeżyłam już tyle lat aby się zorientować, że to niemożliwe. To może pozostać w sferze tęsknot i marzeń. Nie jest to wynik mojej goryczy czy złych doświadczeń, po prostu świat jest taki. Natura ludzka ma złe i dobre cechy, i one się przeplatają. I pewnie dobrze, że właśnie tak jest.

— Czy jakieś święta Bożego Narodzenia utkwiły pani specjalnie w pamięci?

— Świetnie pamiętam, choć byłam bardzo małą dziewczynką wigilię z 1939 roku. Panował wtedy okropny głód, właściwie nie było co jeść. Matka dawała nam na okragło zalewajkę, placki kartoflane i znów placki kartoflane i zalewajkę, bo jedynie kartofle były do zdobycia. Po kilku miesiącach takiego wyżywienia na kartoflach — przyszła wigilia. Nie trzeba zapominać, że byłam małą dziewczynką, a dla dzieci sprawa jedzenia nie jest obojętna. Tymczasem na stole pojawiły się kluski z makiem i ryba. Ta kolacja była w naszym pojęciu prawdziwą uczcą. Z perspektywy lat widzę, że była skromna, uboga, ale wówczas wydawało się nam, że jemy najwspanialsze przysmaki, jakie tylko istnieją na świecie. A drugie wyobrażenie o wiele ważniejsze niż smakowo-kulinarne to fakt, że mój ojciec wyszedł z oflagu i w przeddzień wigilii wrócił do domu. To była radość nieprzypadkowa, pisk i szaleństwo zupełnie. Siedzieliśmy mu bez przerwy na kolanach, albo na grzbiecie, albo pod ręką, albo na ramieniu, albo wręcz na głowie. To była wigilia, która miała znaczenie chyba dla całej rodziny, bo to były pierwsze wojenne święta i pierwszy dzień od wybuchu wojny, kiedy rodzina zebrała się w całości. Nikogo przy stole wigilijnym nie zabrakło. Był to bardzo wzruszający moment. Siedzieliśmy przy świetle karbidówki, ale była to wigilia jedyna w moim życiu, która przyniosła poczucie bezpieczeństwa, poczucie czegoś trwałego, poczucie, że mimo wielkiego kataklizmu — wewnątrz naszej rodziny nic się nie zmieniło i to utkwiło mi najsilniej w pamięci.

— Słyszę śpiewające ptaki w pań domu, czy to takie świetne nagranie?

— Nie, to żywe kanarki. Bardzo lubię zwierzęta i zawsze były one w moim otoczeniu. Ale nie mogę



się zdecydować na trzymanie psa, bo często całymi dniami nie ma nas w domu. W takim razie jeśli nie pies, to co? Zdecydowaliśmy się na kanarki. Mamy Pipinelkę i Kubusia, nie wyobrażam sobie domu bez nich. Kiedyś wyjechałam na wakacje, oddałam kanarki do przyjaciół. Po powrocie wejście do takiego cichego i niespiewającego mieszkania było głuche i smutne.

ZOFIA KUCÓWNA:

ŻYCIE PISZE SIĘ NA BRUDNO

— Czy one rozpoznają państwa?

— Nie wiem. Jednak inaczej się zachowują kiedy my podchodzimy do klatki, a inaczej gdy jest to ktoś obcy. Coś tam swoim małym instynktem wyczuwają. Na osoby obce reagują strachem, a my możemy wziąć je nawet do ręki i nic się nie boją.

— Jak wygląda pani zwykły dzień?

— Mam dni pracy i dni niepracy. Ponieważ mój zawód jest niecodzienny i właściwie nie jestem ograniczona ani czasem ani godzinami, dlatego mój dzień pracy może wyglądać bardzo różnie. Może być na przykład taki: o godzinie 10 mam próbę w teatrze, o czter-nastej trzydziści nagranie w radio, albo próbę w telewizji, a o dziewiętnastej spektakl w teatrze. Wtedy praktycznie jestem od 10 do 23 poza domem i rzeczywiście pracuję. Może być taki dzień, że o 10 mam próbę w teatrze, o 14 ją kończę — mam wówczas wolne popołudnie — i o 19 gram spektakl. To są najprzyjemniejsze dni, bo wtedy jest czas na to, by spokojnie zjeść obiad i odpocząć przed występem, może nawet spotkać się z kimś po południu. Ale bywają też dni takie, że się nic nie robi, bo nie ma się prób, nie ma się spektaklu, słowem — jest bardzo różnie. I dlatego lubię ten zawód, że jak przychodzi robota, to jest człowiek tak zajęty, że nie ma czasu ani na odpoczynek, ani na spotkanie, nawet na rozmowę z najbliższymi, z rodziną. Wchodzi się po prostu w kierat, wjeżdża na tory, z których nie można wyskoczyć ani w lewo, ani w prawo, dopóki premiera się nie odbędzie. Ale przychodzą okresy, że jest się wolniejszym, ma się więcej czasu na lekturę, na spacer, na wyjazd, dlatego między innymi, zawód mój mi się podoba, że jest nieregular-

ny. Wymaga ogromnego wysiłku,

ale przychodzą momenty wolniejszych chwil, kiedy można sobie pozwolić na relaks i zmobilizować się do skoku w następną robotę. Bywają dni, że się te zajęcia nawarstwiają. Nie ma nawet czasu na zjedzenie obiadu. Wtedy wypija się jakąś herbatę w bufecie telewizyjnym, popycha się to jajecznicą z kromką chleba i jakoś tak te trzy,

są aktywne, młode i sprawne. — Mówiła pani o lekturze w chwilach wolnych. Co pani lubi czytać? — Czytam bardzo różne książki, czytam dużo, prawie wszystko co mi wpada do ręki. Dostęczę często zaglądam do jednej z księgarń i właściwie wszystkie nowości staram się kupować, czytać i być na bieżąco. Staram się poznawać rzeczy nowe i orientować się w tym, co się dzieje w naszej literaturze i w literaturze światowej, ale to niemożliwe, już nie nadążam. O wiele więcej czasu miałam, gdy byłam młoda i ściślejszy był wtedy mój związek z książką. Teraz obowiązki domowe i zawodowe bardzo mnie od lektury odciągają.

— Mówi pani, że czyta pani wszystko, czy kryminały również?

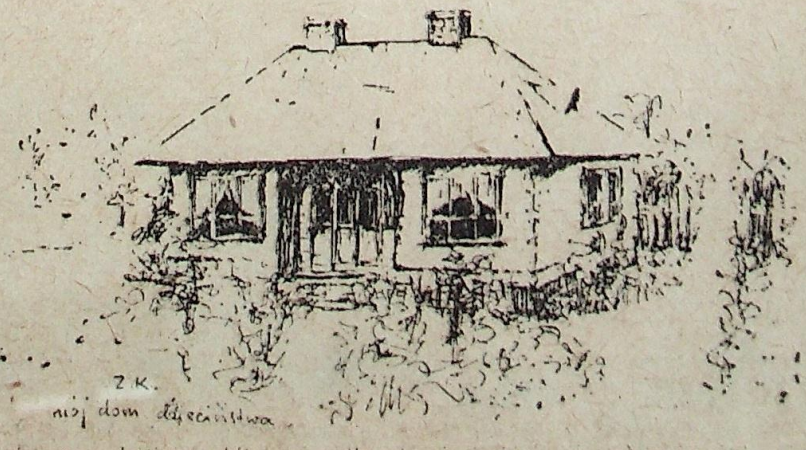
— Nie nigdy w życiu kryminałów nie czytałam i nigdy mnie ten rodzaj lektury nie interesował. Lubię natomiast kryminały przełożone na formę filmową. Ale kiedy jestem sama w domu, nie lubię oglądać kryminałów w telewizji, po prostu się boję. Przejmuję się tak straszliwie akcją, że nie potrafię wyzwolić się od strachu. Wtedy zapalam światło, włączam radio, żeby coś gadało. Najchętniej oglądam kryminały w towarzystwie.

— Bardzo lubię pamiętniki i stale je czytam. Zresztą ostatni okres „otworzył się” na pamiętniki, na penetrowanie faktów. Poza tym wzmogła się w nas ciekawość spraw autentycznych. Wymyślona fabuła niezbyt dziś ludzi interesuje, nawet jeżeli jest ona artystyczna i lepsza, i doskonalsza od prawdziwego życia. Ale pamiętniki nie powinny być nigdy poprawiane, przepisywane, porządkowane, bo życie pisze się na brudno. I wydaje mi się, że to jest główny powód, dla którego ludzi tak bardzo interesują autentyczne sprawy przeżywane przez autentycznych ludzi. Mają świadomość, że to jest prawdziwe życie, ani upiększane, ani stylizowane, bo życia poprawić się nie da.

— Czy popularność, jaką pani osiągnęła, jest na 'co dzień uciążliwa czy też przynosi raczej przyjemne momenty?

— Tak mi się szczęśliwie w życiu ułożyło, że przykrości specjalnie dużo od ludzi nie doznałam. Raczej spotykam się z ogólną sympatią i przychylnością. Ale od czasu do czasu jakieś drobne przykrości się zdarzą, bo jest rzeczą niemożliwą, abyśmy byli przez wszystkich lubiani. Nasza publiczność jest bardzo taktowna i bardzo dyskretna. Rzadko zdarza się ktoś wścibski, kto nie uszanuje prawa do naszego prywatnego życia. Jeśli ludzie nawet interesują się nami, to robią to tak, że tego nie odczuwamy. I za to im serdecznie dziękuję... Oczywiście do przyjemnych rzeczy związanych z popularnością należą kwiaty, których wiele przynosi każda premiera. Są one dla mnie zawsze wzruszające, tym bardziej że wyrażają bezinteresowną sympatię.

**Rozmawiała:
ELŻBIETA POMORSKA**





Nowa kreacja wymaga nowej fryzury. Ale z warkoczem Elżbieta Miłowska też jest urocza...

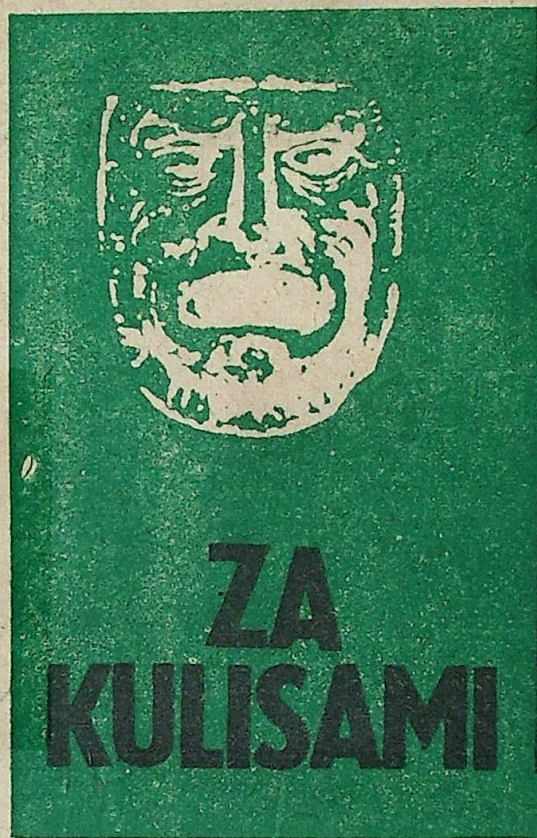


— Te wasy będą na pewno pana dobić — mówi znakomita perkarkarka Gertruda Olszregier.



Po premierze „Rapsodu” można już spokojnie porozmawiać. Andrzej Kiesz i Stanisław Raczkiewicz są zadowoleni — chyba poszło dobrze...

— Jak mi
siadek — Z



Bernadetta Szolc pilnie studiuje teksty Na



Zygmunt Pisiewicz pracował w fabryce pianin. Teraz stolarzuje w teatrze. Może jest nawet bardziej artystą niż stolarzem...



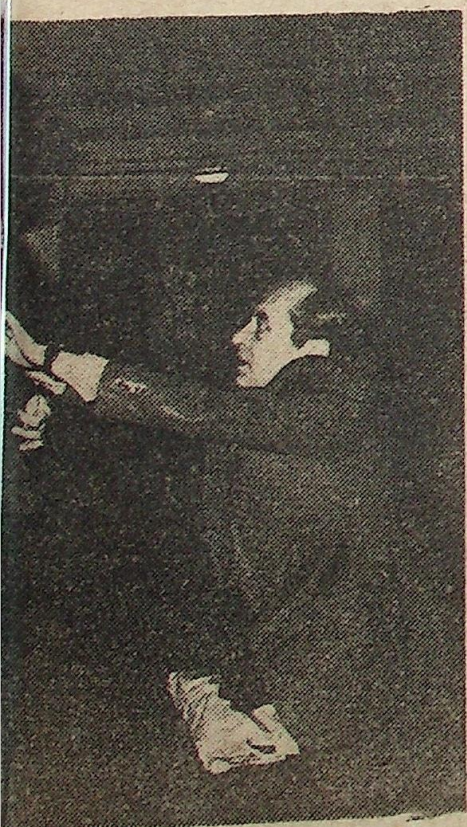
Mieczysław Ostroróg może garderobę poprawia sam dyrekt



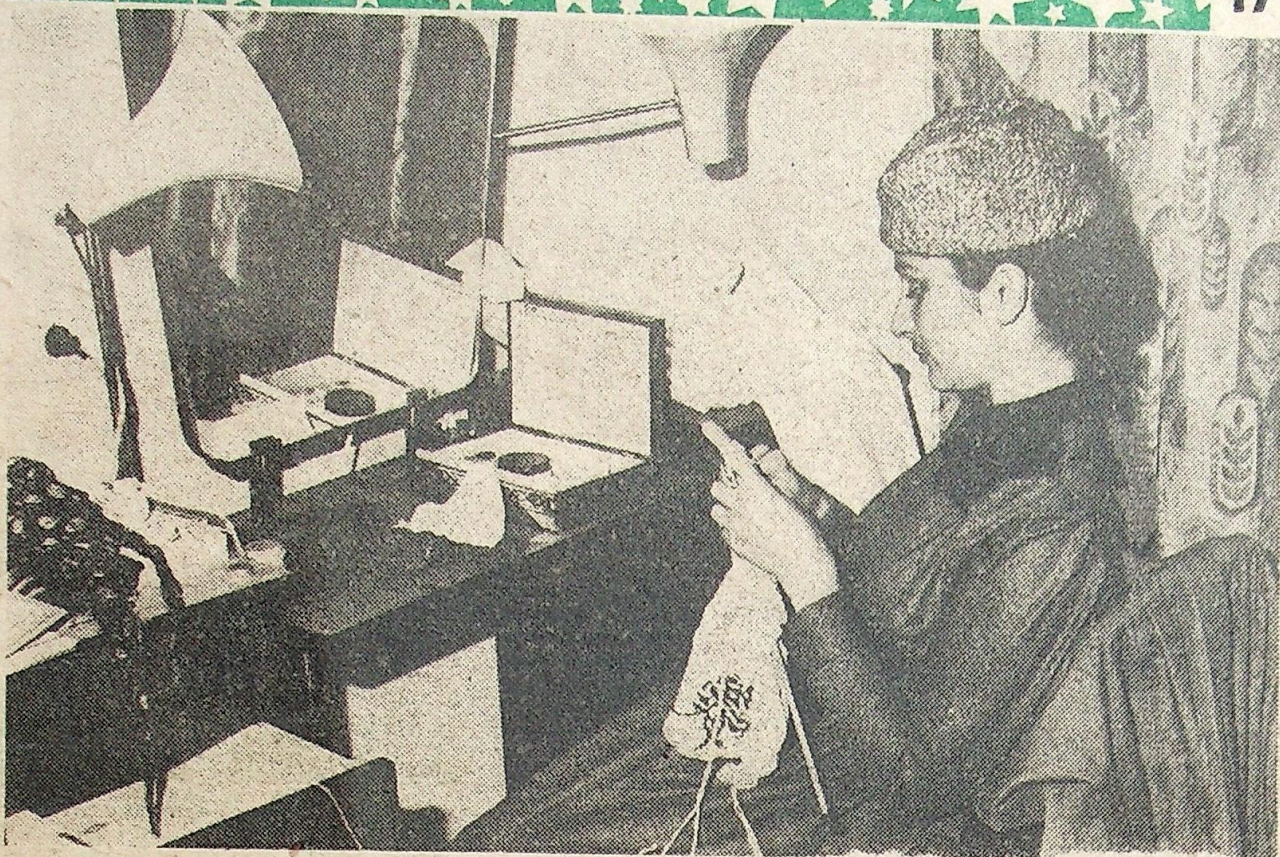
mi w tej sukni? — pyta Wiesława Sądzińska. — Znakomicie — odpowiadamy.



Na spektaklu nie może być wpadki.



może być dumny. Nie każdemu aktorowi. — Teatr to jedna pasja Grażyny Skotnickiej, a robotki — druga.



Teatr to jedna pasja Grażyny Skotnickiej, a robotki — druga.

TRZECI dzwonek. Ostatnie skrzypienia fotelików, gasną światła. Zapalają się rozżarzone kule reflektorów... Cisza. Za chwilę na scenę wyjdzie aktor. Ma bardzo niewiele czasu. Załedwie kilka sekund. Jeżeli widownia zaakceptuje jego propozycję — wygra! Gdy straci te pierwsze sekundy — spektakl jest odrabianiem czasu.

Zanim aktor stanie przed widzami, zanim elektryk przesunie dźwignię opornicy, mechanik podniesie kurtynę... Zanim rozlegną się pierwsze oklaski...

Na powodzenie aktora, spektaklu pracuje w teatrze wielu ludzi. Są za kulisami, w pracowniach, warsztatach. Ale nie bijemy im braw.

☆

W gabinecie dyrektora technicznego legnickiego teatru tłok. Trzy czwarte podłogi zajmują mundury, karabiny, drewniane granaty, plecaki. To pozostałości po „Rapsodzie”. Trzeba było pożyczać w wytwórni filmowej, od żołnierzy polskich, radzieckich, z teatru w Częstochowie... Teraz są już nowe kłopoty. Spółdzielnia „Dąb” miała jeszcze przed wakacjami wykonać gabloty, ale na razie... Najgorzej z azbestem. Trzeba było szukać po całej Polsce. A w teatrze bez azbestu ani rusz. Trzeba nim obić drzwi kabiny elektrycznej, trzeba zabezpieczyć wszystko, co mogłoby się zapalić. Razem około tony azbestu. Inne materiały? Płótno, drewno, farby, stalowe konstrukcje, włosy, szminki, sznurki, liny i masa rekwizytów. O to wszystko trzeba na czas zadbać. To wszystko musi być. Zalatwiają te sprawy ludzie zza kulis.

U dyrektora Henryka Obremskiego podsłuchuję kilka rozmów: Telefon — Dziękuję bardzo za naprawienie magnetofonu, ale drugi się właśnie zepsuł. Czy nie dałoby się tak błyskawicznie...

Pani z zaopatrzenia: — Wczoraj cały dzień szukałam parasolek...

Pan z dużą brodą: — Kiedy robimy „Kata”? Trzeba koniecznie dzisiaj, bo potem nie zdążymy...

Obremski: — I jak tu pracować, brakuje mi piętnastu ludzi. Nawet szewca nie mam. Herbaty nie ma kto podawać, trzeba zawsze jakoś improvizować. A w ogóle miał być samochód...

Telefon: — Czy pojechał ktoś po lizaki?

Wchodzi dyrektor Janusz Sykutera: — Panie Henryku, a jak z wentylacją?

— Tam jest dużo okien, a kostiumera umieszczę przy wieżyczce.

— Przy wieżyczce nie można. Będą kolizje, wie pan, duży ruch, próby.

☆

Idziemy „w teatr”. Zza jednych drzwi płynie targając serce, „Ta ostatnia niedziela”. Przy pianinie Zbigniew Podrez, wokół na krzesłach aktorzy... To próby przed spektaklem „Taka noc nie powtórzy się więcej”. Chwilę stoimy. Dawno tego nie słyszałem. Po „niedzieli” leżą kuplety kelnera i... i trzeba dalej iść.

Pokój z drewnianymi głowami. Na sztychach numery. Od 54 do 60. Na niektórych nazwiska aktorów. Jesteśmy w pracowni perukarskiej. Tu króluje Gertruda Olszregier. Razem z Elżbietą Kubiak robią peruki. Czeszą, ondulują. Teraz kończą fryzury do „Jasia i Małgosi”, a już czeka nowy spektakl do obsłużenia — „Jak to wilków cała zgraja”.

Na stole stoi płytka najeżona stalowymi kółkami. Takie miniaturowe łóżko Madeja. To do rozczesania włosów. Trzeba je będzie zmusić tknąć na delikatnej siateczce obejmującej drewnianą formę — głowę. Jedna peruka to tydzień pracy. Włosy trzeba kupować. Kiedyś pani Gertruda poświęciła swoje... Musiała to być piękna peruka! Ile ich zrobiła? Trudno zliczyć. Przecież to już parę lat i parę scen. Wrocław, Wałbrzych... Będzie już z siedemnaście lat.

Trochę mniej roboty jest z tupcikiem. To tylko kawalek peruki. Zakrywa wysokie czoło.

Ktoś wpada z kostiumem kaczki. Pękl zamek. Trzeba natychmiast do krawca. Przecież za dwadzieścia minut generalna próba „Jasia

i Małgosi”. — Niech wstawia też kilka haftek — mówi Sykutera — tak dla pewności...

☆

Inny świat — garderoby aktorów. Teraz puste. Artyści są na zajęciach. Lustra, wieszaki, suknie, garnitury, spokój... Spektakl dopiero wieczorem. Obok pracowni scenografa. Ściany jeszcze w plamach. Wychodzi przez farbę wapno. Ale kiedyś zamaluje się to i każdy scenograf będzie musiał na ścianach zostawić swój plastyczny upominek. — Będziemy mieli taką galerię — mówi dyrektor.

☆

Sala teatralna. Kończy się próba. Reżyser przez mikrofon strofuje, radzi, rozkazuje, krzyczy, biegnie na scenę, sam prowadzi aktora niewidoczną ścieżką... Potem choreograf — Raz, dwa, trzy i dopiero... Elżbieta Miłowska ćwiczy zawrotne piruety. Kilku aktorów dyskutuje ze scenografem.

— Czy mam ubrać tę kurtkę?

— W tej brodzie będę źle śpiewał — broni się przed przyklejeniem zarostu Juliusz Dziemski — a jeszcze te wąsy... No, dobrze, spróbuję!

Potem wszyscy wychodzą. W sali teatralnej jest cisza. Prawie ABSOLUTNA CISZA.

— Ale teatr żyje — szepta dyrektor Sykutera — to nie jest martwa sala, ona czeka. Wstrzymała oddech i napięta czeka na widza, na aktora...

WYCHODZIMY. Ostatnia dzisiaj rozmowa. — Zaraz po wakacjach mieliśmy poważną awarię urządzeń elektrycznych. Wystawienie „Marii Stuart” było pod znakiem zapytania. Ale nasi elektrycy „siedzieli bez przerwy czterdzieści osiem godzin i naprawili. To były najbardziej nerwowe godziny roku 1978. Ale rok był dobry. Oczekiwaliśmy 52 500 widzów, a naliczyliśmy ich około sześćdziesięciu pięciu tysięcy...

— Moje marzenia na przyszłość? No chociażby „Wesele” Wyspiańskiego, a potem Szekspira...

Zdjęcia: STANISŁAW CELOCH, tekst: JAN ZBIGNIEW

LESNE kwatery obra-
mowane są brzoza.
Piaszczyste drogi, nad
którymi pochylają się
delikatne białe pnie
drzew, wyglądają ro-
mantycznie i pięknie. Rzeczywi-
stość wszakże jest bardziej pro-
zaiczna. Brzezina trudno się pali,
stanowi pewną ochronę przed po-
żarem. Skuteczności tego środka
szczęśliwie nie trzeba było tutaj
wypробowywać.

Jedziemy leśną drogą. Spod kół u-
myka słońce z godnością jeź. W
przecinkach migają sarny, trafia się
koziółki. Nad polaną kołują długo-
skrzydłe sówki-szkodniki. Leśniczy,
Józef Biernat, wyciąga wciśniętą
między siedzenia dubeltówkę. Wy-
chodzimy na drogę. Na strzał jest
za daleko...

Las, który obcemu miga przed
oczami, zlewając się w jednolitą
masę drzew, można czytać jak
książkę. Znać na pamięć, rozumieć,
śledzić jego historię i legendę tak-
że. Las, który jest wonną igliwiem
sielanką tylko z pozoru.

SIEDLISZCZE

Ukryty w bzach piętrowy dom,
szara dachówka, od drogi czerwona
tablica „Leśnictwo Rogów”.
Pach trzeba wymieniać, bo się wali.
Na parterze „biuro”, niewielki po-
kój z potężnym biurkiem, szafa
pancerna, w której w zgodzie z
myśliwskimi surowymi przepisami
trzyma się broń; druga szafa do
przechowywania akt. W lesie,
wbrew pozorom, pisze się dużo,
strzeła znacznie mniej.

Parter — jeszcze dwa pokoje i
kuchnia, królestwo pani leśnicz-
ny o egzotycznym imieniu Giovan-
na. Na pięterku pokój teścia i có-
reczki Beaty. Służbowa leśniczo-
wa ma być magnesem i atutem dla
tej pracy, bo o luki tak łatwo to
nie jest.

Za domem obejście gospodarskie.
Kodeks honorowy, a także wzglę-
dy praktyczne przewidują, że leś-
nik powinien być samowystarczal-
ny, nie chodzić „po wsi” z prośbą
o trochę mleka, kilka jajek. Po-
winien mieć autorytet, gdyż ze
wsią łączą go rozliczne więzy i sub-
telne rozgrywki, w których argu-
mentów nigdy zbyt wiele.

Gospodarstwo w Rogowie dziś
zredukowane. Byczka, krowy i kil-
ka świń trzeba było sprzedać; po
ubiegłorocznej powodzi zabrakło
paszy, kupno się nie opłaca. Po-
zostały kury i kaczki, w cemento-
wych wybiegach nutrie — zwykle
i czarne — o których mówi się
tu pieszczotliwie „szczury”, poświę-
cając im wiele czasu i starania.
Dwa psy. Kawalek pola. Akurat
tyle, żeby roboty nie zabrakło.

Własny dom to jakby przywilej.
Gospodarstwo jest koniecznością
— z lasu człowiek nie wyżyje.

RODZINA

Ludzie przyszli tu ze Wschodu.
Nie wszyscy najbardziej prostą
drogą. Tuż po demobilizacji w są-
siednim leśnictwie Motoczyn osiadł
ojciec Józefa — Tadeusz Biernat.
Był rok 1946, obiegowa waluta sta-
nowił bimer, najczęstszymi gość-
mi byli wojskowi albo szabrowni-
cy. Tadeusz Biernat osiadł na le-
śniczówce, bo mu się spodobała,
a w lesie pracował od dziecka. O
tym samym zawodzie marzył dla
syna, jednego choćby z pięciu; ma-
rzył tym usilniej, gdy kolejni od
lasu już odchodzili, jeden do gór-
nictwa, drugi do pracy w zawo-
dzie mechanika.

Józef pozostał wierny pasjom oj-
ca. Trafił do technikum leśniczego
w Rzepinie w dawnym wojewódz-
twie zielonogórskim, lecz stamtąd
już prosto wrócił w swoje stro-
ny, do pobliskich Szczytnik, póź-
niej do nadleśnictwa Dziewin, koło

Legnicy, gdzie pracował 6 lat, po-
tem czas jakiś wspólnie z ojcem
w Motocynie. Rogów to w pew-
nym sensie dziedziczny spadek, wy-
nik podziału dawnego leśnictwa na
dwa odrębne. Starszy pan Biernat
jest już dziś na emeryturze.

Zona Józefa, jak się rzekło, po-
siada niepoliśkie imię Giovanna.
Domownicy mówią bardziej swoj-
sko „Janka”. Do Rogowa trafiła
daleką drogą z Włoch, gdzie jej
ojciec po zakończeniu wojny pojał
za żonę miejscową dziewczynę.
Dziś razem mieszkają w Rogowie.

Ojciec Giovanny, pan Antoni Sie-
licki, emerytowany nauczyciel, o-
powiada: „— Kiedyś, jak dowie-
działem się, że do Rogowa ma
przyjść nowy leśniczy, pomyślałem
sobie — oho, pewnie to będzie
zięć! No i tak właśnie się złożyło.
Zupełnie szczęśliwie!”.



DO LASU TRZEBA MIEĆ SENTYMENT

Rodzina, a właściwie taka prawie
— rodzina, nie połączona bowiem
więzami formalnymi, to jeszcze
młody podleśniczy Bogdan Pawli-
kowski, mieszkający wraz z żoną
i córeczką w pobliskich Prochowi-
cach, kilku znajomych, którzy za-
glądają częściej, pomagają coś przy
gospodarstwie, zasiadają do wspóln-
ego stołu, porozmawiają. Czy w le-
sie jest się samotnym? To już bar-
dzo zależy od człowieka.

LAS

Leśnictwo to 2000 hektarów do-
chodzące stąd aż do Odry. Teren,
który trzeba znać omalże na pa-
mięć, spenetrować każdy zakątek,
serdeczność wspomagać wiedzą,
talentem, doświadczeniem. Do lasu
bowiem nie każdy człowiek się co-
pasuje i największa nawet wiedza
wzbogacona nieprzeciętnym rozu-
mem, jeśli w ślad za nimi nie idą
pasja i serce, rychło prowadzi do
klęski. Las potrzebuje sentymentu.
Czy to prawda? — zastanawia się
leśniczy, ale czyni to w taki spo-
sób, że wiadomo, iż ten sentyment
posiada i myśli teraz tylko o tym,
jakby to było bez niego. Albo obok
owego przywiązania, stosunku ser-
decznego, potrzeba przecież także
chłodnej kalkulacji, uporu, nie-
rzadko okrucieństwa.

Las bowiem trzeba pielęgnować,
ochraniać przed zniszczeniem i nie-
szczęściami, szkodnikami i ludźmi.
przed każdą z możliwych klęsk —
a potem taki odchowany-wychu-
chany, godny wiekowością strzeli-
stych drzew — wyciąć, pnie por-
ządkować na kawałki, załadować na cię-
żarowe prągi, wysłać Bóg wie do-
kad. Ta właśnie sprężność wy-
znacza filozofię zawodu, jego swo-
istą refleksyjność i poznanie na co
dzień objawianej, powtarzanej
prawdy o przemijaniu.

OD ZIEMI DO ZIEMI

Na jednym hektarze sadi się 12
tysięcy sadzonek, miniaturowych
sosenek, miękich, kruchych i
śmiesznych jak dziecinna zabawka.
Jeśli nie zdarzy się nieprzewi-
dzianego, 500 z nich dorosnie wie-
ku 80—100-letnich drzew... Tereny
sadzonek noszą nazwę „upraw”
przysługującą im (w lesie, być mo-
że wbrew pozorom, wiele spraw u-
porządkowanych jest w najdrob-

niejszych szczegółach) do momen-
tu, kiedy młode drzewka zetkną się
gałązkami ze sobą. W tym też mo-
mencie powstaje młodnik.

Las, gdy jest już dojrzały, dzieli
się na: opał — sprzedawany bez-
pośrednio ludności, „używk” — su-
rowiec do wyrobu parkietów,
trzonków do młotków i siekier,
także całej galanterii drzewnej;
żerdzie czyli drobnowymiarowe
drewno budowlane, sprzedawane
zakładom pracy i ludności; stemple
budowlane oraz kopalniak — pod-
pory nie ukończonych jeszcze bu-
dowl i wyrobisk pod ziemią; su-
rowiec tartaczny, drzewo przeka-
zywane do dalszej obróbki, prze-
tarcia na deski; drewno sklejkowe
i okleinowe; zapalczanka, na którą
idzie świerk, osika i lipa. Na
szczyście jakościowej hierarchii stoi

drewno rezonansowe, z którego
sporządza się instrumenty muzy-
czne — odznaczające się oryginal-
nym ułożeniem słoików, jawory
oraz świerki. Specjalną kategorię
wybiera się na słupy linii ener-
getycznych, u nas już nie stosowa-
ne, lecz stanowiące istotną pozycję
eksportową.

Na to, aby las stał się drem-
nem, wypełniając obfite rubryki
sprawozdań i listów wysyłkowych,
musi przestać być lasem. Przed-
tem jednak trzeba go wyciąć i
wstępnie obrobić, co zabiegiem
prostym bynajmniej nie jest.

POWÓDZ

Powódz, choć od niej rok już
dawno minął, pamięta się do dziś.
Skoro las jest żywiołem, powódz
przerosła go swoją żywiołowością,
niesamowitością, grozą.

„Przyczyny bada komisja”. Na
miejscu mówi się o nieskoordyno-
wanej kampanii opróżniania zbiór-
ników retencyjnych, która walcie
wspomogła naturalną już falę po-
wodziową. Kiedy już woda poszła
do góry, wypełniając wpierw nad-
rzeczne doliny, wspinając się potem
nieuchronnie w górę, na tereny,
których związek z rzeką był już
żaden, nie było ratunku. Ewakuo-
wano ludzi, inwentarz, sprzęt.
Młodsze drzewa skryły się aż po
czubki. Na starszych wozbrana wo-
da pozostawiła czytelny po dziś
dzień ślad, ciemne smugi na pniach
w miejscu, dokąd sięgała. Zalało
45 hektarów upraw, młodego, nie-
dawno sadzonego lasu. Drewno
zgrupowane do wywózki spłynęło
— kto miałby wówczas czas o nim
pamiętać.

Gdy woda powróciła do rzeki,
powrócili też ludzie. Oszacowali
rozmiary strat, przyjrzeni się no-
wym krajobrazom powstałym w
miejscach dobrze im znanych. Za-
częto sadić las.

CZAS

— Wstaje o 6 rano. O 6.30 jestem
w biurze. Wydaje kwity na wy-
wóz drewna dla dwóch ciężarowych
prąg. O 6.45 stawiam zadania dla
niedobitków brygady technologicz-
nej — mówi Józef Biernat.

— Jeżeli jest to dzień sprzeda-
ży, wypisuję asygnaty. Ustalam,
gdzie będzie prowadzić się sadze-
nie i usiłuję znaleźć ludzi do tej
roboty. To największy problem.
Jeśli ich znajdę — wydaję instruk-
cje. Potem wyjazd do lasu. Spraw-
dzam stan sadzonek, wyznaczam
trzebienie. Muszę troszczyć się je-
szcze o stan gospodarki rolnej. 30
hektarów wydzierżawionych SKR-
-owi, zabiegać o karmę dla koni,
w zimie — zadbać o dokarmianie
zwierzyny. Do tego wszystkiego do-
chodzi administracja; każdą czyn-
ność opisać trzeba na kilku kart-
kach papieru, zliczyć, podsumować,
wyciągnąć średnią.

Kiedyś las był miejscem zatrud-
nienia dla wszystkich. Teraz leśnik
zabiega o ludzi, usiłuje zwabić ich
licznymi — formalnymi i niefor-
malnymi — przywilejami. Sprawa
rozbija się o brak budynków —
gdyby można było zaoferować lu-
dziom pracującym w lesie tzw. o-
sady, domy razem z kawalkiem po-
la, o robotników byłoby łatwiej.
Osad nie ma.

— Kiedyś to leśnik inaczej niż
w dwójkę koni nie śmiał zajechać
do miasta — wspomina Tadeusz
Biernat. — Teraz po prośbie cho-
dzi, o dniówkę w lesie uprasza...

Wszystkiemu winni „kurnika-
rze”. W okolicy rozpleniły się fer-
my drobiu, ich właściciele oferują
pracownikowi do 500 złotych
dziennie, do tego dochodzi obowią-
zkowa kura. Jak tu z takimi rów-
nać się leśnictwu? A kiedy „kur-
nikarze” zaangażują już tyłu, ilu
im potrzeba, pozostają jeszcze ko-
palnie, Śląsk...

W lesie brakuje ludzi. W Rogo-
wie powinno ich być co najmniej
20 — jeżeli liczyć stałych robotni-
ków. Pracuje podleśniczy, 2 gajo-
wych, 3 stałych robotników, z któ-
rych jeden odszedł już na emery-
turę. Plan wyrębu napięty, w za-
leżności od roku — 3 do 5 tys.
metrów sześciennych. Kto ma to
zrobić?

Warunki w ogóle — niezbyt za-
chęcające. Wilgoć, lasu dachem się
nie przykryje robota w deszcz,
śnieg, zimno i zawierucha. Nadleś-
niczy ma prawo przyznania nieod-
pracowanej dniówki w sytuacji, gdy
temperatura utrzymuje się czas
dłuższy poniżej minus 20 st. C, ta-
koż w warunkach „ciąglych intensy-
wnych opadów”. Co to dokład-
nie są „ciągly intensywne opady”
nie wie nikt, a gdy aurę tak właś-
nie się zakwalifikuje, każdorazowo
trzeba się tłumaczyć. Kto będzie
ryzykował?

W CINIU DRZEW

— Życie tu z pozoru spokojne,
choć od czterech lat nie miałem
urlopu. Praca w tzw. systemie nie-
normowanym, ale o każdej porze
każdego dnia mogę spodziewać się
telefonu — trzeba natychmiast zro-
bić to a to. Atrakcje? Jestem człon-
kiem koła łowieckiego, może tro-
chę łatwiej dostać pozwolenie na
odstrzał. Służbowe mieszkanie i sa-
mochód — i odpowiedzialność za
każde drzewo w leśnictwie. Las nie
ma ogrodzeń i bramy — każdy
wejdzie, naśmiec, zapali, a przepi-
sy są takie, że nawet za pożar leś-
niczy odpowiada. I musi też pro-
wadzić akcję przeciwogniową aż do
momentu przybycia straży. Ale cóż
— w lesie się urodziłem, to już
tu pewnie przyjdzie pozostać...

— Józef to marzy — mówi Gio-
vanna — żeby miał syna. No i żeby
ten syn też był leśnikiem...

PAWEŁ KWIATKOWSKI

SPRAWA jest niezwykle paradoksalna. Bez miedzi nie wyobrażamy sobie życia w towarzystwie dynamicznie rozwijającej się techniki i na pewno świat mógłby zużywać tego metalu dużo więcej. Z drugiej strony okazuje się, że wskutek wielu machinacji giełdowych cena na miedź jest tak niska, że ledwie pokrywa koszty produkcji...

Miedzy miedziowymi potentatami świata odbywają się nawet tajne rozmowy mające na celu ograniczenie produkcji i wydobycia. Ostatnio sensację wzbudziło porozumienie między UNCTAD i CIPEC (Zair, Zambia, Peru, Chile), zgodnie z którym ma nastąpić zmniejszenie produkcji o 15 procent. Prezes firmy ASARCO Ch. F. Barber oświadczył zaś na posiedzeniu klubu miedziowego w Nowym Jorku, że prywatny kapitał nie może podjąć nowych inwestycji bez podwojenia cen na miedź...

Tylko w składach giełdy londyńskiej zapasy miedzi wynoszą ponad 600 tysięcy ton. Ogólne zapasy światowe sięgają dwóch milionów ton. Nadwyżka produkcji w 1977 roku oceniona została na 3 miliony ton metalu. Stanowi to blisko połowę światowego zużycia.

Giełda. Dlaczego tak wpłynęła na powstanie światowego kryzysu? Otóż faktycznych sprzedaży, za którymi idzie dostarczenie odbiorcy czerwonego metalu, notuje się około 25 procent. Pozostałe układy nazywają specjaliści „giełdą giełdową” i stanowią one setki przeróżnych spekulacji, w których strony nie są zainteresowane faktycznie towarami. Bogacą się na tym niektórzy businessmeni niektórzy idą z przysłowiowymi torbami, ale naprawdę cierpi przemysł światowej miedzi, któremu w obecnym czasie giełda jest kulą u nogi. Produkować więc i sprzedawać miedź może ten, kto ją najtaniej produkuje.

Wzór — Cu. W skorupie ziemskiej jest go bardzo dużo — do 0,01 procenta. Jest piątym metalem pod względem wielkości zasobów. W 1937 r. światowa produkcja miedzi wynosiła około 2,5 miliona ton. W 1963 — 5,41 miliona ton, a zużycie sięgało 4,70 miliona ton. A więc już mieliśmy początek zjawiska „odkładania zapasów”.

Słynna komisja Paleya oceniła dostępne ludzkom zasoby na około 195 milionów ton. Komisja brała jednak pod uwagę Chile, Rodezję, Kongo, USA, Kanadę... Od 1952 roku (raport Paleya) minęło dwadzieścia sześć lat i każdy rok przynosił odkrycia potężnych bilansowych pokładów rudy. Przetłuszczała się tabela potentatów, narobiło się sporo zamieszania. Najdobitniejszym przykładem jest Polska. Przed powstaniem zagłębia miedziowego między Lubinem i Siemierzowicami zajmowaliśmy dwudzieste czwarte miejsce wśród producentów miedzi. Przesunęliśmy się na siódme. Jak wyglądała u nas produkcja przed dzisiejszą prosperityą... W 1950 roku — 13 tysięcy ton, w 1960 — 22 tysiące ton. W latach pięćdziesiątych Michał Hładaj — jeszcze wówczas magister — określił produkcję polskiej miedzi na rok 1980 na około 200 do 230 tysięcy ton. Ostatnie decyzje Rady Ministrów mówią o 500 tysiącach ton w roku 1983. Od kilku lat znajdujemy się w czołówce Europy i wielu na świecie ma do nas pretensje, że to właśnie my zdeorganizowaliśmy rynek. Wtargnęliśmy nań nagle i nieustannie powiększamy produkcję.

Nadzieję na lepsze jutro miedziowych cen wiązano z wygaśnięciem umów amerykańskich — 1 lipca 1977. Przewidywano strąk w największych kopalniach i masowe wykupywanie napasów. Ale miedziowi potentaci —

Newmont Mining i Kennecott — doszli błyskawicznie do porozumienia ze związkami zawojującimi. Górniczy utrzymali podwyżkę i machina znów pokreśliła się. W sierpniu było już po strachu. Ale koszty produkcji w USA wzrosły o 5 do 10 centów za funt, doszły koszty ochrony środowiska, koszty składowania towaru. Mimo tajnych deklaracji dotyczących spadku produkcji ilość czerwonego metalu nieustannie na rynku wzrasta. A przecież do tabeli trzeba dopisać nowe złoża w Iranie, Peru, Meksyku, Argentynie...

W stanie Arizona zamknięto kilka kopalń i hut. Ponad osiem tysięcy robotników zwolniono.

Może jednak nie ma o co giełdowych kopii kruszyć? Bo skoro miedzi jest na świecie za dużo... Zawala magazyny giełdowe...

Ponad dziesięć procent czerwonego metalu używa się na Zachodzie w budownictwie na różnego

sprzężona z układami ciągłej analizy nadawcy co dwadzieścia minut nanosi na papier zawartość miedzi, niklu, żelaza i sarki. Również i mienienie objęte jest analizatorami w układzie komputera. Informacje o wielkości cząstek pozwalają na odpowiednie sterowanie tym etapem rozdrabniania. Trzy komputery sterujące automatycznie zakładów przerobczych wpieją się do głównego, też komputerowego systemu centralnego kierowania całą produkcją...

Nasi prawie — sąsiedzi, Finowie, w firmie Outokumpu Oy eksploatują kilka kopalń o dość ubogich złożach i też w roku 1970 wprowadzili automatykę w zakładach przerobczych. Mimo niskiej zawartości metalu w rudzie stosując automatykę osiągnęli zadowalające wyniki ekonomiczne. Na cwał badają czujniki rentgenowskie. W celu ustalenia zużycia odczynników flotacyjnych użyto specjalnych mikroskopów metalograficznych. Oczywiście

tu inż. mgr. Henryka Haladawicza i jego współpracowników. Gęstość nadawcy mierzona jest z dokładnością do czterech setnych grama na centymetr sześcienny... Nie ma miejsca na dokładne opisywanie zastosowanych tu elementów automatyki. Ale fiński komputer sprowadzony przed laty do kablowni Couriera — analizatora ciągłego pomiaru zawartości miedzi — awansował na szefa sieci czujników i steruje kompleksowo procesami przerobczymi. „Rudna” jest chlubnym przykładem nowoczesnego rozwiązywania miedziowych problemów produkcyjnych, ale i inne zakłady odnoszą sukcesy. Zaledwie przed rokiem zespół inżynierów z LGOM otrzymał państwową nagrodę za wdrażanie techniki jądrowej w procesach wzbogacania rud miedzi.

Osobnym rozdziałem jest stosowanie „krzyków” światowej techniki w hucie Głogów II i w supernowoczesnej walcowni w Orsku.

W Głogowie nie stanowi pełnego sukcesu zaistnienie i uruchomienie pieca zawieszowego. My udoskonaliliśmy technikę pracy tego urządzenia. Inni użytkownicy produkują w tym piecu kamień miedziowy. My zaś wytapamy miedź czarną zbliżoną składem chemicznym do miedzi konwertorowej. Co nam ta nowa technika dała? Wyeliminowała potrzebę brykietowania wsadu, ograniczyła proces konwertorowania i zapewniła ciągłość wytopu przy hermetyzacji urządzeń, co ma zasadniczy wpływ na rytmiczną pracę fabryki kwasu siarkowego i ochronę środowiska.

Pisząc o nowoczesności przemysłu miedziowego należy wspomnieć o postępach w zakresie hydrometalurgii, a więc na podwórku, gdzie eliminuje się uczał we i drogę huty wytapiające z koncentratu miedzi.

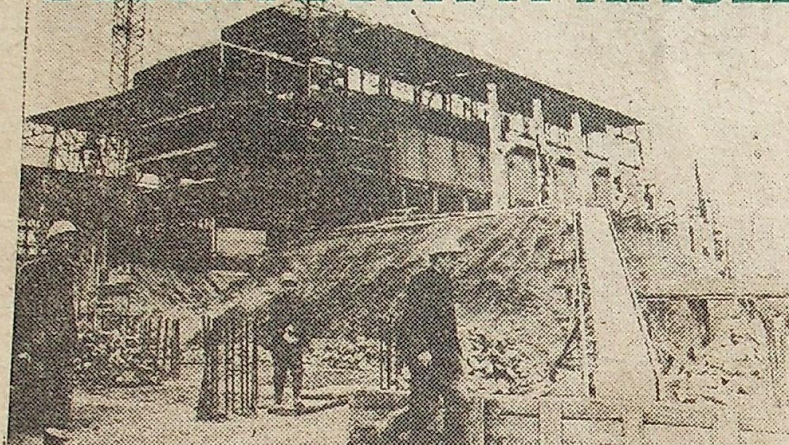
W czasie ubiegłorocznego międzynarodowego sympozjum producentów miedzi wiele światowych firm przedstawiło swe osiągnięcia z zakresu hydrometalurgii. Godną uwagi była metoda N. Arbitera z Anaconda Company. Polega ona na lutowaniu amoniakiem minerałów miedziowych i może być stosowana do rud ubogich. Anaconda w jednym z zakładów, metodą politechniczną produkuje około 20 ton dziennie czystej miedzi. Jednak proces przebiega w wysokości — 85 stopni temperaturze, co wymaga zużywania drogich paliw (krzysz!).

Znow wróćmy na nasze podwórko. Nasi naukowcy okazali się lepsi od amerykańskich. Politechnika Wrocławska opracowała metodę lutowania miedziowego koncentratu roztworem siarczanu żelazowego. W czasie procesu elektrolizy otrzymanego po lutowaniu medium następuje regeneracja odczynników. Proces przebiega w układzie zamkniętym; a więc eliminuje skażenie środowiska trującymi ściekami. W 1975 r. zakończono próby politeczne, w których wyniku otrzymano miedź o czystości 99,95 proc. Teraz pozostało tylko przy współpracy „Cuprum” wprowadzić metodę w produkcyjne życie.

WTAK niewielkim materiałem można było dokonać porównania miedzi „światowej” i naszej, jedynie na zasadzie zestawienia elekawostek. Temat jest szerszy. Nie mniej jednak z powyższych informacji da się wyciągnąć jeden wniosek: uczymy się miedzi od świata, ale i świat może już do nas po naukę przyjść...

ZBIGNIEW JANISZEWSKI

ŚWIATOWA A NASZA



Tak powstawał Zakład Wzbogacania Rudy w ZG „Rudna” — dziś chlubny przykład nowoczesnego rozwiązywania miedziowych problemów produkcyjnych. Fot. Krzysztof Raczkwiaik

rodzaju okucia i ozdoby, prawie tyle samo zużywa przemysł samochodowy, potem idzie transport morski, rolnictwo. Ogromne ilości siarczanu miedzi zużywa się na plantacjach winorośli do walki ze szkodnikami. Miedź jest też jednym ze składników nawozów mineralnych — jako tzw. mikroelement. O energetyce i elektronice nie ma potrzeby już wspominać.

Z naszą polską miedzią trafiłszy więc i źle, i dobrze. Złe — bo tania na rynku i przysparza mniej dewiz niż byśmy chcieli: dobrze — bo wyeliminowaliśmy jej import, a w dodatku przynosi nam kopalnictwo LGOM-owskie duże ilości srebra, poprawiając ogólny, niezbyt korzystny, bilans. Z innej znow strony patrząc, trafiliśmy z miedzią na nie notowany do tej pory w Polsce gwałtowny rozwój wielu dziedzin przemysłu, co spowodowało niedobór rąk do pracy i najwyższy czas myśleć poważnie o automatyzacji procesów wydobywczych i przerobczych. Zbyt wielu światłych przykładów na świecie nie mamy. Taką jaskółką zwiastującą nowe czasy w przemyśle rudnym jest może zakład Cralabella Mil w International Nickel Co. Of Canada. Powstał w 1971 roku. Współpracuje w jednym układzie komputerowym z dwoma innymi zakładami przerobczymi, a koncentrat pompowany jest miedzy nimi rurociągami. Odpada więc pracochłonny załadunek i przewóz kolowy wymagający utrzymywania specjalnego taboru i ludzi... W dyspozycji zarządzający produkcją obserwuje wszystkie punkty mielenia i flotacji przy pomocy telewizji użytkowej, a specjalna drukarka

i tutaj analizatory i czujniki przekazują informacje mózgom elektronicznym i mechanizmom sterującym procesami technologicznymi.

Podane wyżej przykłady nie mają nas zawyżać. Też mamy się czym pochwalić. Realizujemy ustalony przez wrocławskie „Cuprum” i katowicki „Bipromet” ambitny program automatyzacji hutnictwa przeróbki i procesów urabiania miedzi. Program obejmuje lata 1975—1990 i wymaga ogromnych nakładów pieniędzy, ale zwróca się one w kopalniach po trzech latach, a w zakładach przerobczych po sześciu. Jak e będą dodatkowe efekty? Wzrost wydobycia, zwiększenie przepustowości zakładów wzbogacania, możliwość przerobu ubogich rud, rewolucjonizowanie zarządzania i nieporównywalne warunki bezpieczeństwa i luksusu pracy.

Chlubnym początkiem całej sprawy było wprowadzenie do analizy nadawcy w zakładach przerobczych specjalnie przystosowanych betatronów. Potem zaś inżynierowie z ZG „Rudna” polecali do Finów, by nauczyc się mowy komputera PDP... Dzisiaj, po kilku latach, można śmiało porównywać obszar automatyki zainstalowanej w „Rudnej” z zakładami Outokumpu. Niepodzielnie rządzą tu automatyka i elektronika. Taśmny transporterów i ważne punkty transportu oczujnikowano izotopowymi aparatami. Regulacja nadawcy do młynów zajmują się wagi elektroniczne, a pomiar gęstości dzieje się za sprawą paten-

P

OZORNIE to czyste szaleństwo wierzyć, że można zeszcupleć dzięki uciskowi na określone miejsca ciała!

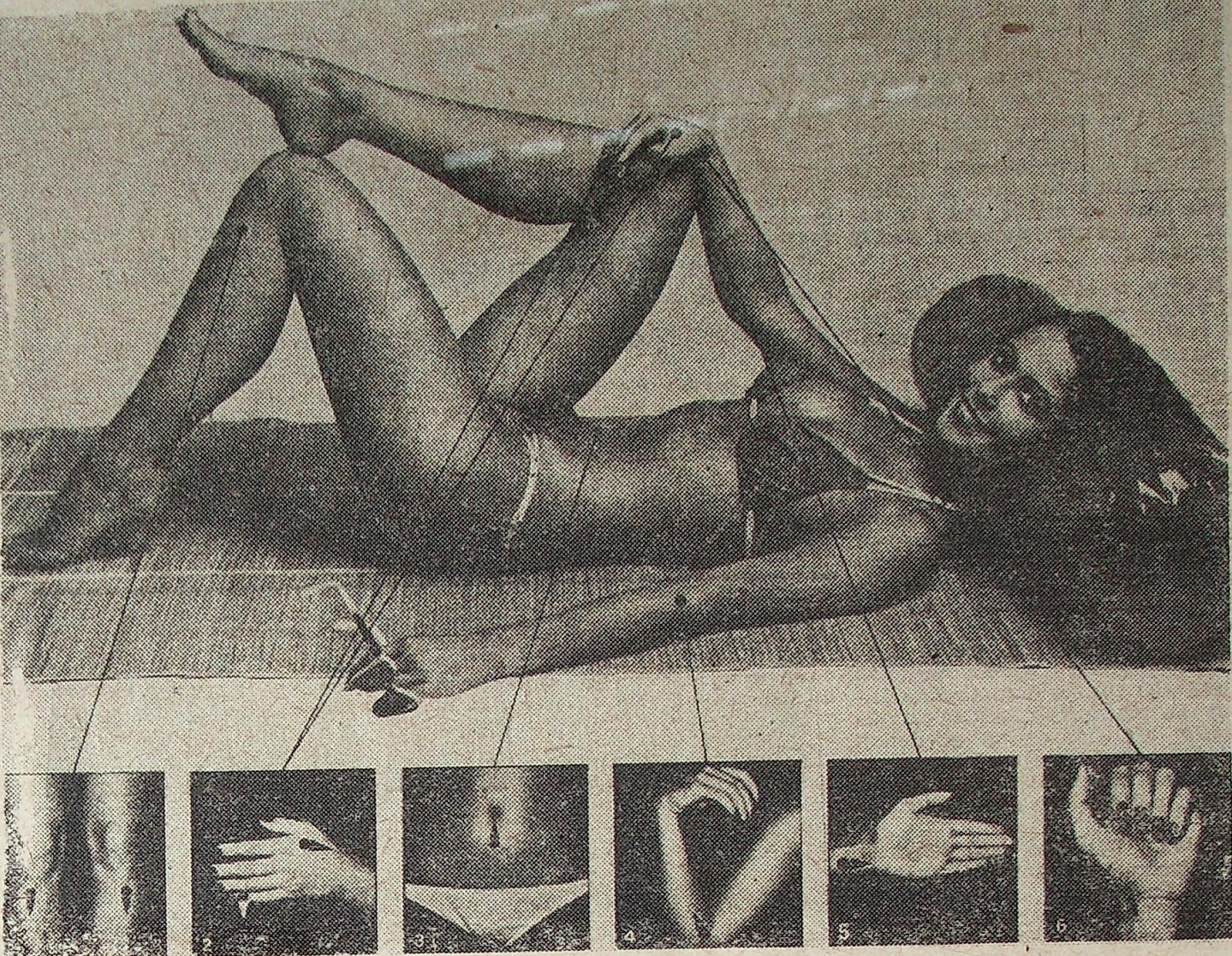
Ale to prawda — twierdzi dr med. Frank Bahr w książce „Schlank durch Akupressur” (Wysmukli przez akupresurę). Rewelacjami doktora, zawartymi w dziele, które wyszły niedawno w Monachium nakładem Mosaik-Verlag, zainteresowało się wiele ilustrowanych tygodników zachodnich, skąd i my część tych wiadomości czerpiemy.

Akupresura, czyli masaż określonych punktów na ciele człowieka, wydaje się mieć pewne analogie do akupunktury, która narodziła się przecież w krajach starożytnego Wschodu, a ostatnio przeżywa drugą młodość. Ustalono też ponad wszelką wątpliwość, że na ciele człowieka istnieje około 700 aktywnych punktów, które posiadają szczególne właściwości — niższy opór elektryczny, gęstsza sieć naczyń włoskowatych, spłot cienkich włókien nerwowych. Procesy wymiany zachodzą tam intensywniej i oddziałując na te punkty bardzo cienkimi igłami metalowymi lub impulsami elektrycznymi (refleksoterapia), można wywołać zmiany pewnych funkcji organizmu, przywracać je, znieczulać itp. Akupresura — miast igieł — stosuje ucisk i masaż.

Tym tokiem rozumowania idąc skłonni jesteśmy uwierzyć, że kiedy pomasujemy punkt położony między nosem a ustami, zablokuje się nasze „apetytowe” centrum, a po masażu punktu poniżej pępka system nerwowy żołądka „zapomni” zasygnalizować o uczuciu głodu. Jeżeli nasza nadwaga bierze się z wilczego apetytu albo z tego, że „kochamy jeść”, możemy się jej po pewnym czasie pozbyć. Stosując akupresurę.

Ludzie nabierają zbędnej wagi nie tylko z powodu czystego łakomstwa. Także z powodu stresów i depresji. Aby sobie te stany jakoś zrekompenzować, sięgają bowiem po jedzenie. Stres pobudza łaknienie! — I chociaż brzmi to nieprawdopodobnie, dzieje się tak w istocie. Predyspozycji takich nabyliśmy jeszcze w pieluchach. Niemowlę wrzeszczy. Może głodne, ale może domaga się zainteresowania, pieczyoty lub innego dowodu miłości. Czegokolwiek żąda, zawsze dostanie butelkę. Ciągnie z niej, przestaje płakać, wydaje się być zadowolone. I tak to zaczyna funkcjonować. Poirytowani, spięci, rozgoryczeni sięgamy po pralinę, ciasteczko, kanapkę lub kufel piwa — namiastkę spokoju, ładu, zadowolenia.

Bo czymże jest stres? Automatyczną reakcją naszego organizmu na zagrożenie lub inną sytuację, która nas niepokoi, wzburza lub denerwuje. To także odziedziczyliśmy po praprzodkach. Człowiek pierwotny tylko dlatego przeżył, że strach wywoływał u niego reakcję łakuchową, która pchała go błyskawicznie do walki lub ucieczki. Musiał mieć do niej dodatkowe siły i organizm mu ich dostarczał. Jeżeli dziś czujemy zagrożenie — coś nas przytłacza, dotyka lub krzywdzi — w organizmie odbywa się proces podobny. Ale tej dodatkowej energii nie zużywamy. Nie podejmujemy walki ani ucieczki. Nie wykorzystane rezerwy zostają i po organizmie krążą. Po awanturze w pracy, w środowisku lub w domu nie rzucimy przecież nagle wszystkiego, najczęściej na-



AKUPRESURA — TO JEST TO?

wet nie mamy szans, aby „siąść do pociągu byle jakiego”. Czasem by się przydało, ale to nierealne. I tak stresami nekani, zaczynamy reagować inaczej. Wielu sięga po jedzenie. A spróbujmy kuracji akupresurowej, stosujemy masaż. Na przykład:

Aby uspokoić serce i odzyskać psychiczną równowagę, przeżyty wyczerpanie i przemęczenie szukamy na rękach punktów zwanych przez mędrców Wschodu Shao-Chong (kolo małego palca) i Ho-Ku (między palcem wskazującym a kciukiem). Na zdj. nr 2 są one uwidocznione. Masujemy je zgodnie z kierunkiem strzałki. Punkt pierwszy na zewnątrz, punkt drugi w kierunku łokcia. Aby nie dopuścić do stanu słabości, uodpornić się na przeciwności, szukamy miejsca Lieh-Chu, zaznaczonego na zdj. nr 6. Tam zwykle lekarz bada nasz puls. Masujemy w kierunku kciuka. Jeżeli ze zdenérowania po prostu nie wiemy, co dalej robić, sięgniemy do punktów Tsu-San-Li (zdj. nr 1). Masując je zgodnie z kierunkiem strzałki, odzyskamy stopniowo spokój i równowagę. Dr Bahr zaleca także masowanie punktów widocznych na zdjęciach z numerami 3, 4 i 5. Zaznaczone miejsca masujemy niezbyt silnie, trzy razy dziennie (rano, w południe i wieczór), po 10 sekund każde. Będzie to ok. 30 ruchów na jeden punkt. Kiedy organizm przywyknie do bodźców przekazywanych mu przez akupresurę, wystarczy jeden lub dwa masażu dziennie. Ale przestrzega się przed utratą cierpliwości, jeżeli dobroczynnych skutków nie zaobserwujemy z dnia na dzień. Po wytrwałych masażach pierwszych rezultatów spodziewać się można po tygodniu. Każdy taki antystresowy zabieg poprzedzić trzeba też masażem punktu „anty-

apetytowego”, między nosem a ustami.

Jakie to wszystko proste! Wydaje się, że graniczy z cudem lub szamaństwem. Jednak ów „cud” jest powtarzalny, bo działanie akupresury zostało wielokrotnie sprawdzone. Powtórzmy więc przyuczyny, które niejednokrotnie składają do jedzenia więcej niż organizm może spożytkować.

1. Nadmierne łaknienie. Praczołwiek, żyjący w ciągłym zagrożeniu miał system nerwowy podporządkowany zasadzie: Jedz ile zmieścisz, w razie konieczności będziesz miał z czego czerpać. Mechanizm sterujący mamy podobny.

2. Napięte końce włókien nerwowych żołądka, przekazują częściej niż to w istocie konieczne, sygnał: żołądek pusty, odczuwam głód!

3. Sytuacje stresowe wywołują fałszywe zapotrzebowanie na dodatkową energię. Niekontrolowane jedzenie daje wówczas ów spokój i zadowolenie zastępcze.

Jest jeszcze przyczyna czwarta. Wcale nierzadko stanowi ona o nadmiernej chęci do jedzenia. Są to depresje. We współczesnym świecie cierpi na nie znacznie więcej osób niż kiedykolwiek. Lekarze obliczają, że co najmniej 30 proc. wszystkich chorób ma związek lub prąródła w tym właśnie stanie. Przygnębienie, zły nastrój lub kiepskie samopoczucie nie spada na człowieka nagle, jak katar. Stan depresyjny narasta powoli, niezauważalnie, czasami kryje się pod całkiem innymi symptomami. Przychodzi i odchodzi, nie robimy

z tego problemu, a nie uświadomione łasowanie instynktownie zaspokaja naszą potrzebę samozadowolenia.

Depresje bywają dwojakie: wewnętrzne ustrojowe, tzw. endogenne (tych akupresura raczej nie przezwyciężymy) oraz znacznie częstsze depresje nabyte, tzw. egzogenne. Te mnożą się zwłaszcza wśród ludzi, którzy ciągle się spieszą, stale nadrabiają jakieś zaległości, nie mogą podolać rosnącym obowiązkom, zaniedbują higienę życia codziennego. Medycyna próbuje pomóc różnymi środkami farmakologicznymi. Są to istotnie skuteczne leki, ale także o działaniach ubocznych, chociażby w postaci nawyku czy nałogu. — Odstawcie te leki, zastosujcie akupresurę — tego nikt nam nie powie. Ale ze swoim lekarzem porozmawiajcie o tym. Może także będzie zdania, że polykanie pastylek można ograniczyć i wesprzeć się masażami. 10 sekund dla jednego punktu. Tyle dla swego zdrowia może zrobić każdy.

A

KUPRESURA nie zastąpi diety. Jeżeli chcemy pozbyć się zbędnych kilogramów, musimy przede wszystkim ograniczyć kalorie.

Dzięki masażom przestaniemy z tego powodu cierpieć. Nie będziemy tak dotkliwie odczuwać głodu. Raz stracone kilogramy po roku nam znów nie narosną. Systematycznymi masażami opanujemy bowiem pośrednie przyczyny otyłości: łakomstwo, stresy, depresje. W konsekwencji dodamy radości naszemu życiu. Próbujemy?

S

TATYSTYKI szwajcarskie — a można im wierzyć — szokują wymową tragicznych liczb...

Co roku na świecie umiera ponad sześćdziesiąt tysięcy ludzi poparzonych chemikaliami, wrzącą wodą, parą, olejem, prądem. W Polsce ponad pięćset — w tym połowa to dzieci!

Oparzenie trzeciego stopnia to takie, po którym skóra staje się martwa. Nie zabezpiecza naszego organizmu przed ubytkiem cieczy fizjologicznych przed infekcją, nie reguluje ciepłoty ciała. Oparzenie obejmujące trzydzieści procent powierzchni ciała kończyło się do tej pory śmiercią. W ciągu doby człowiek traci 10 procent wagi ciała, drogą pozanerkową wypływa ponad cztery litry wody, wskutek odparowania cieczy następuje ubytek 10 000 kalorii ciepła... To bilans trzydziestoprocentowego oparzenia. Zdarzają się szczęśliwe przypadki uratowania życia człowiekowi poparzonemu na 80 procentach powierzchni ciała. Dzisiejsza medycyna coraz skuteczniej broni nas przed skutkami naszej nieostrożności, przed brutalnym zetknięciem postępu technicznego z wrażliwym na chemię, temperaturę i prąd życiem...

Buzia półtorarocznego Piotrusia krzywi się w grymasie strachu. — Pewnie znów będzie bardzo bolało — ale doktor Władysław Orzeł delikatnie rozpinając guziki bluzeczki. — Nie bój się Piotrusiu, nie będziemy nawet dotykać, pokaż brzuch, panowie zobacz jak się goi... Chłopczyk nie płacze, ale patrzy uważnie, napięty, gotowy w każdej chwili krzyknąć. — Nie bój się mały, o widzisz wszystko się pięknie zrasza... Niedługo będziesz zdrowy, zanim dorośniesz, zapomnisz, że kiedyś poparzyli cię dorośli...

Na małego Piotrusia dziadek wylał wrzącą kawę. Cała klatka piersiowa od szyi aż do pępka stanowi jedną wielką ranę. To już była walka ze śmiercią — przecież dziecko ma zaledwie kilkanaście miesięcy... Teraz bawi się już z innymi maluchami w szpitalu. Ranę pokrywają już dobrze przyrośnięte łaty skóry przeszczepionej z uda...

— Gdy kończyłem w 1955 roku akademię medyczną umiejętności i możliwości lekarzy były nieporównywalnie mniejsze — mówi doktor Orzeł — czytam sobie czasem stare akademickie podręczniki, porównuję z najaktualniejszymi opracowaniami i uświadamiam sobie ogrom postępu... Kiedyś operacje plastyczne ratowały urodę starzejących się bogatych pań, dzisiaj ratują życie tysiącom ludzi... My, lekarze musimy bez przerwy uczyć się.

Pierwsze narzędzie do zdejmowania zdrowej skóry potrzebnej na pokrycie krwawiących ran Władysław Orzeł zrobił sam. Tak jak wielu innych plastyków w białych fartuchach. Zresztą skórę można też pobierać zwykłą żyłką. Przepis powiada: przeszczep jest wystarczająco cienki, gdy przez skórę widoczne są napisy przesuwające się pod nią żyłki. Miejsca, z których pobrano przeszczepy goją się szybko i bez komplikacji.

— Pierwszym zadaniem chirurga jest sklasyfikowanie oparzenia — tłumaczy Władysław Orzeł — jak głęboko ciało jest martwe. Robimy więc serię nacięć. Aż do dna martwicy. Potem nieżywą skórę, zupełnie białe płyty, trzeba usunąć aż do ziarniny, do krwawej rany — krwawej ale pulsującej. Najlepszym narzędziem jest druciana szczotka. Nie, to nie jest makabra,

to konieczność. Nie może pozostać w ranie stare, zepsute. Groziłoby infekcją. Teraz kładziemy płyty wcześniej przygotowanej skóry. Po prostu kładziemy. W ciągu czterdziestu ośmiu godzin powinna się przyjąć. Rany nie pokrywa się dokładnie, co do milimetra. Między przeszczepami pozostają szerokie na centymetr odstępy. Bo skąd wziąć naraz tyle skóry? Zresztą te pozostałości zarosną same. Przy większych oparzeniach, obejmujących duże płaszczyzny ciała przeszczepów dokonujemy na raty. Co kilka dni. Jednorazowa nekroektomia (usunięcie martwicy) na dużej

życia organizacyjnego zapisały się w pamięci groteskowo. W 1948 roku nauczyciel geografii i biologii zakładał w szkole ZWM. Orzeł należał do „Wici”, więc miał chwilowe kłopoty z geografiami... Ale nie była to walka polityczna. Dzisiaj ocenia to jako humor starego czasu...

Dzisiaj jest inne — pełne ratowania ludziom życia. O osiemnastej czekamy w hallu szpitala na Murskiej.

— Pan ordynator zaraz przyjdzie — mówi portier — ma jeszcze dzisiaj operację. Rano wyjeżdża. On od rana dzisiaj pracował, teraz,

W sali kilkanaście maluchów. Wszystkie już po operacjach. Zagojone nóżki, plecy, brzuszki. Wszystkie w łóżkach.

— A gdy zabraknie skóry; — pytam doktora — to...

— Najważniejsze, aby na razie pokryć ubytki. Może to być skóra obca. Po miesiącu organizm ją odrzuci, ale część rany zagoi się. Na świecie przeszczepia się nawet na pewien czas skórę z żaby, a nawet ze świni... Wszystko, by ratować życie. Jeden pas przeszczepu własnego z uda, drugi pas z żaby. Ta żabia odpadnie, ale tymczasem własna przyrośnie...

— Używa pan jeszcze żyłek do pobierania przeszczepów?

— Już od dawna nie. Mamy znakomity elektryczny dermatom...

Przerwywamy rozmowę. Na sali operacyjnej czeka pacjent. Mycie rąk. Całe piętnaście minut. Dwoma twardymi szczoteczkami. („Myję tak od dwudziestu trzech lat i nie mam egzem”). Pewna dłoń chwyciła pewnie skalpel. Za ostrzem znaczy się czerwona linia... Operacja udawała się. Ta linia znaczyła życie!

Oglądamy slajdy. Same dzieci. Poparzenia znaczone krwawymi ranami obejmującymi około trzydziestu procent ciała. Potem slajdy z przeszczepów i slajdy z ozdrowieńcami. Specjalna wanna skonstruowana w tym szpitalu, służąca do kąpienia poparzonych. Zanurza ich w wodzie specjalny wózek opuszczany na linkach. Kąpią się codziennie. Sami nie potrafiliby...

Odrobina statystyki. Od roku 1972 leczono w szpitalu doktora Orza 492 dzieci i 271 dorosłych. Z tego blisko stu pięćdziesięciu osobom przeszczepiono skórę... Trafiały się też przypadki uznane za beznadziejne. Takie obejmujące 80 procent powierzchni ciała...

Fot. Waldemar Sikorski

LINIA ŻYCIA

powierzchni wymaga dostarczenia podczas operacji ogromnych ilości krwi. Kiedyś wykonaliśmy taki zabieg na jeden raz. Kosztował ponad dziewięćset tysięcy złotych fizjologicznych w ciągu doby... Taką chorobę kosztuje szpital około 330 tysięcy złotych.

Władysław Orzeł operuje w Legnicy od 23 lat. Zapytany ile operacji wykonuje rocznie powiedział, że może tysiąc... Oczywiście z zespołem, który sobie wychował.

Na akademii medycznej lekarzowanie nie zaczynało się wcale od podglądania operacji, od wielkich marzeń o wielkich sukcesach. Delikatne ręce przyszłych lekarzy na pierwszym i drugim roku studiów były potrzebne zburzonemu wojną miastu. W każdą niedzielę zamiast zeszytów, książek — łopaty, uchwyty tacek... Znikały gruzowiska odsłaniając gołe place. Orzeł odgruzowywał plac Grunwaldzki — tam gdzie dzisiaj stoją akademiki, politechnika — Krzyki w rejonie Sudeckiej... Takie to były czasy. A i kuć trzeba było. Mimo kłopotów ze zdrowiem. Anatopatologię zdawał z termometrem pod pachą... Na wspomnienia trudno doktora wyciągnąć.

— Trudne to było — mówi — ale też i pełne zapалу, pełne wiary w to nowe budowane własnymi rękami. W marcu 1945 roku należał do „Wici” potem było ZMW, potem ZMP, a od 1954 roku PZPR. Zawsze było dużo pracy, tej społecznej też... Niektóre fragmenty

może przed godziną poszedł na obiad...

Nie tylko my czekamy. Co chwile ludzie z wiązankami kwiatów pytają o ordynatora.

— Czy doktor Orzeł ma dzisiaj imieniny? — pytam portiera.

— Nie, to tak zawsze do niego...

ORDYNATOR oddziału chirurgicznego „B”. Władysław Orzeł wraz z zespołem współpracowników (Teresa Pilch, Zbigniew Malinowski, Franciszek Kupiec, Jerzy Monsiol, Bernard Macner, Franciszek Fronczak) jest specjalistą nie tylko od operacji plastycznych...

Jego specjalność sięga od przeszczepów skóry po skomplikowane urazy mózgu.

Pracowicie dwadzieścia trzy lata... Ilu to pacjentów... ile zabiegów, nieprzespanych nocy. I nie chodzi tu o ludzką wdzięczność. Nie chodzi o te wiązanki kwiatów... To na pewno jest powołanie!

ZBIGNIEW JANISZEWSKI



PROBY LITERACKIE

MARIOLA LEWICKA SZCZEPAŃSKA

Kamienne domy w miastach
kamienne mają serca
ich wnętrzu zamiast duszy
kamiennych schodów moc.
Krwiobieg żywych istnień
w kamiennych płynie kłatkach,
w komórkach betonowych
człowieczy śni się los —

- że słońce jest jak lampa
co nigdy nie zagasa.
- że smukły las sosnowy
jest jak kominów zbiór.
- że rzek srebrzystych wstążki
to w hutach biała stal.
- że kwiaty kolorowe
to jak plakatów album.
- że koń galopem mknący
to ten co w ZOO był.
- że ziemia pachnie chlebem
tym z pól Super-Samu.
- że, gdzieś powietrze świeże
jak tutaj z butli tlen.

Kamienne domy w miastach
kamienne mają serca
kamienni słabi ludzie
tak jutro będą śnić.

GRZEGORZ MISIEJA

KRZYK

Oleńce P.

Wzdłuż kamienic
z pustym już sercem
przechodzę.
Przechodzę sam.
Umierają powoli okna ulic
pragnieniem takim przejęte
jak usta wędrowca bez
końca
nabrzmięte
spierzchnięte.
Przechodzę sam
a czarne myśli jak ptaki
czarne
otaczają mój sen
rzeczywisty
I brzmią mi słowa twoje
w ciszy krzykiem rozdartej
to niemożliwe
to niemożliwe.

ANDREAS KARAJORGIS

* * *

budowałaś gniazdo
w którym chciałaś
być matką
kiedy skończyłaś
okazało się:
gniazdo dla jednej
osoby
już nie starczyło miejsca
dla otulenia kogoś
budowałaś łódź
na której chciałaś
wplynieć w życie
chwilami
pozwalałaś by czas
pochłaniał skrawki
twojej rzeczywistości
tymczasem łódź
gniła u brzegu
cała reszta
była łataniami dziur

ELŻBIETA MAKOWSKA

W JEDNEJ CHWILI

Nie zliczę ile w jednej
chwili
ucieknę sekund bezpow-
rotnie
ile marzeń rozpiłynie się
w powietrzu
ile wspomnień zatrze czas
ile myśli
słów zostanie
niewypowiedzianych
na korzyść
przyszłości

JANUSZ KAMINSKI

TRZEBA

Trzeba latami chodzić
Po pnażach dzikiego wina

I pukać do drzwi otwar-
tych
Trzeba po drogach z desz-
czu
Błąkać się, z chmurami
witać

Trzeba zawiązać światło
w książkach
I sercu powiedzieć o zni-
komości
Niekończących się prób.



Pociąg odjechał. Ostatnie świa-
tła zniknęły za zakrętem. Stałem
jeszcze chwilę, jakby zdziwiony
surowością praw natury; pociąg
był — pociągu nie ma. Zszedłem po
schodach w ciepły półmrok tune-
lu. Przez szyby ruchomych drzwi
spojrzałem kilka osób stojących
bezzadnie obok kasy. Spóźnili się
Wciąż szumił mi stukot odjeżd-
żającego pociągu. Przy bileterce
ściągnąłem kapelusz. Pojechali. Ja-
kiś facet w zielonym pilśniaku z
piórkiem i kawalkiem kartki w ręk-
ku, stał przed rozkładem jazdy.
Pewno notował godziny odjazdu,
albo przyjazdu pociągów. Mimo
woli rzuciłem przez zęby: „idiota”.
Spojrzałem uważniej na posiadacza
owego dziwnego kapelusza. Poza
nabożnym skupieniem, niczego nie
mogłem doszukać się w jego twa-
rzy. Pomyślałem wtedy: „Typowa
beznamiętna i znudzona twarz po-
dróżnego”. I zaraz skojarzyło mi
się z tym pytanie: „Po co właści-
wie ludzie odjeżdżają?”. Lecz jak-
by w odpowiedzi, uzmysłowiłem so-
bie, że ów osobnik, ów właściciel
pilśniowego zielonego kapelusza,
może notuje czas przyjazdu jakie-
goś pociągu, może ktoś bliski przy-
jedzie do niego. Chwilę cieszyłem
się odkryciem, że jednak pociąg
nie są zupełnie niepotrzebne.
„Idiota!” Tym razem ten niemły
evitet rzuciłem pod własnym adre-
sem. „Wszak, aby przyjechać tu,
niezależnie zresztą, trzeba skądś
wyjechać”. Przecież to oczywiste.

Doszedłem więc do wniosku, że
jednak pociągi są zbyt liczne, za-
pełniając niepotrzebnie, są przeży-
ciem, a raczej złem. Takie wytuma-
czenie miało dobre strony. Posia-
dało zbyt wiele zalet, a przede
wszystkim było wygodne.

Na dworze wiatr pracował cią-
gle niezmęczony. Tańczące liście
furgotały, przypominając o jesieni.
Nawet w tym szumie i wyciu wich-
ru było coś, co przypominało po-
ciąg. Pociąg odjechał dwie minuty
temu, a wydawało mi się ciągle,
że odejdzie dopiero za chwilę. Do-
kładnie za pięć minut i cztery se-
kundy. Nie wiedziałem dlaczego!

GRZEGORZ MISIEJA

POCIĄG

Wiatr z rozmachem wałnął mnie
w twarz poślótkim liściem. Moc-
niej nacisnąłem kapelusz i przy-
spieszyłem kroku.

Ulicami szedłem machinalnie.
Zanim zorientowałem się gdzie je-
stem, u wylotu ostatniej ulicy za-
rysował się w ciemnym świetle la-
zek ten POCIĄG. Odjeżdżał. I
letargu obudził mnie dobiegający
szum z rynsztoku. Splunąłem, li,
aby odjechać? Idiotyczny za-
miar. Odjeżdżał — idioci!...

bym spostrzegł, że uprzednio zwol-
niłem. Po kilku krokach znowu za-
szumił rynsztok, choć w pobliżu
nie było żadnego rynsztoku. Splu-
nąłem ze złością i dostałem w
twarz polą płaszcza porwaną przez
wiatr. „Ale wyje”, przemknęło mi
przez myśl i zaraz pomyślałem o
nich tam w pociągu: „Dobrze im
ciepło, i nie odczuwają wiatru”.
Jakiś osobnik darł głowę na cały
głos. Spojrzałem na jego twarz z
politowaniem. Sprawiał wrażenie
zadowolonego. Uśmiechnąłem się.
Wydierający się facet, chwiejnym
krokiem posuwał się wzdłuż kra-
węznika. Raz spadł na jezdnię, a
raz zataczał się na środek trotuaru.
Znowu przypomniał mi się pociąg.
Potem — głupie pięć minut i czte-
ry sekundy. Zastanowiłem się, skąd
to skojarzenie.

Do domu pozostał mi jeszcze
kwadrans drogi. Idąc rozmyślałem
nad tym dziwnym zestawieniem
czasu. Niekiedy zaszumił mi po-
ciąg, wtedy splunąłem ze złością
i rzuciłem przekleństwo. A kiedy
byłem już w domu, uwagę moją
zwróciły porozrzucane karty. Za-
cząłem stawiać pasjansa. Trzy ra-
zy nie wyszedł. I wtedy pomyśla-
łem: „Pociąg odjechał”, potem:
„Oni odjeżdżali”. Idiotyczny wynar-
sował się w ciemnym świetle la-
zek ten POCIĄG. Odjeżdżał. I
letargu obudził mnie dobiegający
szum z rynsztoku. Splunąłem, li,
aby odjechać? Idiotyczny za-
miar. Odjeżdżał — idioci!...

MARIA FEDORCZAK

MILCZĄCA PIEŚŃ

W moim domu
— inna pieśń
gra...
Lampa — mrok rozjaśnia.
Przemierzam kilometry.
Zgiełk i pył;
— pióropusza blask
w oddali...
Uśpiony kilof
decybeli rytm!
Skalny próg
— marzenie słońca.
Świata stronice
— w cieniu
skalnych drzew.
Oddechy serc
mierzą czas.
W moim domu;
inna pieśń
gra...

Kolumnę

redaguje:

RYSZARD ADAMÓW

N

IKT nie wierzył w te bzdury, a mimo to wokół stolika panowała napięta cisza przeżywana uroczystym sapaniem staruchy...

— Czarny kocie, kimkolwiek byłeś w poprzednim życiu, zaklinam cię damą pik...

Suche dłonie rozpostarły się nad kotem niby dwa błoniaste skrzydła nietoperza. Świeca niemiłosiernie kopciła, nozdrza drażniła zapach palonej szmaty i stearyny. Wyblakłe oczy zdawały się przyswajać zwierzę do stołu. Stara całą resztę sił przełaziła przez pokryte pościelą skórą ramiona w ręce, w końce palców. Tylko one wibrowały w opętanczym tańcu, jakby uruchamiane nerwowym sapaniem i drżeniem wąziutkich wyblakłych warg.

— Zaklinam cię północną godziną...

Ubrana była zwyczajnie, ot, jak stara kobieta. Bardzo stara. Chusta welniana przykrywała wymykające się rzadkie siwe włosy. Czarna sukienka, nawet nie uprasowana porządnie. Jakby zamiast naszyjnika powiesiła na czarnej nitce podziurawioną agraftką karcianą damę pik. Normalnie nie zrobiłaby na nikim wrażenia. Ale świece, półmrok, kot siedzący na środku stołu w popękanej drewnianej misce i te ręce, ręce...

Jan spojrzał po twarzach. Znieruchomiałe oczy utkwiły w ręce. — Kupiła już ich — pomyślał — a ciekawe skąd ją wzięli... Zresztą pomyśl niczego sobie. Lepsze to, niż oklepane lanie wosku. Kto ja wymyślił? Andrzej? Nelka? Nie przejął się, nie potrafiłby nawet powiedzieć czy go ta cała zabawa w czarownicę bawiła... Siedział, bo to inaczej, niż przy kieliszku w drętym lub rozbawionym towarzystwie.

— Śmieszna heca — wyrwało mu się głośnym szeptem, ale nikt go nie usłyszał.

— Do kogo podbiegniesz — sapała czarownica — temu wróżba spełni się jeszcze w tym roku, w najbliższą wigilię...

Kot, pewnie nauczony tysiącem podobnych zabaw, powoli podniósł się i świecąc złotymi źrenicami rozglądał się jak istota rozumna. Jakby upatrywał ofiary. Potem wlepił spojrzenie w Jana i powoli ruszył w jego stronę. Jan przeknął ślinę, zrobiło mu się dziwnie nieswojo. Nie, nie wierzył w to wszystko, ale...

— E, cholera jakies tam zabobony! — wykrzyknął chcąc przepłoszyć zwierzątko. — Głupia zabawa!

Kot zatrzymał się w pół drogi, potem dał susa ze stołu prosto na ramię Jana, a stamtąd na podłogę...

— Taaka frajda... Wszystko zepsułeś. Wiadomo, że to kawał, ale mogłeś jeszcze chwilę wytrzymać!

— Normalny idiota! On się przestraszył!

— Tchórz!

— Za dużo wypił!

Janowi było głupio. Próbowal coś na usprawiedliwienie wybałać, ale mu nie wychodziło. Powtarzał tylko, że nie wie dlaczego, że wcale go to nie przejęło, że tysiące kotów może po nim lazić i to go nie będzie obchodziło...

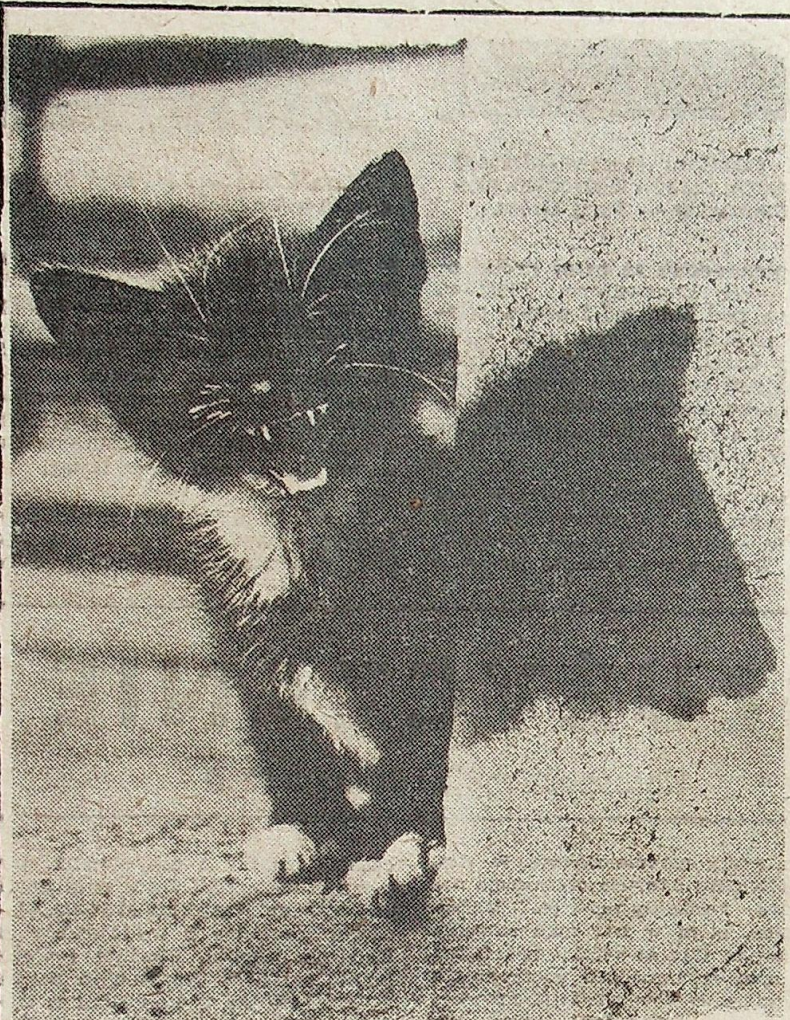
Ktoś zapalił światło. Starucha siedziała nieruchomo, jakby zadumana. Znowu była NIKIM. Po prostu starą kobietą. Towarzystwo przestało ją zauważać. Zawył adapter. Z butelek ubywało wódki. Między stołem a oknami, nie czując już rytmu muzyki, snuły się w jakimś półśennym pląsie przytulone pary. Nike nie wiedział, kiedy zniknęła stara ze swoim ko-

tem. Od czasu do czasu ktoś przypinał się do Jana: — Aleś kolego zadzierał... Jak jaki smarkacz z seminarium!

Potem zapomnieli już całkiem w nawale belkotu o sprawach jak zwykle najważniejszych.

☆

Jan poznał ją z daleka. Siedziała na ławce i gładziła śpiącego na kolanach kota. Spod zielonego wytartego płaszcza zwisała czarna



CZARNY KOT

sukienka. Właściwie to materiał był już szary. Spłowił jak i jego właścicielka.

Głupio byłoby tak przejść bez słowa. Mogłoby udać, że jej nie widzi, ale ona zauważyła go i trzymiała bladymi oczami jak na uwięzi.

— Dzień dobry, babciu! — powiedział i mimowolnie zatrzymał się. Nawet podszedł do ławki i usiadł. Kobieta przestawiła dzielącą ich ogromną torbę i przysunęła się bliżej.

— A to ty, synu... mówiła tym samym sapaniem, jak na Andrzejkach. Musi cię coś męczyć, że boisz się wróżby. Taki, co mu wszystko bez kłopotów, to by się nie bał... Pewnie na ulicy też kroki liczysz: tak — nie, tak — nie, tak — nie...

— Ja babciu nie wierzę w żadne gusła. Sam nie wiem dlaczego popsulem wtedy zabawę...

— Oj kiedyś i ja taka byłam. Niczego się nie bałam, myślałam, że wszystko jest do dotknięcia, sprawdzenia... Ale teraz jestem sama od wielu lat. Rozmawiam tylko z kotem i z sobą. Czasami w sklepie, ale tylko tyle, ile trzeba. Wymyśliłam przez te lata samotności tyle... Ale ci nie powiem, bo byś się śmiał!

— A jak to było z tym wróżeniem — zapytał Jan.

— To miał być prezent dla jakiegoś Andrzeja. Przyszła taka zwariowana dziewczyna, chyba Jolka jej było, i namówiła mnie, żebym poszła. Dala sto złotych... Do ciebie nie mam synu pretensji. Ale to było wspaniale...

— Co było wspaniałe?

— Byłam taka bardzo ważna, najważniejsza! Wszyscy słuchali, co

— No, że ludzie po śmierci zamieniają się w różne zwierzęta...

— Kiedyś nie wierzyłam, ale teraz, kiedy zostało mi tak niewiele dni... Nie mogę uwierzyć, że nie zostanie z mojego myślenia, że nie będę przychodzić tu, na ławkę... Mój stary był bardzo spokojny za życia... Tak jak ten kot.

Jan chciał już iść, ale zastanawiał się, jak by starej sprawić trochę przyjemności. Wymyślił wreszcie, że zaprosi ją do domu na wigilię. Będzie musiał tylko przekonać matkę...

— Babciu, zapraszam was do mnie, do domu na święta... Mało nas, tylko moi rodzice i ja... rodzice się ucieszą.

Stara ucieszyła się: — Naprawdę? Ja obok mieszkam — krzywym paluchem pokazała stary dom, tuż przed parkiem. Zapytasz stróża. On ci pokaże moje drzwi...

☆

Szedł do domu i myślał o starej. — W końcu i mnie lat przybędzie. Kiedyś będę liczył dni i zastanawiał się, jak to jest, gdy człowiek nie może poruszać już nawet powieką. Gdy nie obchodzi go sprawy najważniejsze z najważniejszych. I najkłopotliwsze z najkłopotliwszych. Ale przecież czegoś tam żal. Taki mały margines trwania chciałby człowiek sobie zarezerwować i wymyśla drugie życie. Kto żył jak świnia, będzie świnia, kto jak osioł... Stara pewnie chce być kotem.

Chociaż z tą reinkarnacją... Dracula za życia wieszał i wbijał na pal tysiące ludzi i istnieje w filmach jako upiór. Ale tylko w filmach... W grobie nie znaleziono szczątków ciała... Eeee, bajdurzy mi się w tej głowie. Człowiek po prostu umiera, a zostają kłopoty i rzucają się na nową ofiarę... Długi, kariery, upadki, miłości, rozwody, pożegnania...

Rodziców przekonał. — Zaproś kogo chcesz — mówiła matka — człowiek też kiedyś będzie stary i nie wie, co go spotka... Jedzenia nie zabraknie, a miejsca dość... Podszedł potem, jak ojciec w kuchni szeptając matce: — Nie zauważyłaś, że Jaś jakiś dziwny ostatnio? Zamysłony... Myślałem, że się zakochał, a tu jakaś stara...

☆

W wigilię Jan poszedł do starego domu przy parku. W korytarzu kot chleptał z miski mleko.

— To się pan spóźnił — powiedział stróż — babka już pewnie przy mezu — pokazał palcem w górę. Tak, w górę; a nie na kota pijącego mleko. Pewnie nie wiedział. — Tak, to było wczoraj. Na pogrzebie nie było nikogo. Tylko ja i grabarze. Ot, sam człowiek żył to i sam umarł.

Jan wrócił do domu. Zabrał się do czytania. Wziął z biblioteczki, co było pod ręką. Potem zasnął. Na kolację zbudziła go matka. Palily się już świece na choince, z wazy parował barszcz, na półmisku kusily małe pierożki z grzybów. Nagle do drzwi delikatnie ktoś zapukał. Bardzo delikatnie. Jan myślał nawet, że zdawało mu się: Ale pukanie nie ustało.

KTO by to mógł być? — matka pytając patrzyła raz na ojca, raz na Jana. Jan poszedł do drzwi i powoli otworzył. W progu stały dwa czarne, puszyste koty. Jednego znał...

JAN ZBIGNIEW

— Wierzyście babciu w reinkarnację? — zapytał.

— W co?

PRAWDE mówiąc, nikt dokładnie nie wie, ilu ich dzisiaj jest. Sto, dwieście, a może więcej tysięcy? Ci, z którymi tam, nad Szprewą na ten temat rozmawiałem, obliczają swój ród na sto tysięcy, biorąc pod uwagę tylko tych, którzy mówią tym samym językiem. Jedno nie ulega wątpliwości: że istnieją i rozwijają się, kultywując ponad tysiącletnie tradycje, zrodzone w tym samym mniej więcej czasie, co nasze, polskie. Bo też rodowód jest wspólny — słowiański.

Ich krainą jest południowo-wschodni zakątek Niemieckiej Republiki Demokratycznej, zamknięty z dwóch stron — od zachodu i wschodu — rzekami: Łabą i Nysą Łużycką, a przez środek tej krainy, równoległe do tamtych, płynie Szprewa, nad którą w odległości około 80 km rozłożyły się dwa miasta: Budziszyn i Chociebuż, po niemiecku Bautzen i Cottbus. Pierwsze z nich jest miastem powiatowym, należącym do województwa drezdeńskiego, drugie ma rangę wojewódzką. Ale dla Serbołużyczan ważniejszy jest Budziszyn, bo tu mają swą siedzibę naczelną władzę Domowiny — stowarzyszenia społeczno-kulturalnego, zajmującego się nie tylko pielęgnowaniem spuścizny narodowej Słowian połabskich, lecz także organizowaniem życia kulturalnego i szerzeniem oświaty. Ma więc Domowina swoje wydawnictwo (Ludowe Nakładnictwo), którego nakładem ukazują się liczne książki, i podręczniki szkolne, pisane zresztą w dwóch językach — górnołużyckim (dla rejonu Budziszyna) i dolnołużyckim (dla rejonu Chociebuża), albumy, monografie, foldery, prospekty i oczywiście czasopisma (miesięcznik, tygodnik, dziennik). Działają w tym mieście regionalne związki twórcze (literatów, kompozytorów, artystów-plastyków, aktorów) i szkoły, w których językiem wykładowym jest łużycki.

Szczypta historii

Chociaż zapewne wszyscy uczyliśmy się w szkołach o dziejach i pradziejach Słowian, chociaż mamy dostęp do wydawnictw encyklopedycznych, to jednak pozwałam sobie na szczyptę historii. Otóż Serbołużyczanie byli przed wiekami, już u progu bieżącego tysiąclecia, na dobrej drodze do własnej państwowości. Jednakże, znalazłszy się między wojowniczymi plemionami germańskimi, a wcale nie mniej spokojnymi wówczas Czechami i polskimi Słowianami, byli za słabi, żeby oprzeć się silniejszemu. Tracą więc Łużyczanie w X wieku swoją samodzielność i w wyniku wojen pol-



I sekretarz (przewodniczący) Związku Serbów Łużyckich, czyli Domowiny — Jurij Gross.

sko-niemieckich są przez krótki okres pod panowaniem Piastów. Potem, pod koniec XI wieku, władzę nad Serbołużyczanami obejmują Czesi, pod których rządami z małymi przerwami pozostają aż do wieku siedemnastego, kiedy to dostają się pod kuratelę elektorów saskich i pruskich.

Mimo germanizacji, Słowianie połabscy nie zostali wynarodowieni. Przeciwnie — zaczęli się powoli odradzać, a w XVIII wieku tworzyli ponownie



Wórśa Lanzyna i jej mąż Stefan Lange — znani graficy łużyccy w swoim mieszkaniu.

po wojnie zaczął wychodzić codzienny organ Domowiny — „Nowa Doba”, z którą nawiązaliśmy i utrzymujemy przyjacielskie kontakty, mające na celu nie tylko wymianę doświadczeń dziennikarskich, ale również popularyzację tradycji kulturowych i współczesności obu regionów — łużyckiego i legnickiego. Niniejsza publikacja ma właśnie m. in. temu celowi służyć.

Z chwilą uzyskania przez Łużyczan autonomii kulturalnej zaczęła gwałtownie rozwijać się twórczość literacka i artystyczna, po-

które dzięki grafice Lanzynowej i ukształtowanym przez nią meblom nabierają cech niepowtarzalności. Podobnie ma się rzecz z wytwarzanymi według jej wzorów tkaninami. Tworzy bardzo dużo, a mimo to ma czas na działalność naukowo-dydaktyczną; prowadzi zajęcia z utalentowaną plastycznie młodzieżą, utrzymuje stały kontakt z lipską uczelnią. Pierwszym krytykiem pani Wórśy jest zawsze jej małżonek Stefan Lange, również grafik, którego prace zdobyły liczne powieści, plakaty i afisze, programy teatralne i inne wydawnictwa. W ślady rodziców pójdzie chyba 16-letni syn, który wykazuje już zdolności rzeźbiarskie, ale na razie uczy się rzeźbiarstwa stolarskiego.

Krzywa wieża

Po dwugodzinnej wizycie u znakomitej artystyki znów zanurzam się w historię Łużyc, a to za sprawą red. Ladusia z „Nowej Doby” który może godzinami opowiadać o starych dziejach Budziszyna. Nic dziwnego, że jest tutaj najbardziej cenionym przewodnikiem. Stare Miasto, leżące na wysokości 36 m nad Szprewą i 200 m nad poziomem morza, to jeden wielki kompleks zabytkowych budowli, znakomicie zachowanych, choć liczą sobie pięć, sześć i więcej wieków. Nad całym Budziszynem góruje wspaniały zamek Ortenburg, otoczony starymi kamieniczkami o różnych stylach architektonicznych, wieżami i kościołami, a w dole — najstarszy młyn wodny, pod którym kiedyś biegło koryto Szprewy, a które teraz biegnie kilka metrów obok. Całe Stare Miasto budziszynskie tworzy zabytkowy zespół międzynarodowej klasy, toteż państwo łoży na jego konserwację i restaurację coraz większe sumy, czego efekty są już bardzo widoczne: wiele obiektów odzyskało dawną świetność, a co równie ważne — wnętrza starych kamienic są modernizowane i przystosowywane do wymogów współczesnego życia. Osobliwością miasta jest krzywa wieża, której odchylenie od pionu wynosi 1,5 metra i pewnie by się powiększało, gdyby nie „zastrzyki” cementowe.

BUDZISZYN, miasto liczące dziś 50 tys. mieszkańców i zajmujące 2010 hektarów, to najlepsza lekcja pogłówna historii Łużyc. To również dowód troski, jaką władze Niemieckiej Republiki Demokratycznej otaczają Serbołużyczan, i wyraz szacunku, jaki mają dla ich kulturowych tradycji. Można się o tym przekonać, zatrzymując się choćby na dwie godziny w drodze do Drezna.

W. KIS.

ŁUŻYCZANIE

Korespondencja własna z NRD

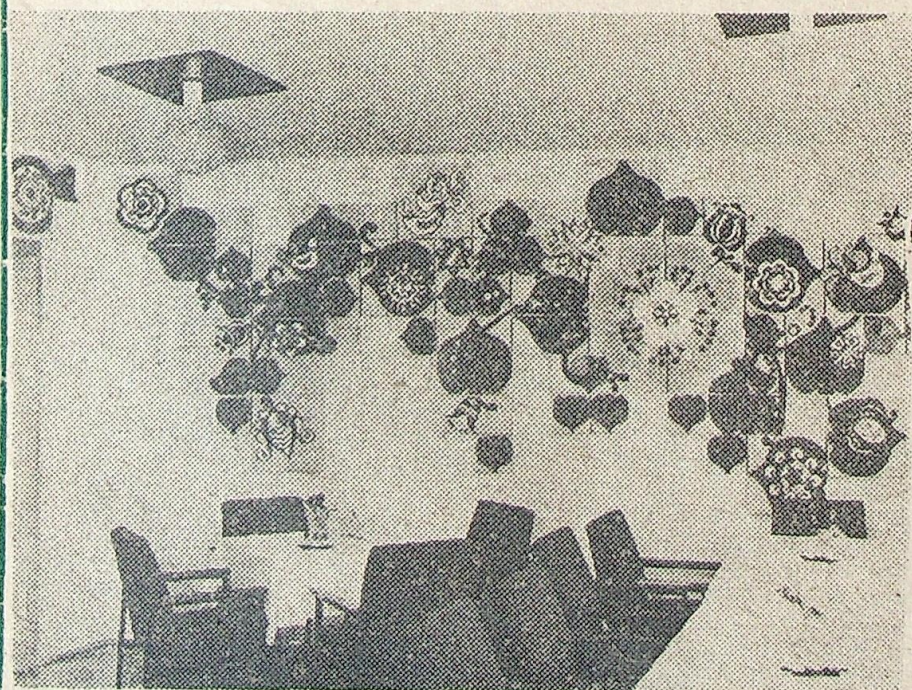
spórą grupę narodowościową. W wieku XIX (1847) powstała organizacja narodowa Serbołużyczan pn. Macieja Serbska, którą w 1912 roku zastąpiła Domowina. Gdy do władzy doszedł Hitler, naszym zachodnim pobratymcom znów zagroziło wynarodowienie, bowiem wszystko, co słowiańskie, było dla fuhrrera III Rzeszy wrogiem numer jeden. Została rozwiązana Domowina, zamknięto szkoły z łużyckim językiem nauczania, zlikwidowano wydawnictwa, a działacze łużyccy powędrowali do więzień i obozów koncentracyjnych. Ci, którzy uniknęli prześladowań, schronili się w innych krajach, przede wszystkim w Polsce. W Warszawie w latach 1942-44 działał konspiracyjny Łużycki Komitet Narodowy, który stał się początkiem odrodzenia Łużyczan. Pełne odrodzenie tej narodowości przyniosło utworzenie NRD. W roku 1950 ludność łużycka uzyskała autonomię kulturalną, a konstytucja tego państwa zapewniła Serbołużyczanom swój rozwój narodowy. W kilka lat

czność literacka i artystyczna, popierana wszelkimi sposobami przez łużyckie instytucje państwowe, placówki naukowe i wydawnicze w Berlinie, Lipsku, Dreźnie i Cottbusie, czego wyrazem było m. in. utworzenie już w 1951 roku w Budziszynie Łużyckiego Instytutu Ludoznawczego, zajmującego się zagadnieniami sorabistyki. Od wielu lat działa teatr ludowy, rozwija się ruch amatorski, w którym uczestniczą nie tylko dzieci i młodzież, lecz także dorośli.

U Wórśy Lanzynowej

Pośród regionalnych związków twórczych najliczniejsze grupy stanowią literaci i artyści-plastycy. Najbardziej znanym i uznanym poetą, prozaikiem i dramaturgiem łużyckim jest J. Breżan, którego twórczość charakteryzują wysokie walory artystyczne i ideowe. Równie sławną i cieszącą się wielką popularnością nie tylko wśród Łużyczan jest Wórśa Lanzyna, którą miałem przyjemność poznać w jej własnym mieszkaniu, na przedmieściu Budziszyna. Wizyta polskiego dziennikarza nie była dla niej wydarzeniem, bo często gości zagranicznych żurnalistów.

Ma Lanzyna powody do dumy, ale nie bardzo chce się chwalić swoim 10-letnim, imponującym dorobkiem. Ukończyła Akademię Sztuk Pięknych w Lipsku. Wszystko, co robi, ma swoje źródło w ludowych tradycjach Serbołużyczan. Dlatego jej dzieła są oryginalne i pełne świeżości. Specjalnością pani Wórśy jest grafika użytkowa. Projektuje wnętrza różnych obiektów, ostatnio najczęściej wystrój lokali gastronomicznych.



Te dzieło pani Wórśy — prawda, że oryginalne?

STARAJA się dotrzeć tutaj wszelkimi sposobami. Wbrew ostrym zakazom i perswazji zagniewanych sióstr. Wejść jednak nie można pod żadnym pozorem. Chociaż...

Niedawno odwiedziło oddział położniczy legnickiego szpitala przy ulicy Jaworzyńskiej dwóch kominiarzy. Takich z pełnym ekwipunkiem i sadzą na nosie. Chcieli czyścić kominy. Odprawieni z kwitkiem — przyszli ponownie. I tak jeszcze parę razy. Aż do momentu, kiedy wszystko wyszło na jaw. Okazało się, że tylko jeden z nich był mistrzem zanikającego fachu. Drugi — rozradowanym ojcem, który bardzo pragnął ujrzeć nowo narodzoną pociechę.

Kiedy indziej znów zjawili się monterzy (o dziwo, również w duecie), którzy koniecznie chcieli skontrolować aparat telefoniczny. Telefon znajduje się na korytarzu oddziału, a stąd przecież już tak blisko do żony. Dalej wypadki potoczyły się oczywiście jak wyżej.

— Przychodzą pod okna o każdej porze. Czasami sterczą tak całą noc. Co bardziej energiczny tatuś, to i dziurę w płocie zrobi, byle tylko dostać się na teren szpitala. Trzeba jednak przyznać, co nikogo zresztą nie zdziwi, że kobiety bardzo podtrzymywane są na duchu tymi niesfornymi i trochę uciążliwymi dla nas wizytami. Kiedyś pewna pacjentka czekała na męża przez osiem dni, a on nie przychodził. Urodziła czwarte dziecko. — Może on bał się nowych obowiązków? — zastanawia się siostra oddziałowa Wiesława Jakimów. — Dostała psychozy. Miała silną wadę serca. Zmarła — dodaje.

Ubieram się w przydługie fartuch i wędruję po salach. Pytam jedną z matek, czy mąż ucieszony drugą córką?

— Nie za bardzo — słyszę odpowiedź. — Chciał syna, więc się rozczarował. Ale będzie się musiał przyzwyczaić...

Idziemy dalej. Pani Krystyna urodziła trzecie dziecko. Słakany ojciec klęczał na dziedzińcu i bijąc się w pierś, przeproszał, że przyszedł na bani, ale to z radości, bo wszystko zgodnie z życzeniami. Myślał tylko o synu. Jest syn.

Siostra Wiesia mówi, że rzadko który mężczyzna pragnie córki. Choć oczywiście bywają i tacy. Ale pierwszy z reguły „musi” być chłopak.

...Zachowanie rodu. Identyczne nazwisko. Szukanie wspólnego języka bądź, kiedy zdarzy się taka sytuacja, wsparcie rodziny. A może zwykła próżność — będzie lotnikiem. Skoro mnie się nie udało, to on na pewno zostanie. — Tak myśli sobie o tym wszystkim niekiedy siostra Wiesia, a wierzyć jej można, bo pracuje na oddziale ląd-

nych parę lat i niejedno widziała.

Kobiety przychodząc do szpitala są już nastawione na to, że będzie tak, jak chce mąż. Siła sugestii? Kiedy jednak przychodzi na świat dziewczynka bywa, że panikują i płaczą. Czasami boją się wrócić do domu... Niejedna przypomni sobie w takiej chwili słowa teściowej, które przypominają transakcję: — Jak urodzisz chłopczyka, to kupimy wózek i łóżeczko.

Rozłąka matki i nowo narodzonego dziecka z rodziną trwa krótko.

wychowawcy Państwowego Pogotowia Opiekuńczego w Legnicy, gdzie chłopiec przebywał, pojechali do Lubina, aby porozmawiać z rodzicami. Mieli nadzieję, że dotrą do ich serc.

W mieszkaniu puchowe dywany. Kryształ Duży metraż. Starcza miejsca dla dwojga dzieci, które chowa się tutaj z dużą troską. Tylko dla Marka jest jakby za ciasno. Tata — górnik powiedział bez żenady pedagogom:

— Ja się tak wychowałem, więc i on może.

Nadużywanie kar osłabia lub wręcz eliminuje ich skuteczność. Karę trzeba stosować wtedy, kiedy dziecko rzeczywiście zawiniło. A nie wtedy, kiedy mu się „nazbierało” lub dlatego, że ojciec przyszedł zdenerwowany z pracy i w ten sposób wyładowuje swój zły humor.

Bicie? Najprymitywniejszy, najwygodniejszy, a zarazem najmniej skuteczny rodzaj kary.

Nie jest jednak dobrze, kiedy dziecku pozwala się na wszystko. Jest to zazwyczaj wyrazem malej o nie dbałości...

syna ślicznego mieć



Krótko po tej rozmowie odwiedziłam legnickie pogotowie opiekuńcze. Wszędzie czystutko. Mnóstwo zabawek. W sypialniach jak w bajce. Różowe światło. Udrapowane firanki z falbankami. Ofiarne i bardzo zaangażowana kadra. Wszystko w najlepszym porządku. Tylko dzieci nie takie jak trzeba.

Trzyletnia dziewczynka — malutka jak miniaturka. Nie umie mówić. Prawdopodobnie też nie słyszy. Chłopak z puszkiem pod nosem jest analfabeta. Inny — ma przeszłość obciążoną rozbojami, włamaniami, sądami dla nieletnich.

Niepokojąco wzrasta także liczba dzieci wiejskich przebywających tutaj. Znajduje się je zawszawione, ze strupami na głowach, poowijane w szmaty.

Pytam wychowawcę grupy starszych chłopców Grzegorza Zasięcznego, czy przychodzą tutaj i ojcowie?

— Tak, ale znacznie rzadziej niż matki, nawet te najgorsze — odpowiada. — Zazwyczaj wciskają chłopcu do kieszeni 50 złotych, mówiąc: — No, synu, trzymaj się i bądź dzielny, żebyś wyrósł na ludzi!

Chłopcy nie tracą jednak nadziei. A może jednak przyjdzie i zabierze na mecz? — marzą. Może nie trzeba będzie już tu wracać?

Rzecz jasna, oprócz ojców, którzy zapomnieli o swych dzieciach, są i ojcowie zatroskani i dbający o ich los. Faktem jest jednak, iż nadto oczywistym, że kobiety znacznie więcej czasu poświęcają na wychowanie swych pociech. Ktoś powie, że nie widzi w tym wszystkim problemu — że od początku świata mężczyźni mniej zajmowali się dziećmi niż niewiasty. Taką już mają naturę. Zgoda. Ale oprócz „takiej” natury mają jeszcze sumienie i nie ani nikt nie może zwolnić ich od odpowiedzialności.

ZANIM więc powiesz do żony — tak go wychowałam — zastanów się, ile ty sam włożyłaś wysiłku, aby wychować swoje dziecko na człowieka, który nie przegra życia.

GRAŻYNA KAŻMIERSKA

Po kilku dniach wracają do swoich. Kończy się długie oczekiwanie, a zaczyna najzwyczajniejszy obowiązek. I to nie tylko dla kobiety. Jedni tatusiowie pomni swego udziału w przyjściu na świat dziecka piorą pieluchy i trą marchewkę na soczek. Inni powoli zapominają o przyrzeczeniach i zobowiązaniach wobec drugiej strony. Pół biedy jak tylko zapominają. Gorzej kiedy biją, a właściwie znęcają się nad dziećmi.

Ojciec kilkunastoletniego Marka tak go skatował, że chłopiec ma nieodwracalne zmiany w mózgu. Na dłoniach szramy i blizny. Bał się wracać do domu. Sypiał w szkole, między kublami na śmieci. Kiedy dostał zapalenia opon mózgowych,

Marek to podobno wykapany ojciec, więc raczej wykluczone, aby ojciec mścił się właśnie w taki sposób na żonie. Biję bez powodu, o wszystko... Powód zresztą jest wyłącznie jeden: zdeprawowana psychika rodziciela.

Albo Rysio. Kiedy miał cztery lata został skatowany przez „głowę” rodziny prawie na śmierć.

Albo Kazio. Matka osierociła trzynaścioro dzieci. Ojciec oddał go do Golanek Górnej. Do Domu Dziecka. Chłopiec ładnie maluje. Patrzy na nas wielkimi, smutnymi oczami. O czym myśli?

Albo... Przykłady można mnożyć. — Kara powinna być zawsze prze-myślana i — co ważne — stosowana z umiarem — mówi psycholog z Wojewódzkiej Poradni Zdrowia Psychicznego Walenty Steinmetz. —



DZIĘKI wielu publikacjom wrocławskiego dziennikarza Zygmunta Antkowiaka znamy już doskonale historię testamentu właściciela podlegnickiej wsi Warmatowice, zniemczonego od pokoleń ziemianina Alfreda Olszewskiego, który tuż przed swoją śmiercią (1908) cały swój majątek zapisał Henrykowi Sienkiewiczowi. Ale Warmatowice mają jeszcze inną, równie sensacyjną legendę współczesną, którą mieszkańcy tej wioski ekscytują się po dziś dzień, a z którą zetknął się red. Antkowiak w czasie swoich prac poszukiwawczo-badawczych. I specjalnie dla Was o niej pisze.

Już w czasie pierwszego pobytu w Warmatowicach (1959) wiele słyszałem o jakichś skarbach znajdujących przez tutejszą ludność w fosie okalającej barokowy pałac — dawną rezydencję Olszewskich. Miały to być stare monety i medale. A że opowieści o cennych znaleziskach powtarzały się uporczywie podczas każdej kolejnej wizyty, więc zacząłem się nimi interesować.

— Ho, ho, panie, co tu tego było! — powiedział mi kiedyś z tajemniczą miną wiejski chłopak, kręcący się koło podworskich zabudowań. — Niejeden całe lata żył z tego, co w fosie znalazł. I to jak żył! Pił, ile chciał, ubierał się jak wielki pan i śmiał się z biedy.

Zaintrygowała mnie ta niezwykła historia i na każdą wzmiankę o niej bacznie nastawiałem ucha. Rychło okazało się, że nie były to plotki wyssane z palca; w fosie istotnie znajdował się skarb, którego wartości nie sposób dziś ocenić, a chyba i przecenić. W Warmatowicach każdy dużo ma na ten temat do powiedzenia. Ten i ów przyznaje się nawet do znalezienia jakiegoś pieniążka lub innego przedmiotu.

— Moja żona znalazła kiedyś monetę niewielką i cieniutką — zwierzył mi się kiedyś sołtys Bazyl Grzeszczuk. — Zawiozła ją do Wrocławia i dostała 1500 złotych.

— Wydobyłem z mułu trzy nieduże kubki — wspominał inny z miejscowych rolników. — Może były z brązu, bo ja wiem? Nie znam się na tym. Wybrałem się z nimi do Legnicy i za każdy dostałem 250 złotych.

Informacje spływały jak z rogu obfitości.

— Te monety były ze złota i srebra. A oprócz monet i różnych przedmiotów metalowych można było znaleźć w fosie także wyroby porcelanowe.

— Za taki mały pieniążek można było dostać pięć, sześć tysięcy. Może samo złoto nie warte było tyle, ale widać decydowała data bicia monet.

— Niektórzy nic innego nie robili, tylko ciągiem szukali w fosie. Po pas brodzili w mule. Grzebali w nim widłami i różnymi innymi narzędziami.

— Kto wie, czy tam i dzisiaj jeszcze czegoś nie ma. W każdym razie, nawet niedawno, zdarzało się widzieć, jak w niedzielę, kiedy ludzie mają więcej czasu, co po niektórzy brodzili w mule.

— Ale nie tylko w fosie można było coś znaleźć. Także na kompoście za parkiem, tam, gdzie zaraz po wojnie gromadzono śmieci...

Jak wspominałem, ten i ów przyznawał się do skromnego znaleziska, ale o wiele chętniej skłonni

są mówić warmatowiczanie o szczęściu innych.

— Byli tacy, co ze 300 tysięcy złotych dostali za monety wydobyte z fosy.

— Ot, choćby taki Józek. Kilkanaście lat nie pracował, tylko szukał w fosie, a potem popijał. Kiedy już wszystko przeżułał, ożenił się i teraz gospodarzy.

— Albo Bolek. Też niemało znalazł...

Jeszcze dziś mieszkańcy Warmatowic wierzą, że ich wieś kryje niezmierzone kosztowności, ukryte nie wiadomo przez kogo. Nikt tylko nie wie, gdzie ich szukać. Chłop, który przypuścił mnie do tej tajemnicy, miał minę jakby oczekiwał pomocy z mojej strony i kto wie, czy nie zgodził

wrocławskich muzeów w obliczu zarysowującej się groźby oblężenia miasta w roku 1945. Zwróciłem się też o informacje do wnuka Alfreda Olszewskiego, Sigismunda von Zedlitz, dziś obywatela RFN, aktywnie działającego na niwie zbliżenia obu naszych narodów.

Jak się okazuje, pod koniec wojny pałac w Warmatowicach został zarekwirowany przez władze hitlerowskie, z przeznaczeniem na składnicę zbiorów wrocławskich muzeów. Zabytki zwieziono w wielkich ilościach, rozmieszczając częściowo w dużych pokojach na parterze, a częściowo na piętrze. Miały to być meble oraz instrumenty muzyczne, broń, mundury i monety. Zwoze-

piono do intensywnych poszukiwań. Józefowi Gębczakowi szczęście dopisało: w gruzach biur niemieckiego konserwatora zabytków dra G. Grundmanna odnalazł zaszyfrowane spisy składnic skar-bów wywiezionych z Wrocławia! Trzeba się było jeszcze namozić nad złamaniem owych szyfrów.

Nawiasem mówiąc hitlerowcy, choć do ostatniej niemal chwili zapowiadali swoje zwycięstwo, już od roku 1944 ewakuowali zbiory wrocławskich muzeów. Była to akcja na wielką skalę. Najlepiej świadczy o tym fakt, że wywiezione z miasta zabytki, dzieła sztuki, objęły 207 transportów. Zbiory lokowano głównie w wiejskich zamkach, dworach i kościołach, z dala od głównych tras. Największą taką składnicą był zamek w Kamieńcu Ząbkowickim, gdzie ukryto około tysiąca obrazów pochodzących z Muzeum Sztuk Pięknych przy pl. Muzealnym. Dużo obrazów zdeponowano także w zabytkowym klasztorze henrykowskim. Dzięki szybkiej akcji poszukiwawczej, przeprowadzonej przez ekipę wrocławskich pionierów, większość dzieł sztuki udało się ocalić. Część jednak zaginęła w zawierusze wojennej.

Zawiezione do dawnej rodowej siedziby Olszewskich zbiory pochodziły z Muzeum Przemysłu Artystycznego i Starożytności przy obecnej ul. Nowotki 14. Gmach tej placówki hitlerowcy wysadzili w powietrze w czasie oblężenia Wrocławia, przygotowując sobie w ten sposób lądowisko dla małych samolotów na sąsiednim placu Zamkowym (dziś pl. Wolności). Do Warmatowic trafiły nie tylko numizmaty, ale także zabytkowe szkło, przedmioty z brązu i inne wyroby artystycznego rzemiosła. Była to zresztą jedynie część zbiorów muzeum przy ul. Nowotki, którego początki sięgały XVI w., a które należało do największych na Dolnym Śląsku. Była to placówka wielodziałowa, posiadająca (według stanu na rok 1938) 40 tys. monet i medali, 30 tys. eksponatów rzemiosła artystycznego, rzeźby i malarstwa, 10 tys. eksponatów archeologicznych, 20 tys. starych pieczęci, tyleż grafik, planów itd. Najcenniejszy był bodaj zbiór numizmatów zawierający komplet wszystkich znanych monet śląskich, od czasów najdawniejszych począwszy. Ile z tego trafiło do Warmatowic — nie wiadomo.

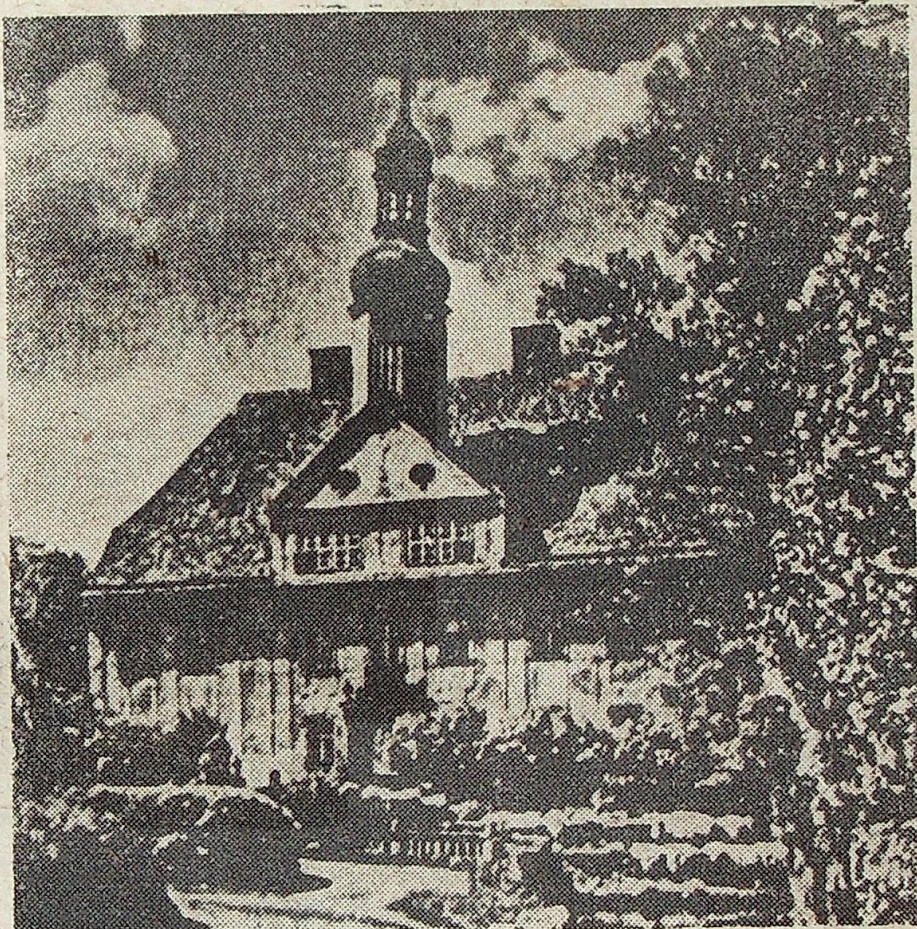
Dawne to dzieje, minęło już od tych czasów ponad 30 lat. Niemniej kustosz Muzeum Narodowego doskonale pamięta okoliczności towarzyszące poszukiwaniom przeprowadzonym w Warmatowicach.

— Gdy w lecie 1945 r. wysłannik z Wrocławia przybył do wsi, żadnych zbiorów w pałacu już nie było. Dopiero po latach dowiedzieliśmy się, że miejscowa ludność wydobywała z fosy monety pochodzące ze zbiorów muzealnych. Kto je tam powrzucał — trudno powiedzieć. Chyba sami Niemcy, aby ukryć. Z tego, co ludzie znaleźli, udało się nam kupić niewiele, tylko kilkanaście monet. Reszta trafiła w ręce prywatnych kolekcjonerów i handlarzy dzieł sztuki.

TAK WYJAŚNIŁA się zagadka warmatowickich „skar-bów króla Salomona”, na których ostatecznie nikt się nie wzbogacił. Zubożały natomiast gromadzone przez stulecia zasoby muzealne.

ZYGMUNT ANTKOWIAK

WARMATOWICKIE SKARBY



Tak wyglądał warmatowicki pałac w czasach swej świetności.
Fot. Stanisław Kokurewicz

by się wziąć mnie za współnika, gdybym go tylko zechciał zapewnić, że jestem w posiadaniu potrzebnych informacji.

W każdym razie nie ulegało wątpliwości, że skarb w fosie nie był wytworem niszowej wyobraźni, lecz faktycznie istniał. Pozostało tylko wyjaśnić, skąd się tam wziął.

Sami warmatowiczanie niewiele umieli powiedzieć. Trzeba zresztą przyznać, że nie próbowali koloryzować. Wypowiadali tylko swoje przypuszczenia, robiąc to poza tym dość nieśmiało.

— Pewnie w pałacu było małe prywatne muzeum. Jak Niemcy uciekali, to widocznie wyrzucili te skarby do fosy. Myśleli pewnie, że niedługo wrócą...

Z opowiadań wynikało, że znalezione w fosie przedmioty przedstawiały dużą wartość zabytkową i że było ich niemało. Wydawało się więc wątpliwe, aby takie zbiory mogły być własnością prywatną, niechby nawet zamożnych ziemian. Długo jednak nie udawało się rozwikłać tej intrygującej zagadki. Sprawa zaczęła się wyjaśniać dopiero wtedy, gdy doszły mnie wiadomości dotyczące ewakuacji przez hitlerowców zbiorów

niem i rozmieszczaniem zalakowanych skrzyń zajęli się wysłannicy z Wrocławia bez udziału gospodarzy Warmatowic. Ewakuacja zbiorów miała na celu uchronienie ich przed działaniami wojennymi. Co się stało z depozytem po ucieczce Niemców, kto wyrzucił do fosy część eksponatów, Sigismund von Zedlitz nie umie powiedzieć.

Do końca sprawę wyjaśnił dopiero kustosz Muzeum Narodowego we Wrocławiu Józef Gębczak, o którym już wcześniej wspomniałem, że walczył przyczynić się do odnalezienia wielu przedmiotów zabytkowych ukrytych przez hitlerowców w okresie poprzedzającym oblężenie Wrocławia. A więc ze skarbem warmatowickim było tak:

Józef Gębczak — młody wówczas historyk sztuki przybył do Wrocławia w parę dni po jego wyzwoleniu jako członek grupy pełnomocnika Ministerstwa Oświaty prof. Stanisława Kulczyńskiego. Został mianowany zastępcą kierownika referatu muzeów, którego zadaniem było zabezpieczenie ocalonych zbiorów. Gdy po przybyciu do zburzonego miasta okazało się, że większość tych zbiorów Niemcy ukryli, przystą-



Odpowiedzi prosimy nadsyłać wyłącznie na kartkach pocztowych, na zamieszczonych obok kuponach. Termin przysyłania rozwiązań upływa 15 stycznia 1979 roku.

KUPON KONKURSOWY

hasło brzmi:



imię i nazwisko

adres

UBEZPIECZENIE POSAGOWE

JUŻ DZIŚ UŁATWI TWEMU DZIECKU

PRZYSZŁY START DO SAMODZIELNOŚCI



Państwowy Zakład Ubezpieczeń proponuje wszystkim rodzicom zawarcie bardzo korzystnej formy ubezpieczenia posagowego tzw. ubezpieczenia zaopatrzenia dzieci ze wzrastającą sumą ubezpieczenia i rentą.

Ubezpieczenie to ma na celu zabezpieczenie środków materialnych dziecku w okresie osiągnięcia wieku dojrzałości i usamodzielnienia się, rozpoczęcia studiów bądź zawierania małżeństwa.

Ubezpieczenie w zamian za stosunkowo niewielką składką opłacaną miesięcznie, kwartalnie lub jednorazowo gwarantuje odpowiednie świadczenie z chwilą osiągnięcia przez dziecko umówionego wieku.

Dziecko otrzyma ustaloną wysokość sumy nawet w razie przedwczesnej śmierci osoby, która zawarła ubezpieczenie.

Wysokość składki za ubezpieczenie jest uzależniona od wysokości sumy ubezpieczenia, wieku osoby, która zawarła ubezpieczenie oraz okresu ubezpieczenia.

Ubezpieczenie to zapewnia uposażonemu dziecku:

- świadczenie jednorazowe, na które składa się zadeklarowana przez rodziców suma ubezpieczenia oraz premia ubezpieczeniowa wynosząca 3 proc. rocznie. Przy opłaceniu składki jednorazowo premia ubezpieczeniowa wynosi 4 proc.
- rentę miesięczną w wysokości 2 proc. sumy ubezpieczenia, płatną od dnia przedwczesnego zgonu osoby, która zawarła ubezpieczenie do końca okresu ubezpieczenia, niezależnie od sumy podstawowej ubezpieczenia oraz premii ubezpieczeniowej,
- skrócenie okresu ubezpieczenia o 3 lata w razie:
 - zawarcia związku małżeńskiego,
 - otrzymania mieszkania,
 - rozpoczęcia wyższych studiów o ile ubezpieczenie trwało co najmniej 15 lat
- zamiast wypłaty jednorazowego świadczenia i premii ubezpieczeniowej odpowiednią rentę stypendialną płatną miesięcznie w okresie studiów,

- premię w wysokości 20 proc. nominalnej sumy ubezpieczenia płatną po ukończeniu przez dziecko szkoły średniej względnie specjalnej (za opłatą dodatkowej składki).

PRZYKŁAD:

Rodzik w wieku 30 lat zawarł umowę ubezpieczenia na sumę 40.000 zł na okres 20 lat. Składka miesięczna wynosi 176 zł. Po 20 latach premia ubezpieczeniowa wyniesie 60 proc. (20x3 proc.), tj. 24.000 zł. Uposażone dziecko otrzyma razem jednorazowo kwotę 64.000 zł lub miesięczną rentę stypendialną w wysokości 1.128 zł płatną przez 5-letni okres studiów. W razie przedwczesnego zgonu osoby, która zawarła ubezpieczenie PZU wypłacać będzie dziecku rentę miesięczną w wysokości 800 zł płatną do końca okresu ubezpieczenia.

Przy jednorazowej opłacie składki za ubezpieczenie na sumę 40.000 zł składka wyniesie 27.320 zł. Po upływie 20 lat premia ubezpieczeniowa wyniesie 80 proc. (20x4 proc.), tj. 32.000 zł, a więc uposażone dziecko otrzyma jednorazowo 72.000 zł lub miesięczną rentę stypendialną w kwocie 1.269 zł płatną w okresie 5-letnich studiów.

Szczegółowych informacji o ubezpieczeniu udzielają jednostki PZU oraz pośrednicy ubezpieczeniowi Państwowego Zakładu Ubezpieczeń.



Tradycyjnym świątecznym zwyczajem zapraszamy naszych Czytelników do ułożenia KRZYŻÓWKI-GIGANTA z podanych niżej wyrazów. Z krótkich oznaczonych liczbami od 1 do 66 należy wybrać litery i ułożyć je tak, aby powstało hasło — rozwiązanie. Wśród autorów prawidłowych odpowiedzi rozlosujemy nagrody w wysokości: I — 1000 zł, II — 500 zł i dwie III — 250 zł w postaci premialnych bonów oszczędnościowych PKO i 10 interesujących książek.

Organizatorami i fundatorami nagród dla Czytelników są: Narodowy Bank Polski — Oddział Wojewódzki w Leg-

nicy i redakcja „Konkretów”. Termin nadsyłania rozwiązań opatrzonych zamieszczonym kuponem upływa 10 stycznia 1979 roku. Prosimy o dopisek: KRZYŻÓWKA — GIGANT.

WYRAZY DO WPISANIA:

11-literowe:

AKWARELISTA (dla ułatwienia wpisano), AMPEROMIERZ, DZIEWCZYŃKA, KONTESTATOR, KOŚCIERZYNA, POŚWIECENIE, ROKITNICZKA, SCENARZYSTA.

9-literowe:

GEOMETRIA, GORZELNIA, KANDELABR, KOOPERANT, KURTYZANA, NACZELNIK, NAWIERTAK, PARALITYK, PAR-

TYZANT, POMOLOGIA, PROTEKTOR, PRZEPICIE, ROZLEWNIA, SZAMPANKA, SZERMIERZ, ZALAMANIE.

7-literowe:

AMARANT, ANDRZEJ, ANTONIM, GOTÓWKA, KONTAKT, KURDESZ, LAKTOZA, MOKASYN, NIETAKT, PODSTĘP, PORTRET, PRZEKĄS, PRZEKOP, PRZELAZ, PRZEWÓZ, TRABANT.

6-literowe:

ANATOL, ANGINA, KASZAK, KŁAMOT, MALINA, MURARZ, OCHWAT, OGMIOS, POWIAT, PROCES, PROLOG, STALAG, UNIKAT, ZAKRĘT, ZBIORY, ZWIERZ.

5-literowe:

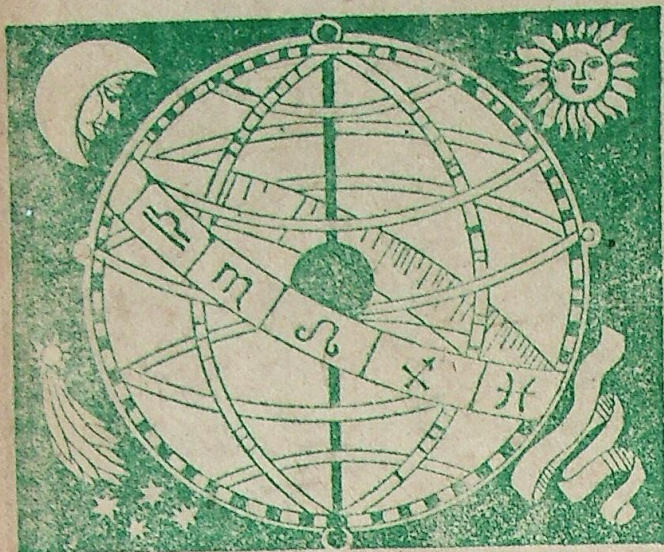
AKTOR, ANEKS, ANION, AWIZO, DIANA, DŁUTO, DUNAJ, EJ-

CHE, IRCHA, KAFEL, KŁOSZ, KONIN, KWITA, LENIN, LIMFA, LANIA, NASER, NIKON, OWENS, PANIE, PASAT, PŁACZ, POLKA, PORYW, POTOP, POZÓR, PÓŁKA, ROSJA, STACH, SZYBA, TALLIA, TANGO, TENOR, TRENT, WAWEL, WIGOR, ZAKON, ZŁOTO.

3-literowe:

BEL, CUD, EMU, GOL, IAT, IND, INN, LEE, ŁOŚ, NEP, NIE, RAF, REA, SER, SET, SIO, SKI, SYK, TIK, TOK, TRI, WOŚ, WÓŁ, ZAP.





GWIAZDY MÓWIĄ O ROKU 1979

Wierzmy że Czytelnicy przyjmą ten horoskop z przynajmniej lekkim, a losów swoich gwiazdom nie powierzą.



BARAN
21.III - 20.IV

Dla osób młodszych rok ten zapowiada sukcesy w nauce, pomyślne zakończenie studiów, osiągnięcia naukowe, jest zapowiedzią dobrego „wejścia” w życie. Osoby w średnim wieku umocnią swoją pozycję zawodową, będą miały dużą szansę na zajęcie kierowniczego stanowiska, tym bardziej, że urodzeni pod znakiem Barana posiadają skłonności do przewodzenia. Sukcesy te jednak poparte być muszą dużym wysiłkiem i sporym nakładem pracy. Bardzo ważna jest troska o zdrowie, zwłaszcza w okresie wiosny i jesieni, nie wolno więc marnować żadnej okazji do racjonalnego odpoczynku.

Znaki szczególnie przychylne: Strzelec i Koziorożec.



BYK
21.IV - 21.V

Wiele osób spod znaku Byka może się w tym roku spodziewać realizacji od dawna wymarzonych pragnień. Szczególnie dotyczy to małżeństw. Być może będzie to u-
pragnione dziecko, może tylko nowe mieszkanie, lub zaplanowany samochód, czy wreszcie daleka podróż. Pierwsze miesiące roku, okres od stycznia do kwietnia, wymagają będą szczególnej troski o dom i rodzinę, na tym tle bowiem wyniknąć mogą w tym okresie pewne domowe nieporozumienia. Osoby spod znaku Byka bowiem, nie lubią gdy się im przypomina o ich obowiązkach i wytyka błędy... W ostatnich miesiącach roku — listopadzie i grudniu — wiele pań stanu wolnego wypowie sakramentalne „tak”.

Znaki szczególnie ważne: Wodnik, Lew i Panna.



BLIŹNIĘTA
22.V - 21.VI

Pewnego rodzaju nicią przewodnią i mottem nadchodzących dwunastu miesięcy, powinny być dla osób urodzonych pod znakiem Bliźniąt — cierpliwość i wytrwałość. Czyli cechy, których często im brakuje i tylko dzięki którym osiągnąć mogą duże sukcesy. Te zaś nie

przyjdą łatwo. Trzeba je będzie solidnie wypracować. I tak na przykład osoby zainteresowane sportem wyczynowym mają przed sobą perspektywy sporych osiągnięć; związane ze sztuką — wybić się ponad przeciętność. Młodzi — jeśli nie zniechęca się zbyt szybko — osiągną sukcesy w nauce, zwłaszcza dotyczy to nauk humanistycznych. Osiągnięcia te jednak wymagają będą cierpliwości i mrówczej pracy.

Znaki przyjazne: Rak i Waga.



RAK
22.VI - 22.VII

Po ubiegłym roku, który nie całkiem spełnił Twoje oczekiwania, bieżący rok da Ci wiele przyjemnych i pięknych przeżyć, a przede wszystkim dużo pogody i dobrego samopoczucia. To co złe — masz już za sobą — z optymizmem możesz patrzeć w przyszłość. W tym roku zaznasz od bliskich i nie tylko bliskich — dużo dobrego. Sam też będziesz miał liczne okazje, by pomóc innym. A więc rok w atmosferze życzliwości i uśmiechu. Będzie to też ważne i dla twojego zdrowia — o które, szczególnie w okresie wiosennym musisz dbać, nie lekceważąc nawet najdrobniejszych przejawów choroby. Sytuacja finansowa wolno, ale systematycznie poprawi się. Zamierzona dłuższa podróż, dojdzie do skutku dopiero pod koniec roku. Osoby starsze będą miały okazję do nawiedzania i utrwalenia ciepłych, serdecznych stosunków rodzinnych.

Oto znaki szczególnie przychylne: Byk i Waga.



LEW
23.VII - 22.VIII

Wiele się wydarzy w tym roku. Będą to przeważnie zdarzenia pomyślne i w ogromnej większości niezależne od Twojego działania. Może właśnie w tym roku szczególnie się zakochasz? Znajdziesz wreszcie rozwiązanie zagadnienia nad którym od dawna bezskutecznie się głowisz? Osiągniesz sukcesy artystyczne? Wyjedziesz w nieprzewidzianą podróż po obcych krajach? Osoby spod znaku Lwa lubią działać szybko, zdecydowanie, czasem jednak zbyt pochopnie, a co za tym idzie nie zawsze trafnie. Przed Tobą wszakże pomyślny rok; będziesz na ogół „trafiał w dziesiątkę”. Lew w pierwszej połowie roku może stać się zbyt kochliwy.

Znaki, o których warto pamiętać: Ryby i Bliźnięta.



PANNA
23.VIII - 22.IX

Pierwsze trzy miesiące roku upłyną spokojnie, nie zapowiadając burzliwych zmian jakie mogą Cię czekać w następnych miesiącach. Masz na ogół wesołe, pogodne usposobienie i lubisz, kiedy wokół Ciebie coś się dzieje. To też sam dasz początek zmianom w Twoim życiu. Może zmienisz pracę? Miejsce zamieszkania? Miejscowość w której mieszkasz? A może zdecydujesz się błyskawicznie na małżeństwo? Osoby w średnim wieku, „zasiedziały” w swoim środowisku, będą miały okazję do dłuższego wyjazdu za granicę. Być może o-
trzymają kierownicze stanowisko czy też uzyskają korzystniejsze warunki pracy.

Znaki przyjazne: Koziorożec i Baran.



WAGA
23.IX - 23.X

Już pierwsze miesiące roku przysporzą osobom spod tego znaku sporo ciekawych przeżyć. Będziesz miał okazję zakochać się, poznać kogoś niezwykle atrakcyjnego z kim łączyć Cię będą wspólne zainteresowania naukowe, zawodowe i wspólne zamiłowanie do podróży. Osoby w wieku średnim, małżeństwa — mają przed sobą liczne kontakty towarzyskie, spotkania, ciekawe wyjazdy (połączone niestety z dużym nakładem finansowym!) przeżycia natury artystycznej, wzajemne wizyty. Druga połowa roku to okres wyjątkowej pracy i sukcesów zawodowych.

Znaki przychylne: Lew i Wodnik.



SKORPION
24.X - 22.XI

Dla wielu osób spod znaku Skorpiona rok ten upłynie pod hasłem dalekich podróży. Masz w sobie ciekawość świata i wystarczy ci raz tylko zobaczyć trochę obcych krajów, by później podróże stały się Twoją pasją. Ten rok zapowiada dla Skorpiona dalekie i ciekawe wojaże. Jak zatem przebiegnie owych dwanaście miesięcy? A więc rodzina, dom: przy Twojej nieco konfliktowej naturze łatwo tu o spękanie. Toteż mimo woli wiele możesz zepsuć w rodzinnych układach. A więc trochę więcej serdeczności, mniej wyrachowania, a więcej rozsądku i uczucia. W pracy stosunki układają się bardzo dobrze. Nad ewentualną propozycją zmiany pracy — musisz się dobrze zastanowić. Okres kwiecień — wrzesień — to czas podróży.

Znaki przyjazne: Byk i Baran.



STRZELEC
23.XI - 21.XII

Nadchodzący rok stworzy osobom spod znaku Strzelca nowe, szerokie perspektywy, umocni wiarę we własne siły i pozwoli osiągnąć upragnione cele. Szczęśliwy zbieg okoliczności ułatwi też wielu osobom wybrnięcie z trudnej sytuacji. A więc rok dobry. Zdarzyć się jed-

nak może, iż poniekąd Strzelec będzie za mało kochliwy... W pierwszej połowie roku duże, korzystne zmiany. Sytuacja materialna wybitnie się poprawia. Osoby zajmujące się naukami ścisłymi, mogą mieć w tym okresie wybitne osiągnięcia. W drugiej połowie roku zmiany w życiu osobistym.

Znaki o których trzeba pamiętać, to Rak i Panna.



KOZIOROŻEC
22.XII - 20.I

Nadchodzący rok będzie dla wielu osób spod znaku Koziorożca, rokiem ustawicznych zmagani. Wypływa to z usposobienia Koziorożca, który jest z natury uparty i lubi wyszukiwać trudności nawet tam gdzie ich nie ma. W sprawach uczuciowych jest raczej staty: przez cały rok przewijać się będzie jedna i ta sama osoba, dom pozostaje jednak nieco na uboczu jego zainteresowań i to może stać się powodem zadrzańień. W pracy i wśród najbliższego otoczenia, osoby spod znaku Koziorożca znajdą duże uznanie, nie zawsze jednak potrafią to docenić.

Znaki szczególnie ważne: Baran i Skorpion.



WODNIK
21.I - 20.II

Rok, który da osobom spod tego znaku wiele radości, rok poświęcony w większości rodzinie, rok ciepłej, serdecznej atmosfery, zarówno w domu jak i wśród przyjaciół. Czego więc Wodnik może się spodziewać? Młodzi — małżeństwa, odważajmy się uczuć, w dalszej perspektywie powiększenia się rodziny, rozszerzenia kręgu przyjaciół. Osoby w średnim wieku — przychylnej atmosfery w pracy, przełamania ewentualnej niechęci. W rodzinie — realizacja wspólnej inwestycji, wspólny, atrakcyjny wyjazd, dużo miłych chwil, a przy tym, pod koniec roku większe rodzinne święto.

Znaki sprzyjające Rak i Lew.



RYBY
21.II - 20.III

Dla osób urodzonych pod znakiem Ryb, jest to rok pod każdym względem ciekawy i atrakcyjny. To, co wydawało się dotychczas trudne, czy nawet niemożliwe, okazać się może najłatwiejszą rzeczą w świecie. To, co było dotychczas nieosiągalne, znaleźć się może w zasięgu ręki. Od Ciebie tylko zależy, czy wykorzystasz szansę. Ryby bywają niekiedy kapryśne, niezdeterminowane — jeśli zbyt długo będziesz się zastanawiał i rozcinał włos na czworo — wiele możesz stracić. W pierwszych miesiącach roku (styczeń — kwiecień) interesująca propozycja zawodowa, pozwalająca na poszerzenie Twojej wiedzy zawodowej. Może dłuższy wyjazd...? Okres wiosenno-letni, to szczególnie dla osób o zacięciu artystycznym okres sukcesów. Druga połowa roku ugruntuje znacznie Twoją pozycję materialną, pozwoli na realizację planów.

Znaki sprzyjające to Wodnik, Panna i Waga.

KTO NA SERCU MIEDŹ NOSI...

„Kto na sercu miedź nosi, o cardiacmida nie prosi”. Cienutkie miedziane blaszki z tą wytoczoną sentencją krąży wśród zaprzyjaźnionych z wrocławskim „Hutnikiem”. Wielu nosi je w wewnętrznej kieszeni marynarki, w kieszonkach koszuł lub bluzki. Na wszelki wypadek...

Lecznice właściwości miedzi... Lecznice właściwości miedzi... Lecznice właściwości miedzi... jest to temat budzący sporo namietności. Oficjalna

medycyna wypowiada się jednak skąpo i niechętnie. W najlepszym wypadku lekarz powie: — Na pewno nie zaszkodzi, ale czy pomoże... Na taki także zasadzie informujemy o kach ojca Tomasza, duszpasterza żeńskiego klasztoru w Münstair, w miejscowości szwajcarskiej położonej w pobliżu granicy włoskiej.

Ojciec Tomasz od 29 już lat leczy swoich licznych pacjentów krąkami lub płytkami miedzi. Skutkuje to — jak twierdzi — przy silnych bólach głowy, migrenie, podagrze, artretyzmie i goście, pomagają likwidować zaburzenia snu, nerwobóle, neurozy i lękowe fobie. Chronią także przed chorobą nowotworową. Zyczącyne kółko z miedzianego drutu ostatecznie dla organizmu promieniowa-

nie ziemskie. Konstrukcja takiego kółka — wg recepty mniha — jest dziecinnie prosta. Drut o przekroju 1,5 mm (taki jakiego używają elektromonterzy), długości ok. 1 m należy złączyć końcami, skracając je lub lutując. Średnica kółka winna wynosić ok. 30 cm. Takie dwa kółka kładziemy pod materac. Jedno na wysokości karku, drugie pod kolana. Tym sposobem na długie lata zabezpieczamy nasze tożę przed skutkami promieniowania.

Relacja o szwajcarskim uzdrowicielu, zamieszczona w „Bunte” poprzedzona została opisem praktyki niektórych lekarzy. Dr Ernst Schwamm np. zawsze pyta pacjentów, czy z ochotą kładą się do łóżka. Jeżeli nie, a przy tym

skarżą się na kiepski sen, zaleca przesunięcie postania o 2 m w lewo lub w prawo. Kiedy i to nie poskutkuje, należy wybrać inny pokój na sypialnię. Dr Dieter Aschoff stanowczo domaga się zmiany miejsca snu od chorych na raka, gościec i reumatyzm. Jest to ponoć konieczne, albowiem w czasie snu mechanizmy obronne naszego organizmu też odpoczywają, pracują z osłabioną siłą. Z potrójną energią natomiast oddziałuje wtedy promieniowanie ziemskie. Te teorie potwierdza już spora grupa lekarzy-praktyków, farmaceutów, nawet architektów, którzy przy lokalizacji nowych osiedli za pomocą różdżki ustalają teren najmniej promieniowaniem zagrożone.



TV PROGRAM

Piątek, 22.XII.78 r.

9.00 — „Dwanaście miesięcy” — widowisko dla dzieci
15.30 — NURT.
16.00 — Dziennik.
16.10 — Obiektyw.
16.30 — Dzień dobry, tu telewizja.
16.50 — Piątek z Pankracym
17.15 — Klinika zdrowego człowieka — program ośw.
17.50 — „Zawodowcy” — polska komedia obyczajowa.
18.35 — „Stawka” — teleturniej.
19.00 — Dobranoc — „Lis i sroka”.
19.30 — Wieczór z dziennikiem.
20.30 — „Fortepian w powietrzu” — węgierska komedia. Konflikt pianisty z sąsiadami.
22.05 — Świat, ludzie, idee — pr. public. — prowadzi F. Rakowski.
22.35 — Dziennik.
22.50 — Planeta Ziemia — Rodzina Słońca — pr. ośw.
PROGRAM II
16.10 — Dom i my.
16.25 — Język francuski.
16.55 — Proces opiumu — rep. z huty „Stalowa Wola”.
17.20 — Poradnia „Zaufanie”.
17.50 — Międzynarodowy Konkurs Pianistów Jazzowych — Kalisz 78.
18.30 — Turystyka i wypoczynek: Jak wypocząć zimą?
19.30 — Wieczór z dziennikiem.
20.30 — Magazyn morski.
21.40 — Czas i ludzie „Puste krzesło” — film dok.
22.00 — „Zbieg z Dartmoor” — angielski dramat sensacyjny.

Sobota, 23.XII.78 r.

9.00 — „Dwanaście miesięcy” — radziecki film dla dzieci.
15.30 — „Rodzina Leśniewskich”
16.00 — Dziennik.
16.10 — Dzień dobry, tu telewizja.
16.30 — Magazyn motoryzacyjny.
16.55 — „Robinson Crusoe” — adaptacja powieści Daniela Defoe.
18.40 — „Hej koledzy, koledzy” — widowisko muzyczne.
19.00 — Wieczorka — „Sprzedawca snów”.
20.30 — „Paweł i Gaweł” — komedia polska — archiwalna.
22.00 — „Koledzy” — śpiewają Lucja Prus i Piotr Fronczewski.
22.30 — Spotkanie z zespołem „2+1”.
23.00 — „Jeźdźcy” — amerykański film przygodowy, którego akcja rozgrywa się w Afganistanie. Główną rolę gra Omar Sharif.
PROGRAM II
16.05 — „Pieśń Belgradu” — odc. IV jugosłowiańskiego serialu.
16.55 — Koncert mistrzów — pr. muzyczny.
17.40 — Popołudnie wiedzy i fantazji.
19.30 — Wieczór z dziennikiem.
20.30 — Od jutra święta ze Studio 2.
22.10 — Teatr wspomnień — „Korespondencja Chopina” — reż. Adam Hanuszkiewicz. Wybór i interpretacja — Irena Eichlerówna.

Niedziela, 24.XII.78 r.

8.20 — Studio sport — Telewizjada.
9.00 — „Stalowy wieloryb” — cz. I filmu przygodowego „Kapitan Nemo”.
10.50 — Wielkie rzeki świata: „Nil”.
11.55 — „Gwiazdka u Flinstonów” — odc. amerykańskiego serialu animowanego „Między nami jaskiniowcami”.
12.50 — „Julie Andrews w świątecznym przebraniu” — film ang.
13.40 — W starym kinie „Gorączka” — dramat francuski.
15.25 — Losowanie Dużego Lotka.
16.45 — Barry Connors „Roxy” — cz. I widowiska TV.
16.40 — Studio sport.
17.30 — Teatr małych form — Jan Lechoń: „Kwiat pomarańczowy” i „Jarzębina” — reżyseria Andrzej Łapicki. W przedstawieniu grają: Ewa Błaszczyk, Daniel Olbrychski, Aleksandra Karzyńska, Mirosław Konarski, Andrzej Łapicki.
18.30 — „Pastorałki” w wykonaniu Ireny Jarockiej.
19.30 — Wieczór z dziennikiem.
20.30 — „Cudowne źródło” — odc. V serialu TP „Układ krążenia”.
22.30 — „Roxy” — cz. II widowiska telewizyjnego.

23.00 Kino nocne — „Samuraj” — francuski film sensac. gangsterski.

PROGRAM II

10.00 — Studio 2 — dzieciom.
10.40 — Świąteczne kino — „Drogi chłopiec” — radziecki film.
12.00 — A. Fredro „Zemsta” — grają: Jan Swiderski, Joanna Jędrka, Czesław Wollejko, Emilia Krakowska.
13.40 — Studio 2 dzieciom.
15.20 — Carl Zuckmayer — „Kapitan z Koepenick”.
17.05 — Świąteczne kino — „Jak zdobyto Dziką Zachod” — western amerykański. Grają: Henry Fonda, James Stewart, Gregory Peck.
19.30 — Wieczór z dziennikiem.
20.30 — Studio 2 — debiuty oraz studio sport.
22.00 — Świąteczne kino — „Wesołych świąt” — polska komedia.

Poniedziałek, 25.XII.78 r.

9.00 — „Kapitan Nemo” — „Książę Dalekar” — cz. II filmu fab. radz.
10.10 — „Biuroowy romans” — cz. I komedii radzieckiej.
11.35 — Spotkanie z Ewą Bandrowską-Turską — recital muz.
12.20 — Aukcja szopek krakowskich — reportaż.
12.40 — Zaślubiny różnych narodów — film dok.
13.40 — „Zakochany d'Artagnan” — serial przygodowy francuski.
14.35 — Gdy dwóch robi to samo — zabawa z udziałem Ewy Wiśniewskiej i Magdaleny Zawadzkiej.
15.00 — Dziewczynka z zapalkami — pr. rozrywkowy z udziałem Mauryli Rodowicz.
15.30 — Jarosław Iwaszkiewicz — film dokumentalny.
16.35 — „Lady Hamilton” — film fabularny angielski.
18.35 — „Konie i hodowcy” — film.
19.00 — Świąteczna dyskoteka.
19.05 — Wieczorka.
19.30 — Wieczór z dziennikiem.
20.30 — A. Fredro: „Mąż i żona”.
22.05 — Kabaret Starszych Panów.
22.40 — Wizyta świąteczna u Starszych Panów.
22.45 — Kabaret ZAIKS-u.
23.00 — Kino nocne — „Burzliwe lata dwudzieste” — amerykański film sensacyjny.

PROGRAM II

9.00 — Studio 2 — dzień Edwarda Dziewońskiego.
9.05 — Czesć I „Pani prezesowa”.
9.30 — „Porwanie Sabinek”.
9.55 — „Alicja prowadzi śledztwo” — film sensacyjny.
10.20 — „Seans” — spektakl z 1971 r.
10.45 — „Zamek w Szwecji” — F. Sagan.
11.10 — „Nigdy nic nie wiadomo” — G. B. Shaw.
11.35 — Świąteczne kino — „Kit i spółka” — film przygodowy.
13.20 — „Fraulein doktor” — J. Teppa.
14.30 — W starym kinie — „Piękny i zły” — film USA — dramat.
16.30 — „Ich głowy” — M. Avme.
18.00 — Rozmowa z Edwardem Dziewońskim.
18.05 — „Osobne stoliki” — R. Rattigan.
18.30 — Świąteczne kino — „Nie spotykam się z nikim” — film obyczajowy polski.
19.30 — Wieczór z dziennikiem.
20.30 — Świąteczne kino — „Prywatne życie Henryka VIII” — historyczny film angielski.
22.05 — „Dudek” — „Kabaret Starszych Panów” — fragmenty.
22.45 — Rozmowa z Edwardem Dziewońskim.
22.50 — „Archipelag Lenoir” — fragmenty z próby.
23.00 — „Opera za trzy grosze”.

Wtorek, 26.XII.78 r.

9.00 — „Kapitan Nemo” cz. 3 „Nautilus dalej walczy” — radz. serial.
10.15 — „Zwierzęta” — film dok. francuski.
11.45 — „Dawne dobre czasy” — cz. I — pr. estradowy angielski.
12.25 — „Biuroowy romans” — cz. 2 filmu radzieckiego.
13.35 — Klub Sześciu Kontynentów — „Wielka trójka”.
14.25 — Gram dla... — teleturniej.
15.15 — W starym kinie — „Gorączka” — dramat francuski.
16.55 Tele-Echo.
18.00 — Studio sport — mistrzostwa piruetów.
19.30 — Wieczór z dziennikiem.
20.30 — „Mania wielkości” — komedia kostiumowa francuska.
22.20 — Mała antologia kabaretu — „Banda” — odc. VI pr. rozrywkowy.
PROGRAM II
9.00 — Fantastyczne Studio 2 — czyli rzecz o science fiction.
10.15 — William Szekspir — „Romeo i Julia” — teatr.
12.25 — Fantastyczne Studio 2.
13.50 — Świąteczne kino „Przyby-

sze z innej planety” — film ang.
15.15 — Fantastyczne Studio 2.
16.55 — Juliusz Słowacki — „Mazepa” — teatr.
18.55 — Fantastyczne Studio 2.
19.30 — Wieczór z dziennikiem.
20.30 — Fantastyczne Studio 2.
22.20 — Świąteczne kino — „Nieposkromieni hajducy” — film.

Piątek, 29.XII.78 r.

16.50 „Piątek z Pankracym”.
17.15 — Szulflada — kustosz Tadeusz Sławski.
17.35 — Stawka — teleturniej.
18.00 — „Cios” — film obyczajowy angielski, reż. Philip Saville.
18.50 — Wystąpienie ambasadora Kuby w PRL z okazji 20 rocznicy rewolucji.
19.30 — Wieczór z dziennikiem.
20.30 — Teatr Sensacji: Edwin Landham — „Pamela” — odc. 2, reż. Witold Orzechowski.
21.40 Koncert WOSPRITV.
22.10 — Dziennik.
PROGRAM II
17.15 — Dzień kubański w TP.
17.20 „Huragan nad cukrem” — 17.40 — Rozmowa Karola Bieleckiego oraz korespondenta PAP w Hawanie — Ryszarda Rymaszewskiego o osiągnięciach socjalistycznej Kuby.
17.55 — „Młoda generacja” — film fab.
18.15 — Reminiscencje festiwalowe.
18.30 — „Raz jeszcze o festiwalu” — film dok.
18.50 — „W czarno-białym kolorze” — program muzyczny.
19.30 — Wieczór z dziennikiem.
20.30 — Dzień kubański w TVP — „Ofiarowuje ci piosenkę”.
21.00 — „Juantorena” — film dok.
21.40 — 24 godziny.
21.50 — „Dzień listopadowy” — film.
23.15 — „Leo Irakefe” — program muzyczny.

Sobota, 30.XII.78 r.

14.30 — „Orbita” — dla młodych widzów.
15.00 — Kino najmłodszych — filmy animowane.
15.30 — Radar.
16.35 — Latarnia czarnoksiężka — „Taniec i piosenka” — program filmowo-studiowy.
17.05 — Film latarni czarnoksiężskiej — „Tancerz na manewrach” — komedia muzyczna USA, reż. Sidney Lanfield, wyk.: Rita Hayworth i Fred Astaire.
19.30 — Wieczór z dziennikiem.
20.30 — „Tam gdzie kończą się to-ry” — western USA.
22.05 — Zagubiony tancerz — widowisko muzyczne oparte na tekstach Marii Jasnorożewskiej-Pawlikowskiej.
22.55 — Studio sport.
23.10 — Kino nocne — „Zaklęte rewiry” — film obyczajowy polski, reż. Janusz Majewski.

PROGRAM II

15.35 — Kino Telewizji Dziecięcej i Chłopców — „Sekrety kina”.
16.35 — Latający Holender.
17.35 — Popołudnie podróży i przygody.
19.30 — Wieczór z dziennikiem.
20.30 — Wokół stadionów.
21.00 — Magazyn morski.
21.30 — Klub Jazzowy Studia Gama.
22.05 — „Smutek w trzech częściach” — nowele Grahama Greene'a.

Niedziela, 31.XII.78 r.

10.45 — Wielkie rzeki świata — „Tag” — film franc.
12.00 — Klub Sześciu Kontynentów — „Szlakiem agenta nr 1”.
12.50 — Studio sport — plebiscyt Inter- i Eurowizji — wyłonienie najpopularniejszego sportowca świata.
13.35 — W starym kinie „Dzień na wysigach” — komedia z udziałem braci Marx.
15.20 — Losowanie Dużego Lotka.
15.45 — „Rewia na dachu, czyli Chaplinada” — widowisko rozrywkowe — reż. Josef Laufer, wyk.: Irena Jarocka, Alicja Majewska, Janusz Kłosiński, Tadeusz Ross.
16.30 — „Fantastyczna podróż” — film fab. USA (science-fiction).
18.05 Program sylwestrowy, rozrywkowy z udziałem gwiazd estrady czechosłowackiej.
19.30 — Wieczór z dziennikiem.
20.00 — Przemówienie noworoczne.
20.20 — Koncert noworoczny.
20.30 — „Gangsterski walc” — komedia kryminalna franc.-wl.
22.20 — Studio Gama przedstawia — blok rozrywkowy.
23.55 — Zyczenia noworoczne.
0.10 — Sylwestrowe rytmy — „Zegnamy Stary Rok — witamy Nowy Rok”.
1.05 — „Anna Margrét Smith” — program rozrywkowy.
2.00 — Kino nocne — „Wynajety

człowiek” — western USA, reż. Peter Fonda.
3.35 — „Belle époque” — widowisko muzyczne.

PROGRAM II

10.30 — Świąteczne kino — „Król Maciuś” — bajka.
12.00 — W starym kinie — „Szalony chłopak”, reż. Henry King.
13.35 — Studio 2 dzieciom.
Piosenki z książeczki — śpiewa Lucja Prus.
13.40 — Teleturniej dla dzieci.
14.15 — Piosenki z książeczki — 14.25 — „Robot i banki mydlane” — film.
14.35 — Piosenki z książeczki — 14.45 — „Huśtawka i pokój zabaw” — film.
14.55 — Czarna — teatr z Pragi.
15.20 — Teatr „Karnawał” — Ion Luca Caragiale.
16.30 — „Muzyka i obyczaje sylwestrowe” — w programie wszystko o balu.
18.05 Świąteczne kino — „Walc jak beben” — komedia węgierska.
19.30 — Wieczór z dziennikiem.
20.00 — Przemówienie noworoczne.
20.30 — Koncert noworoczny.
20.35 — Sylwestrowa dyskoteka Studio 2 — programy rozrywkowe, widowiska.
22.15 — Teatr „Osaczony” Michael Carey, reż. Witold Orzechowski.
23.55 — Zyczenia noworoczne.
0.10 — Świąteczne kino — „Porachunki rodzinne” — film fab. franc.
2.00 — „Louis Armstrong w Chicago” — film biograficzny.

Poniedziałek, 1.I.79 r.

9.00 — Dla dzieci „Cyryl w cyrku” — film czech.-radz.
10.45 — „Dzieci lwicy z buszu” — film przygodowy dla dzieci.
12.45 — Koncert e-moll Fryderyka Chopina — gra Krystian Zimerman.
13.25 — Studio sport — Sport 1978 r., cz. 1.
14.10 — „Rok 1900” — film dok. francuski.
15.30 — Gra Poznańska Orkiestra Rozrywkowa Polskiego Radia i TV.
16.00 — Studio sport — Sport 1978 r., cz. 2.
16.40 — „Ci wspaniali młodzieńcy na swych szalujących gruchotach” — komedia przygodowo-kostiumowa.
18.40 — Disneyland — „Goofy sportowcem”.
19.30 — Wieczór z dziennikiem.
20.30 — „Układ krążenia” — serial.
21.55 — „Powróćmy jak za dawnych lat”, odc. I widowisko muzyczne. Wyk. Jan Kobuszewski, Halina Kunicka, Piotr Fronczewski.
22.35 — Studio sport.
PROGRAM II
10.00 — Studio 2.
12.45 — Świąteczne kino — „Nieposzteni goście” — komedia radziecka.
14.10 — „West side story” — musical USA, reż. Robert Wise. Wyk.: Natalia Wood, Richard Boymer.
16.40 — „Turniej familijny”.
17.40 — Teatr wspomnień — Bolesław Prus: „Emancypantki”, reż. Adam Hanuszkiewicz.
19.30 — Wieczór z dziennikiem.
20.30 — Wielobój gwiazd — widowisko sportowo-rozrywkowe.



NASTĘPNY NUMER
KONKRETÓW
UKAŻE SIĘ 5 STYCZNIA 79r.



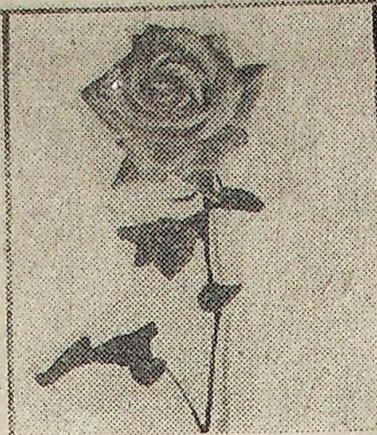
TYGODNIK Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa-Książka-Ruch”. WYDAWCA: Wrocławskie Wydawnictwo Prasowe, Podwale 62, 50-950 Wrocław. REDAGUJE zespół: Ryszard Adamów, Grzegorz Chmielewski, Krzysztof Dębek, Zbigniew Janiszewski, Włodzimierz Kisil (redaktor naczelny), Zygmunt Luszczyk, Czesław Pańczuk (z-ca sekretarza redakcji), Elżbieta Pomorska (redaktor techniczny), Krzysztof Raczkowski (fotoreporter), Maria Samborska (sekretarz redakcji), Waldemar Sikorski (fotoreporter), Anna Stokrocka. ADRES redakcji: 59-220 Legnica, pl. Chopina 2. TELEFONY: redaktor naczelny — 241-46, sekretarz redakcji — 241-49, zastępca sekretarza redakcji — 299-25, publicyści — 216-41, 216-42, fotoreporterzy — 216-43, biuro ogłoszeń — 292-42. OGŁOSZENIA DROBNE przyjmuje się codziennie w godzinach pracy redakcji (8.30—15.30) w Legnicy, pl. Chopina 2. INFORMACJI w sprawie prenumeraty udziela płaćcówki RSW „Prasa-Książka-Ruch” urzędy pocztowe i listonosze. DRUKUJĄ: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Wrocław, ul. Piotra Skargi 1/5. Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca. Zastrzeżenia służy również prawo skracania materiałów nie zamówionych.



Ponieważ firma Maxwell wydała milion marek na reklamę telewizyjną, te 11 277 ziaren kawy, które zużyto na sporządzenie wizerunku Curda Juergensa nie miało już żadnego znaczenia. Frankfurcki grafik dokonał dzieła w ciągu 36 godzin: mozołnego klejenia. Niezwykły portret popularnego aktora wisiał teraz w mieszkaniu Renaty Roennau z Hamburga, która wygrała go na loterii urządzonej przez Maxwella. Nagrodę przekazał oczywiście sam Curd Juergens. Jak widać dla ludzi interesu i ludzi sztuki każda reklama jest dobra.



Francuscy dziennikarze łatwo wpadają w zachwyt nad talentami, które się w ich stolicy produkują, ale takie euforii nie było już od dawna. Najbardziej wyszukane superlatywy, porównania typu „nowa Josephine Baker” oraz fury innych pochlebstw towarzyszą występom amerykańskiej piosenkarki i tancerki Vivian Reed. Jest ona gwiazdą musicalu pt. „Harlem”, który od dłuższego czasu „leci” w Paryżu. Vivian zrewanżowała się za te komplementy: „Paryż jest najbardziej podniecającym miastem świata”.



Wiele lat żmudnej pracy kosztowało plantatora róż wyhodowanie róży bez kolców. Sztuki tej dokonał Ewald Scholle z RFN, który przeżywa obecnie gorzkie rozczarowanie. Okazało się bowiem, że klienci ekskluzywnych kwiaciarni róż bez kolców wcale kupować nie chcą.

John Curry, 29-letni Anglik, złoty medalista w jeździe figurowej na lodzie z olimpiady w 1976 roku, zamierza wyłansować w USA nowy rodzaj sztuki — balet na lodzie. Widowisko, jakie przygotowuje — „Ice Dancing” — ma kosztować 350 000 dolarów. Premiera odbędzie się w Madison Square Garden. Bardziej purytańskie od tradycyjnych rewii na lodzie układy taneczne opracowuje sam oraz dwaj najwybitniejsi choreografowie. Jeżeli nowojorczycy przyjmą występy przychylnie, Curry wraz z zespołem ruszy w tournée po Ameryce. Na razie jest bardzo pewien siebie. — Doprowadzę do tego — powiada — że lyżwiarz będzie znacząco tyle samo co tancerz!



— W twoich ramionach
pragnę zasnąć — szepcą czę-
sto panowie, mając na myśli
zgrabne ciała młodych dam.
Kiedy zwierza się tak Franz



Tisch z San Diego (Kalifornia), znaczy, że marzy o swojej 4-tonowej przyjaciółce. Oboje są atrakcją miejscowego ogrodu zoologicznego gdzie lagodna słońca przebywa a Franz Tisch pracuje, jako pielęgniarz. Ponieważ z zawodu jest trenerem nauczył pojętną olbrzymkę wielu rozmaitych sztuczek.



Najpopularniejsza modelka australijskiego kontynentu — Linda Kerrige w dużym stopniu zawdzięcza swą karierę zaskakującemu podobieństwu do Marilyn Monroe. Kiedy pojechała do Ameryki i zawiątała do Nowego Jorku, przechadzając się w mieście powodowała zało-

ry uliczne. Kierowcy, zwłaszcza w wieku średnim, zaparkowani w Linde zatrzymywali pojazdy i gapili się w dziecinnie do chwili, kiedy policjanci nie podeszli do nich gwizdkiem. 23-letnia modelka marzy oczywiście o filmie, ale to uderzające podobieństwo do słynnej gwiazdy wcale realizacji planów nie sprzyja.

Amerykański komik Woody Allen na pytanie reportera dlaczego ludzie na całym świecie pękają ze śmiechu na filmach z jego udziałem, odpowiedział: — Naprawdę nie mam pojęcia, sam nie wiem czemu to co robię, wydaje się widzom komiczne. — W istocie Allen jest mężczyzną traktującym profesję aktorską bardzo serio. Jeszcze bardziej poważnie podchodzi do swej twórczości pisarskiej. Właśnie ukazała się jego książka, w której pisze o Wagnerze

